

**Charlotte Armstrong**

# **Gorzka Czekolada**

*Przełożyła Violetta Dobrosz*

## Rozdział 1

Kuzynka Edna Fairchild wiodła swe życie, hołdując zasadzie, że wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma. Każdego roku przez trzy miesiące wędrowała po Południowej Kalifornii, spędzając tydzień tu, dwa tygodnie gdzie indziej, czyniąc wobec tamtejszych barbarzyńców delikatne aluzje na temat swej nostalgii za bardziej dojrzałą kulturą Wschodniego Wybrzeża. Przez resztę roku mieszkała w Nowym Jorku i cieszyła się swoistą sławą osoby, która zimę spędza na zachodnim wybrzeżu i z rozrzewnieniem wspomina spokój i swobodny styl życia tych, którzy uciekli ku słońcu.

W tej chwili, w marcowy niedzielny poranek miała właśnie wyruszyć w swą doroczną podróż z zachodu na wschód. Wracała do domu.

Siedziały na tarasie na tyłach domu, a otaczały je niedzielne gazety i resztki śniadania. Była to ta drętwa godzina przed odjazdem. Wszystkie nowinki już dawno zostały przekazane, wspomnienia minionych dni przeżute tak dokładnie, że całkiem straciły smak. Tak naprawdę kuzynka Edna duchem była już w pociągu, a Kate Garth, jej gospodyni, w myślach zdążyła wysprzątać pokój Amandy i na powrót ją tam umieścić.

Amanda miała odwieźć podróżniczkę na stację. Na razie jednak nic na to nie wskazywało. Była boso i miała na sobie parę obcisłych, obszarpanych spodni z wypłowiałego niebieskiego materiału i różową koszulę z podwiniętymi rękawami. Rozciągnęła się na brzuchu na leżaku, opierając się na łokciach, i studiowała gazetę. Krótkie, brązowe włosy kręciły się lekko i przylegały do ślicznej główki.

– Mandy – odezwała się kuzynka Edna – czy nie powinnaś się już przebrać?

– To mi zajmie pięć minut – odparła spokojnie Amanda. – A mamy jeszcze całe dwie godziny.

Kuzynka Edna podniosła się, podeszła na skraj wyłożonego kostką brukową tarasu i rozejrzała się dokoła, jak gdyby chciała wchłonąć w siebie ten widok białych ścian otaczających ładne, małe podwórko, błękitnych kaskad kwiecia pięknie ukształtowanej wisterii, szarozielonego drzewa oliwnego.

– Ach, Kate, było mi tu cudownie.

Niebieskie oczy Amandy powędrowały ku matce, by zaobserwować, jak na jej twarzy komicznie odmalowuje się bezdenna cierpliwość. Kate pochłaniało cerowanie. Nie potrafiła czytać tuż pod nosem Edny. Jednak jej długie, mocne palce niezręcznie trzymały igłę, a ścieg wychodził rzadki jak u dziecka.

– Czemu się tak przyglądasz? – Kuzynka Edna pochyliła się nad ramieniem Amandy. Odczytała: – „Belle w drzwiach”.

Spojrzenie Amandy powróciło do wykonanej techniką półtonową reprodukcji w dziale kulturalnym niedzielnej gazety. – To nie najlepszy obraz – stwierdziła z młodzieńczą pogardą, lecz szybko zdała sobie sprawę z własnej arogancji i poprawiła się: – ...moim skromnym zdaniem...

– Już miałam coś powiedzieć... – mruknęła łagodnie Kate.

– Nadal tak bardzo interesujesz się sztuką – przymilnie dodała kuzynka Edna.

– I uważam, że to durny obraz. – Amanda stuknęła w gazetę wierzchem dłoni. – Kreska jest okropna. Światło nienaturalne. Sentymentalny temat.

– „Tobias Garrison” – przeczytała kuzynka Edna. – Garrison!

– Ależ Kate, czy to nie ten człowiek?

Amanda podniosła brodę. Popatrzyła ostrożnie na Kate. Wyczytała z pociągłej twarzy ledwo dostrzegalną reakcję: żal, a zaraz potem skupienie, by go przewyciężyć.

– Ten artysta! – ciągnęła z uporem kuzynka Edna. – To ten sam człowiek! Ten wtedy w szpitalu! Nie mów mi, że zapomniałaś!

– Wtedy, to znaczy kiedy? – bez ogródek wtrąciła Amanda.

– No wiesz, podczas tego zamieszania – odparła kuzynka Edna. – Po twoich narodzinach. Nie myślałam o tym od lat. Czy to nie ten sam człowiek? Co powiesz, Kate?

– Chyba to on. – Spojrzenie Kate powędrowało do Amandy, wyraźnie jednak mało odważne.

– Nigdy nie zapomnę, jak postąpił wtedy John Garth! – wykrzyknęła Edna. – Nigdy! Zachował taką zimną krew... Po prostu nic nie było w stanie nim wstrząsnąć! Nie sposób było go nie podziwiać. Wszystko to było takie dziwne. Każdy by się zdenerwował. Dopiero co narodzone dzieciątko i John, który ledwo zdążył uprzytomnić sobie fakt, że ma córkę. Doprawdy... Co się dzieje? Och, Kate, czy powiedziałam coś niewłaściwego? Czy Amanda...? Och, Kate! – Zabrzmiało to jak okrzyk, lecz nie było w nim skruchy. Była natomiast nuta zadowolenia.

Amanda momentalnie uświadomiła sobie, jakie stanowisko powinna zająć. Jeśli była w tym jakaś afera, to nie należało dopuścić, by została wyjawiona teraz, w obecności Edny na jej żadnych sensacji oczach – co to, to nie.

– Ach, o to chodzi! – zawołała. – Początkowo nie wiedziałam, o czym mówicie. Przeniosła ciężar ciała na jedną rękę, drugą podniosła gazetę.

– A zatem wiedziałaś? Więc jednak niczego nie...? Och... No cóż, cieszę się! –

Edna westchnęła głośno, rozczarowana. – Ale czy to nie dziwne?

– Nieszczególnie – odparła spokojnie Kate – skoro mieszka tu w pobliżu.

– Kate, czy ty spotkałaś go jeszcze kiedyś?

– Nigdy.

– A ty, Mandy?

– Hmmmm? – mruknęła sennie Mandy. – Nie-e... Nie rozumiem, skąd tyle zamieszania wokół tego obrazu.

– Mój Boże – rzekła Edna – jak wy możecie być takie znudzone... Przecież on jest sławny! Nieprawdaż?

– Już za kwadrans... – zauważyła Mandy.

– Amando! Ale ty chyba tak nie pojedziesz!

– O mnie się nie martw.

Pomrukując z zaniepokojenia, Edna wpadła do domu. Trzasnęła moskitiera. Głośne stuknięcie drewna było jak kropka kończąca zdanie. W słońcu brzęczały pszczoły.

Amanda usiadła i obróciła się, postawiła obie bosc stopy na kostkach tarasu i podkuliła palce.

– O kurczę – rzekła. – Z moimi narodzinami wiąże się jakaś tajemnica!

Pociągłą, rozbawioną twarzą Kate zaczęły wstrząsać drgawki śmiechu. Jej brwi uniosły się, powieki utworzyły trójkąciki.

– Sama nie wiem, z czego się śmieję – rzekła. – A niech to...! A jednak wiedziała. Chodziło o to, że tak błyskawicznie pozbyła się tej maleńkiej wątpliwości, a pozbyła się jej, absurdalnie, dzięki nie ukrywanemu entuzjizmowi Amandy. Cieszyła ją więc miła sercu pewność, czysta radość z ich solidarności. Chodziło też o falę miłości, jaka zalała serce Kate, miłości do tej dziewczyny w dziwacznym ubraniu, której wiara była tak silna, że wywołała w matce podniecenie i rozbawienie nagłym szalonym pomysłem, że być może jednak wcale nie są spokrewnione.

– Lepiej mi o wszystkim powiedz – powiedziała Amanda, uśmiechając się od ucha do ucha i siadając po turecku. – Jeśli jestem księżną w przebraniu, chciałabym to wiedzieć.

Kate pokręciła głową. – Nie ma w tym nic szczególnego. Skoro nigdy ci o tym nie powiedziałam, to po części dlatego, że to tak mało istotne, a po części może przez tę twoją piekielną wyobraźnię...

– Jeśli myślisz, że z niej wyrosłam – rzekła surowo Mandy – to się mylisz.

– No cóż. Tak czy siak, wyszło szydło z worka. – Twarz Kate spoważniała. – Przez to, że pani Garrison urodziła dziecko wtedy, kiedy ja. W tym samym miejscu.

W tym samym czasie. No, było może kilka godzin różnicy. Poród musiał nastąpić nieco przedwcześnie, bo pan Garrison – kiwnęła głową w stronę gazety – był akurat w jakiejś podróży. Naturalnie wrócił najszybciej, jak mógł, i przyszedł do szpitala nazajutrz rano. Chwilowo nie mógł jednak zobaczyć się z żoną. Kapano ją akurat czy coś takiego. Popędził więc na oddział noworodków i poprosił jedną z pielęgniarek-praktykantek, żeby pokazała mu dziecko. A ona pokazała ciębie.

– Rany boskie – rzekła cicho Mandy.

– Podniosła cię za szybę, rzecz jasna. Powiedziała mu, że ma córkę. A on oczywiście rozpromienił się na twój widok. Następnie poszedł do żony i po chwili okazało się, że podczas gdy *on* myślał, że ma córkę, *ona* uważała, że mają syna.

– I on wiedział swoje, a ona swoje, tak? – zauważyła Mandy.

Matka posłała jej krótkie spojrzenie. – Zrobiło się więc wielkie zamieszanie. W tamtym czasie niewiele z tego do mnie dotarło. Zdaje się jednak, że za sprawą pana Garrisona pielęgniarki biegały w panice, zlecieli się wszyscy lekarze i pracownicy szpitala.

– Ale jak to się mogło stać?

– Właśnie tego chciał się dowiedzieć. Tak mi się przynajmniej wydaje... Wiesz, że noworodkom zakłada się małe paciorkowe bransoletki. Z literami nazwiska. Twoja pękła. Nikt o niczym takim wcześniej nie słyszał i nikt nie wiedział, jak mogło do tego dojść, dość, że tak się stało. No i ta młodziutka pielęgniarka odkryła tasiemkę, na której zostały tylko trzy litery...

– Czyli GAR – rzekła Mandy. – Bo naszych imion przecież w szpitalu nie znali, prawda? No tak. Wszystko jasne. I oczywiście po mej ślicznej twarzyczce poznała, że jestem dziewczynką.

– Owszem – odparła rzeczowo Kate. – I wtedy zjawił się twój ojciec.

John Garth nie żył już od dwunastu lat. A jednak, choć tylko na chwilę, na powrót ożył. Kate Garth ujrzała go, jak pochylał się nad jej wysokim łóżkiem. Usłyszała jego opanowany głos.

– Po prostu zmusił wszystkich do zachowania spokoju – ciągnęła. – Byłaś naszą córką i nic więcej nas nie obchodziło, a jeśli nawet zaszła jakaś pomyłka, to absolutnie nie było to naszą sprawą i lepiej, żeby jak najszybciej tę pomyłkę naprawiono, nie denerwując *mnie*, bo gdybym się zdenerwowała, nasz udział w sprawie stałby się nieunikniony, a wszyscy gorzko by tego pożałowali. Zawołał lekarzy i pielęgniarki, i tego Garrisona i przeprowadził swego rodzaju przesłuchanie, wyjaśniając wszystko. Twój ojciec był... był w tym bardzo dobry.

Amandzie z samego tego chciało się płakać. Zapanowała jednak nad sobą.

Odezwała się w zamyśleniu:

– Tata też chyba chciał syna.

– Nie po tym, jak cię zobaczył.

Przez chwilę Amanda nie widziała nic w dzielącej je przestrzeni. – Musiałam być całkiem ładniutka jako dziecko. – Siorbnęła nosem.

Kate sama przełknęła głośno. – To wszystko na ten temat – rzekła. – A zatem nie jesteś żadną księżną, moja Księżniczko. – Dodała z rozmarzeniem: – *Ona* zaś musi być miłą kobietą. Napisała do mnie liścik. Choć nigdy jej nie widziałam.

Po chwili Mandy wstała i przeciągnęła się. – Cóż, jestem zawiedziona – orzekła, ziewając. – Mamo, ale jak do tego doszło, że to wszystko się działo w Nowym Jorku? Powiedziałaś chyba, że Garrisonowie mieszkają tutaj. Przeprowadzili się tu po tamtych wydarzeniach tak jak my?

– Nie – odparła Kate. – Nie, wydaje mi się, że już wtedy mieszkali w Kalifornii. Nie wiem, dlaczego przed porodem przyjechali na wschód. W ogóle niewiele o nich wiem. Och, mignęło mi gdzieś ich nazwisko. Zdaje się, że dotknęła ich jakaś tragedia...

Mandy stała cały czas z wyciągniętymi ramionami. Na twarzy Kate malowało się zakłopotanie, jak gdyby usiłowała sobie coś przypomnieć. Mandy opuściła powoli rękę. Usiadła na leżaku i podniosła kartki kulturalnego działu gazety. Był tam całkiem spory artykuł o Tobiasie Garrisonie. Nazywano go arbitrem kalifornijskich artystów. Wielkim mistrzem. Jego prace można było obecnie zobaczyć w Galerii Pecka. Mandy przejrzała pobieżnie artykuł.

Nie wspominał o żadnej tragedii. Na bankiecie minionego wieczora wręczono mu medal pamiątkowy. Nagrodę jakiegoś Stowarzyszenia Artystów. Wygłosił też mowę. A pani Garrison wystąpiła w czarnym aksamicie. Oczekiwano również Tobiasa Thone'a Garrisona, jedyne go syna artysty, lecz złe warunki pogodowe na wschodnim wybrzeżu uniemożliwiły jego przylot i przybycie na czas na kolację.

Artysta kilka lat spędził w krajach Orientu. Potem powrót do domu na zboczu wąwozu, jeszcze przed wojną. Stypendia... Wystawa w Galerii Pecka trwała już od dwóch tygodni. Jednym z pokazywanych obrazów była słynna „Belle w drzwiach”. Dziś ostatni dzień...

*Ostatni dzień.*

– Amando! – Kuzynka Edna w kapeluszu stała w drzwiach, oburzona.

„Belle w drzwiach”, pomyślała Amanda. Pisnęła i umknęła.

Pięć minut później szykowna młoda kobieta w kostiumie z miękkiej wełny barwy słabo dojrzałego banana, skrojonym najprościej, jak to tylko możliwe,

założonym elegancko do stonowanej brązowej bluzki, przełożyła zgrabną nogę w nylonowej pończosze i stopę w brązowym czółenku na wysokim obcasie przez próg domu. Zjawisko owo trzymało pod pachą brązową torebkę, a w nie obleczonej w rękawiczkę dłoni – kluczyki do samochodu. Młoda dama nie założyła kapelusza, lecz jej włosy układały się miękko niczym połyskująca czapeczka, a promienie słońca, gdy skłoniła głowę, czyniły jej brąz bardziej intensywnym. Rzekła dźwięcznie:

– Jesteś gotowa, kuzynko Edna?

Kuzynka Edna, której przez całe życie nie dane było tak wyglądać, naturalnie najeżyła się z zazdrości, lecz przez całą drogę do garażu prawiała jej komplementy i wyrażała swą wdzięczność i podziękowania.

– Aha, mam – odezwała się w ostatniej chwili Amanda. – Nie będziesz potrzebowała po południu samochodu, prawda? Być może nie wrócę od razu do domu.

– Nie będzie mi potrzebny. A co z kolacją?

– Na kolację przyjdę. Później mam randkę z Genem. Chyba nie gniewasz się, mam? – Błękitne oczy patrzyły pewnie.

Spojrzały w nie oczy tej samej barwy i uśmiechnęły się.

– Nie, skądże – odrzekła Kate. I dodała: – Nie wiem, czemu miałabym się gniewać. – Jako że doskonale wiedziała, dokąd wybierała się Amanda.

## Rozdział 2

Amanda, prowadząc wprawnie, niemal odruchowo, starała się nie dopuszczać do siebie myśli o wszelkich aluzjach kuzynki Edny do Tobiasa Garrisona. Kusilo ją, by ulec i wysłuchać sprawozdania Edny, bo wyglądało na to, iż była na miejscu wydarzeń sprzed dwudziestu trzech lat. Ale Mandy czuła, że wysłuchanie jej wiązałoby się z pewnym brakiem lojalności wobec Kate. A przy tym mogłaby zdradzić, że to jednak dzięki niej szydło wyszło z worka. Amanda trzymała się więc z uporem swej obojętności.

Jednak gdy tylko zostawiła kuzynkę Ednę na dworcu, zawróciła chevroleta i ruszyła w górę Sunset Boulevard, nie myśląc o niczym innym. Puszczanie wodzy wyobraźni nie oznaczało nielojalności... choćby nie wiadomo co ta wyobraźnia przedstawiała. Kate by to zrozumiała. Kate wiedziałaby, że żadne wyobrażenia nigdy nie będą w stanie zmienić miłości, jaka między nimi istniała, istniała sama przez się, teraz i na zawsze.

A co, jeśli...? Amanda przyjęła rodzące się w niej szalone przypuszczenie z uśmiechem. Co, jeśli rzeczywiście doszło do zamiany? Jeśli Kate nie знаła dokładnie wszystkich faktów? Co, jeśli rzeczywiście istniały wątpliwości, które dziecko należało do których rodziców? A jeśli wszystko ostatecznie ustalono według czyjś widzimisie, opartego na bardzo niepewnych podstawach? Może Kate tego nie wiedziała. Może oszczędzono jej niektórych szczegółów. Amandzie przemknęło przez myśl badanie krwi – była w tym temacie trochę zorientowana. W najlepszym wypadku wyniki takich testów mogły wykluczyć jedną z opcji. Jednak Kate nie wspominała o żadnych badaniach. Rzecz jasna najprawdopodobniej nie było potrzeby, by się do nich uciekać. Wystarczyły inne dowody. Ale co, jeśli...? Co, jeśli...?

No, co?

Tobias Garrison był sławnym człowiekiem, być może także bogatym. Co by to oznaczało, gdyby była jego córką? Amanda przygryzła wargę. Nie oznaczałoby to absolutnie nic, pomyślała. Nie znała go, nie żywiła wobec niego żadnych uczuć, nie podlegała jego wpływom ani teoriom, nie znała jego poglądów i nic ją to wszystko nie obchodziło. Nie, niezależnie od tego, co się wtedy wydarzyło, była córką Kate i Johna Garthów. A sława i bogactwo prawdopodobnego ojca biologicznego, którego w życiu nie widziała i, jak sobie powiedziała, pewnie nawet by nie polubiła, absolutnie nic dla niej nie znaczyły. Te jej „Co, jeśli...?” do niczego nie prowadziły.



Stanowiły jedynie próżną mrzonkę.

A jednak istniało coś takiego jak dziedziczenie. A może nie? Ten pęd do malowania, pełna fascynacji potrzeba tworzenia obrazów... Poczula łaskotanie podniecenia w gardle. Lecz uczciwie postanowiła trzymać się faktów. Do tego nie trzeba było żadnego dziedziczenia. Wszystko dało się wyjaśnić tym, w jakim środowisku przebywała, i wpływem panny Alice Anderson.

Zaś co do dziedziczenia, to John Garth przekazał jej ambicję i smykałkę do tworzenia wzorów. To dzięki niemu postanowiła studiować, wybrała tutejszą szkołę plastyczną. I dzięki niemu, a raczej jego staremu przyjacielowi Andrew Callahanowi otrzymała swą szansę, mogła pracować na część etatu.

John Garth współpracował z wytwórnią ręcznie malowanych tkanin. Sam nigdy nie studiował tej sztuki w żadnej szkole. Był absolutnym samoukiem. To, co tworzył, zdaniem Amandy było dobre, lecz znać w tym było nieśmiałość i brak zdecydowania. Ona zamierzała pójść dalej.

Miała jedenaście lat, gdy umarł młodo na jakąś ostrą infekcję, ale już wtedy ona sama była zafascynowana kreską i barwą. Razem z ojcem często się nimi bawiła.

Dwa lata po jego śmierci Kate postanowiła przenieść się na Zachód. Miejsce, w którym z nim żyła, bez niego stało się puste. Jej własne zdrowie też szwankowało. Zaś Andrew Callahan wykazał się wielkim uporem i życzliwością. Kate dostała pracę w biurze fabryki tkanin Synowie Callahana w Los Angeles. I jak na lojalną osobę przystało, mocno trzymała tam w garści całą księgowość. Doskonale nadawała się do prowadzenia takiego działu interesu. Jej niezawodność była nie do przecenienia, jak mawiał Andrew.

I tak oto dzięki nim, dzięki Andrew, który kochał Kate, i dzięki Kate, która kochała Mandy, Mandy rankami chodziła do szkoły plastycznej. Popołudniami zaś, nieoficjalnie, lecz z wielką radością bawiła się projektowaniem wzorów na zapleczu u Callahana, gdzie starzy fachowcy przyjmowali jej pomysły z rozczeniem, ale i szacunkiem.

Szcęściara ze mnie, rozmyślała z powagą Mandy. Zostanie projektantką. I będzie w tym dobra, naprawdę dobra. Będzie robić ekscytujące rzeczy. Zapomni, a przynajmniej uzna za pewną fazę przejściową wpływ panny Alice Anderson, której niemal religijna cześć dla sztuk pięknych, a zwłaszcza dla malarstwa, legła u podstawy jej obecnej pasji.

Mandy, mknąc po Sunset Boulevard, czuła, że dojrzeła, odrzucając wszystko to, co dziecinne. Kate, trzeźwo myśląca Kate, która snuła plany i zawsze się ich trzymała, była odrobinę zaniepokojona tym jej zainteresowaniem, które było

przecież bez znaczenia. Kate, kochana, poczciwa, cudowna Kate, która dała jej tyle swobody, sama nigdy jej nie zaznając, mogłaby, jak wiedziała Mandy, poślubić nawet kiedyś Andrew Callahana. Kiedyś – gdy Mandy się urządzi. Gdy Mandy skończy szkołę plastyczną i ustawi się w swoim zawodzie. Albo gdy ona sama wyjdzie za mąż.

Wzruszyła gwałtownie ramionami, nagle rozeźlona na samą siebie. I pomyślała o Genie Noyesie.

To zgrabna sylwetka Amandy oraz zawadiackość i werwa stanowiące składowe jej osobowości robiły wrażenie na ludziach, nie jej twarz. Miała prosty nos, nieco rozplaszczony u nasady, dość małe, pełne usta, proste brwi, błękitne oczy, niewielkie, ale ładne, i w ogóle przywodziła na myśl jakąś postać ze średniowiecza. Jej twarz mogłaby należeć do ślicznego cherubinka z włoskiego malowidła. Większość jej znajomych nie nazwałaby jej ładną. Garstka pozostałych uważała ją za piękność.

Gene należał właśnie do tej garstki. Był chemikiem u Callahana. Pracował nad barwnikami. Był rudy, miał zadarty nos, piegi i zrobiłby dla niej wszystko. Amanda myślała w duchu, choć nigdy nikomu się do tego nie przyznała, że prędzej czy później pewnie za niego wyjdzie.

Ale nie teraz. Nie teraz. Nawet nie w chwili, gdy tak wyraźnie stanął jej przed oczami schemat jej przyszłego życia, który na dodatek tak idealnie pasował do schematów życia ludzi ją otaczających. Jeszcze nie.

Będzie dziecinna, jeśli tak to można nazwać, jeszcze przez jeden dzień, jedno popołudnie. Pójdzie i obejrzy obrazy, pomyśli o mężczyźnie, który mógłby być jej ojcem, i będzie próbowała coś zrozumieć, i pobłąka się trochę po obrzeżach świata, który fascynował ją i pociągał, choć nie pasował do tamtego schematu.

W pobliżu hotelu Beverly Hills skręciła w Wilshire. Budynek Galerii Pecka był stosunkowo nowy i bardzo gustowny. Drzwi były z przezroczystego szkła w prosty, matowy wzór. Hol stanowił książkowy przykład stonowanej elegancji.

Amanda wzięła do ręki katalog. Sale galerii położone były w jednej linii, tak że dawały bardzo, bardzo długą perspektywę. Nie były zatłoczone. Niemniej jednak znajdowała się w nich zaskakująco spora liczba osób, stojących tu i ówdzie, w pojedynkę kontemplujących dzieła bądź szepczących coś między sobą.

Tobias Garrison. W katalogu podano jego datę urodzin. Miał sześćdziesiąt pięć lat. Taki stary? Wystawiono więc dorobek jego życia. Amanda ruszyła do pierwszej z sal.

No tak, najpierw był Orient. Ale nie Orient w sensie kontynentu azjatyckiego. Żadnej chińszczyzny. Te obrazy pochodziły z wysp. Nie ma w tych dziełach nic

radikalnego ani ekscytującego, pomyślała. Płótna były ciepłe, radosne, przepełnione energią, pławiły się w świetle i barwie... barwie... barwie... Cudowne, pomyślała Amanda. Facet jest kolorystą. Niby mędrzec kiwała głową i podziwiała wszystko to, czego potrafił dokonać ten człowiek, a czego ona nie potrafiła. Barwy mieniły się i śpiewały. Amanda czuła, że artysta bawił się... bawił się radośnie i beztrosko. Jednak nie było to – nie, pomyślała z niesmakiem – nie było to malarstwo, które można by podciągnąć pod definicję sztuk pięknych panny Alice Anderson.

Przeszła do następnej sali. Według katalogu te obrazy pochodziły z wcześniejszego okresu twórczości. Ach, tak, pomyślała, czując się bardzo mądra, tego musiał nauczyć się najpierw, a potem zapomnieć, by móc stworzyć resztę. Widać tu było więcej formy, więcej dbałości, trzeźwości, więcej świadomej kontroli. Więcej rozumu, mniej uczucia. Barwy wciąż rzucały się w oczy, lecz były delikatniejsze. Tak, niektóre z tych obrazów były dobre, naprawdę dobre. Amanda uśmiechnęła się, w pełni zdając sobie sprawę, że ten niewypowiedziany komentarz oznaczał, iż te dzieła jej się spodobały. Podziwiała technikę, świadoma, że jej tego właśnie brakuje. Chodziła dokoła sali, chłonęła, rozkoszowała się, aż nagle ocknęła się ze świadomością, że niczego już nie jest pewna. Nie, nie, pomyliła się. Obrazy z pierwszej sali były lepsze. W tych tutaj znać było artystę przy pracy, przy poważnej pracy. Jednak tam, tamte malowidła zdawały się niemal śmiać na głos...

Amanda skarciła siebie srogo: Nie masz o tym zielonego pojęcia; i to jest właśnie twój problem.

Podążyła do ostatniej sali. Grupka ludzi zgromadziła się pośrodku i wszyscy wpatrywali się w odległą ścianę. Amanda nie pchała się, by zobaczyć, czemu się tak przyglądają. Najpierw postanowiła obejrzeć to, co wisiało na bocznych ścianach. Tak, to były najnowsze obrazy. W tle przemawiały do widza Kalifornia, Ameryka. Bogactwo barw, ale bez szaleństwa. Żadnego śmiechu. Zamiast tego łagodność. Delikatność. Niekiedy smutek.

Ludzie, mrużąc do siebie, przeszli obok niej. Teraz ona odwróciła się, by bez przeszkód popatrzeć na ścianę naprzeciw wejścia.

Wisiało tam pięć portretów. Ona jednak zobaczyła tylko ten jeden pośrodku. Jej nerwami wstrząsnęła przyjemność tak wielka, że odwróciła się, by ją ukryć. Zachwiała się dosłownie, porażona mocą dzieła. Czuła, że nikt nie może się o tym dowiedzieć. Było to coś tak osobistego i przejmującego, że nie należało się z tym zdradzać przed nikim obcym.

Wreszcie jej wzrok na powrót nabrał ostrości i mogła spojrzeć na obrazy otaczające dzieło, po dwa z każdej strony. Wszystkie cztery przedstawiały kobietę,

tę samą kobietę. Ciemnowłosą, ciemnooką kobietę o okrągłej twarzy i delikatnie, niemal zbyt słodko zarysowanym podbródku. Te obrazy były przykładami „dobrej roboty”, wszystkie cztery. Różniły się między sobą, jak gdyby artysta eksperymentował. Były to „studia”. Były nudne.

Obrazem umieszczonym centralnie była „Belle w drzwiach”. Amanda obróciła głowę, spojrzała nań z boku i znów wstrzymała oddech. Nic dziwnego, że ten portret stał się taki sławny! Napawała ją goryczą myśl, że na rzeszach ludzi obraz ten musiał wywrzeć równie głębokie i osobiste wrażenie jak na niej. Mandy otrząsnęła się i stanęła twarzą do malowidła.

„Belle” nie oznaczało tu z francuska ogółu kobiet, jak jej się początkowo wydawało. Było to imię, imię tej kobiety. I oto była ona. „Kreska jest okropna”, stwierdziła wcześniej Mandy. Och, ale ten kolor! Kreska się nie liczyła. Kobieta była jak żywa. „Światło nienaturalne”, orzekła przedtem. Oczywiście, że było nienaturalne. Emanowało od kobiety, od jej jaskrawego stroju. Stanowiła nadprzyrodzone źródło światła. Stała w drzwiach, a za jej plecami rozciągał się słoneczny ogród. Przed nią zacieniony pokój z kilkoma meblami, jednym krzesłem, niewielką półką, dywanikiem. Zaś ona wносиła światło, własną poświatę, jakby sama była słońcem.

Kobieta była średniego wzrostu i szczupłej budowy, miała kasztanowe włosy i brązowe oczy, lecz nie to było najważniejsze. Nie jej ciało. Istotę obrazu stanowiło jej promieniowanie. „Sentymentalny temat”, powiedziała Mandy. Teraz, widząc dzieło przed sobą, miała ochotę płakać. Niby tak, obraz jest sentymentalny. Jest niezwykle. To najbardziej niesamowity obraz, jaki kiedykolwiek widziałam! Stała tak, a łzy piekły ją pod powiekami. Przez głowę przemknęła jej pewna myśl, nieproszona, niezapowiedziana. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak zakochana! – stwierdziła Amanda Garth.

Jakiś czas później zamieszanie gdzieś w dali za jej plecami przerwało czar. Jeszcze zanim ten szept, przemieszczający się przez sale niczym piana na nadchodzącej fali, dotarł do jej uszu, Amanda wiedziała, że w galerii pojawił się sam Tobias Garrison. Przycisnęła do siebie katalog i odsunęła się, uwalniając się od przeżycia związanego z kontemplacją obrazu, odsuwając je na bok, by wraz z pozostałymi zwiedzającymi przyjrzeć się mężczyźnie i kobiecie, którzy powoli pokonywali długą drogę ku niej.

– Państwo Garrison – obwieścił ktoś głośno.

Jednak to nie kobieta zainteresowała Amandę. Mężczyzna zaś, Tobias, był, jak

zauważyła, dość wysoki, raczej chudy, siwowłosy. Miał w sobie coś z pełnej znużenia elegancji i dystyngowanego zmęczenia. Szedł powoli, słuchając z głową nachyloną uprzejmie do młodego człowieka u swego boku, a jego wzrok uciekał nerwowo przed spojrzzeniami zwiedzających. Nie należał do ludzi, którzy wsłuchują się w niesłyszalne fanfary na swoją cześć. Prawdę mówiąc, wydawał się raczej od nich uciekać.

Gdy podszedł bliżej, Amanda spojrzała na jego ręce. Och, co za piękne dłonie, pomyślała, mocne, spracowane dłonie. Szczupłe palce przebierały nerwowo po zwiniętym w rulon katalogu.

Cała grupka zatrzymała się pośrodku trzeciej sali. Amanda, czając się pod ścianą, żałowała, że Garrison stanął plecami do portretów, tak że nie mogła przyjrzeć się jego twarzy. Bokiem przesunęła się nieco w prawo. Nic to jednak nie dało. A nie była w stanie przejść bez ceregieli na drugą stronę, żeby się na niego gapić, choć inni tak właśnie robili, przy czym Garrisonowie udawali, że im to nie przeszkadza.

Choć pani Garrison, jak sobie uświadomiła Mandy, naprawdę to nie przeszkadzało. Wcale a wcale. Amanda patrzyła na nią teraz. Ta kobieta – matka – nie jawiła się jakoś szczególnie wyraźnie w jej wyobrażeniach. Ale przecież ten człowiek musiał mieć żonę. A dziecko w szpitalu dwadzieścia trzy lata temu musiało mieć matkę.

Pani Garrisonowa była niska. Nieźle się trzymała, choć sama dobiegała pewnie sześćdziesiątki. Była pulchna, nie tłusta, lecz nabita i okrągłutka. Miała bujne, całkiem białe włosy ułożone na czubku głowy tak, że przypominały zabawny kapelusik, co nie było ani ostatnim krzykiem mody, ani fryzurą z lamusa. Tej niewysokiej, uśmiechniętej, pucułowatej osobce było w niej bardzo do twarzy.

Amanda obserwowała, jak odkłada torebkę i katalog na kamienną ławkę, by podnieść małe, pulchne, różowe dłonie do zapięcia swej etoli. Ależ ona słodka!, pomyślała Mandy. Słodka jak landrynka! Te jej błyszczące oczka jak guziki, ciemne oczka, które wszystko zauważą. Lekko napuszona jak mały gołąbek, dumna i zadowolona. *Ona* słyszała fanfary na ich cześć, głośno i wyraźnie. Wdzięczyła się przy ich dźwiękach jak promieniejąca dobrocią żona Świętego Mikołaja w nowoczesnym ubraniu. W eleganckiej szarej spódniczce, miękkim, szarym zakiecie z białym żabotem pod szyją. No i w tym czepeczku z własnych włosów przybranych fiołkami.

Rozmawiał z nią pełen zapału młody mężczyzna. Mandy usłyszała, jak mówi: – Muszę wysiać jeden katalog Leonardowi. Będzie na pewno zainteresowany!

Rozejrzał się dokoła i wyciągnął rękę w dół, ku ławce.

– Ten jest mój – zastrzegła pani Garrison.

– Och, przepraszam.

Jej katalog, na ławce! Zwykły katalog, taki jak pozostałe. W foyer mają ich całe hałdy. Garrisonowie też bez wątpienia mają już kilka. Na pewno przychodzili tu dość często. Mandy zamrugwała.

Tobias, odwracając się, rzekł: – Weź ten, Dave. Zaczekaj, coś mu napiszę. Czy masz może pióro, moja droga?

Drobne dłonie nacisnęły na zatrzask przy szarej torebce z tkaniny. Otworzyła się delikatnie.

– Tylko nie przyciskaj, Toby.

Tobias wziął od niej pióro i znieruchomiał, szykując się do pisania. Jego wzrok powędrował w próżnię, gdy tak stał, układając zdania. Amanda zobaczyła wreszcie jego oczy, błękitne, a jednak ciemne, głęboko osadzone i smutne. To strata, pomyślała. Poniósł jakąś dotkliwą stratę.

Obróciła się, by spojrzeć w bok. Nie dało się temu zaprzeczyć: czuła ogromne podniecenie. Ciekawość dotycząca tych ludzi płonęła w jej umyśle jak ogień. Ta mała kobietka w szarościach z jej ciemnymi oczami i miękko zarysowanym, zaokrąglonym podbródkiem była postacią na portretach. Na wszystkich czterech portretach. Ale to nie była Belle. Nie, nie Belle.

– Ione! – przemówił kobiecy głos. – Moja droga, jak miło cię widzieć! Tobias, jak się masz?

To była Fanny Austin. Sama ona! Amandę oszołomiło własne odkrycie. Każda zmarszczka na tej starzejącej się pucułowatej twarzy pod sztucznie błyszczącą czupryną kasztanowych włosów była tak miła dla oka i dobrze znajoma. Fanny Austin potrafiła zagrać każdą żeńską postać, przeważnie jednak wcielała się w role olśniewających kobiet, a jej obecność w obsadzie niezmiennie zapewniała filmowi sporą uwagę krytyków, czyniła obraz dziełem z wyższej półki. To była Fanny Austin, której ogromne doświadczenie sceniczne, choć porzuciła teatr, w połączeniu z niezwykłą inteligencją i talentem czyniły ją królową-matką Hollywood.

– Poproszę o moje pióro, Toby – rzekła pani Garrison. – Jak się masz, Fanny?

Amanda przesunęła się wzdłuż ściany, stając nieco dalej. Nie należało podsłuchiwać. Usiadła wreszcie na jednej z kamiennych ławek, którymi usiana była sala. Znajdowała się teraz w pobliżu szerokiego łukowego przejścia i wciąż mogła się na nich oglądać. Postanowiła jednak nie patrzeć, przynajmniej przez chwilę, i siedząc, przerzucała kartki katalogu. Obróciła się bokiem i zajrzała do sali

środkowej.

Zobaczyła, jak wchodzi. Pierwsza myśl, jaka ją nawiedziła, to: Jaka piękna głowa!

Amandzie często zdarzało się słyszeć pogwizdywania mężczyzn. Nie należała do tych młodych kobiet, po których męskie oko prześlizgiwało się obojętnie. Zareagowała teraz tak, jak zwykle reaguje niemal każda młoda osoba, widząc rówieśnika – zwłaszcza atrakcyjnego rówieśnika – przeciwnej płci. Spodziewała się, że zostanie zauważona. Lecz chociaż młody człowiek, który przeszedł przez salę wielkimi krokami, widział ją wyraźnie, siedzącą w kremowożółtym kostiumie i brązowej bluzce, ładną i elegancką, z uniesionym profilem, spokojnymi oczami niby uosobienie niewinności i piękna, to jego spojrzenie powitało jej wzrok raczej chłodno. Spojrzał, zobaczył, zaniechał, poszedł dalej.

Amanda gwałtownie obróciła głowę, by za nim popatrzeć, i kątem oka pochwyciła identyczną jak swoją reakcję. Inna dziewczyna po drugiej stronie sali stała jak uosobienie niewinnej piękności; została zignorowana i wiedziała o tym. Amanda przygryzła wargę. A zatem, pomyślała, kładzie je przed sobą pokotem, tak? Kim on jest? Kto to może być?

Obróciła się bez ceregieli, żeby popatrzeć, i porzuciła wszystkie swe pozy. Jej wargi rozchyliły się. Można by wręcz powiedzieć, że rozdziawiła swoją śliczną buzię.

Głęboko osadzone, smutne oczy Tobiasa Garrisona zapłonęły czystą radością. Przygotował się do powitania. Dłonie spotkały się. Grupa otworzyła się jak rozchylający płatki kwiat. To byli ojciec i syn! Oczywiście, ojciec i syn! Wysoki, barczysty syn; jego ciemnowłosa, piękna głowa pochyliła się...

Amanda wstała i podeszła bliżej, zapominając zupełnie o dobrych manierach. Widziała to i czuła. Ojciec i syn! Ten wyraz ich twarzy! Serce zaczęło w niej topnieć. Ta jasność, słodycz tego uśmiechu!

– Thone! – wykrzyknęła Fanny Austin, a jej ciepły, głęboki głos zawibrował na powitanie.

– O, Thone – rzekła mała pani Garrison mniej wylewnie.

Thone objął ramieniem Fanny. Podał Ione lewą dłoń, przyciągnął ją do siebie i ucałował lekko w policzek. Następnie znów spojrzał na ojca. Amanda pomyślała: Pójdę do domu. Cofnęła się po cichu pod ścianę. Nagle poczuła się strasznie samotna. Jednak nie mogła odejść. Zobaczyła, jak Thone obraca się powoli i przygląda się obrazom na ścianach. Zobaczyła, jak Tobias występuje z grupy i staje z nim ramię w ramię, razem z nim się obraca. Zobaczyła, jak obaj stają wreszcie

przodem do ściany naprzeciw wejścia.

Wstrzymała oddech. Widziała jego profil, a po chwili prawie całą twarz, gdy zwrócił ją w stronę artysty. W jej głowie zapanował chaos. Jeśli widząc ten obraz, Thone poczuje to samo co ona, to będzie to coś znacząco... Ale nie poczuł! Odczytała to smutne kręcenie głową, to zaintrygowane ściągnięcie pięknych brwi, którymi przemawiał do ojca bez słów, lecz i tak wydawało się to oczywiste: „Nie. Nie, nie rozumiem tego”. A Tobias nie wyglądał na zranionego ani rozczarowanego, a raczej na zadowolonego, położył dłoń na wysokim barku i zdawał się stać bardziej prosto w sekretnym porozumieniu.

Amanda Garth powiedziała do siebie: Poznam ich. Poczwała mrowienie, gdy to postanowiła. Nie teraz. Nie tutaj. Ale ich poznam. Bardzo tego pragnę. Powoli przeszła z powrotem przez sale galerii. Towarzyszyło jej rozdzierające uczucie. Ale poznam ich, pomyślała znowu. Brodę niosła wysoko.

Myślała dalej: Ma dwadzieścia trzy lata. Urodziny obchodzi tego samego dnia co ja. Jak dotąd przez całe swe życie Amanda niemal instynktownie przyklaskiwała ogólnemu przekonaniu, że dziewczyna, powiedzmy, dwudziestotrzyletnia potrzebuje mężczyzny, który ma lat dwadzieścia pięć, albo – jeszcze lepiej – dwadzieścia siedem. A nawet trzydzieści. Teraz nagle ją oświeciło. Cóż za staroświecka bzdura!, pomyślała.

Wyszła przez szklane drzwi na ulicę. Zdawało się, że nie potrafi się zbyt szybko poruszać. Szła powoli do samochodu.

Wychodzą! Serce w niej podskoczyło.

Dokładnie na wprost drzwi panoszył się lincoln continental ze składanym dachem, ładne cacko, auto dla młodych, pięknych ludzi, na które młodzi, piękni ludzie prawie nigdy nie mogli sobie pozwolić. Ale samochód był stworzony dokładnie dla nich.

A jednak dziwne. Naprawdę dziwne. Przyglądała się im, jak wsiadali. Fanny Austin z tyłu. Pani i pan Garrison z przodu. Na końcu Thone usiadł z tyłu razem z rudowłosą Fanny. A kiedy samochód ruszył, cicho, płynnie, pewnie, unosząc ich w dal, na kierownicy spoczywały drobne, pulchne dłonie małej kobietki, Ione.



## Rozdział 3

Tobias Garrison powtarzał często, że dom wbudowany w zbocze wąwozu, gdzie mieszkał, jest w stylu staroświecko-nowoczesnym, co miało oznaczać, że stanowił dziwaczny i niezbyt praktyczny zlepek niedopracowanych pomysłów. Uważał, że jest ładny, ale chaotyczny. Jednak Ione się podobał.

Przede wszystkim należał właśnie do niej. Toby zapisał go jej już kilka lat temu, bo wiedział, jaką jej to sprawi przyjemność. Do tego, jak uważała, dom był niezwykle, nie taki jak innych ludzi. A to oznaczało, że był lepszy. Był ponadprzeciętny. I jeśli nawet posiadał wady, to do tej pory stały się one tak znajome, że zdawały się należeć do niej, nieodłącznie jak zmarszczki na jej własnej twarzy.

Była to budowla ze szkła z domieszką jakiejś skały, otynkowana na szaro. Stała przycupnięta niby zwierzę z przednimi łapami wczepionymi w skraj przepaści i ciałem wiszącym w rozpadlinie. Choć tak naprawdę trudno ją było przyrównać do jakiegokolwiek żywej istoty, zbyt wiele w niej było ostrych kątów, zbyt dużo szkła. Nie miała oczu w postaci okien, kapelusza z dachu i komina, nie posiadała wcale twarzy domu. Gdyby na górze rozlano mieszaninę szkła i tynku, która olbrzymimi kroplami zaczęłaby skapywać w dół, zastygając po drodze w sześciennie bryły, efekt mógłby być równie monstrualny.

Ponieważ mieszanina przelała się na północ, światło wewnątrz rozchodziło się równomiernie, a z większości przeszklonych otworów można było zobaczyć majaczące w oddali po przeciwnej stronie wąwozu wysokie góry. Pasowało to Tobiasowi, który mieszkał i pracował na najwyższej kondygnacji.

Ione nie miała nic przeciwko schodom. Lubiała wiszące fragmenty ograniczonej przestrzeni. Nie przeszkadzała jej brzydota domu, a zresztą do tej pory na wąskich terasach, które prowadziły w dół zbocza, rośliny, zwłaszcza różnego rodzaju powoje, wybijały tak, że złagodziły i ukryły najgorsze łysiny i absurdalne kształty.

To był wspaniały, wielki dom. No i należał do niej.

Ione stała w kuchni, której okna wychodziły na zachód, na zielony wylot wąwozu. Byli już po obiedzie, Elsie krzątała się między kuchnią i jadalnią z naczyniami. Elsie była stara, małomówna, pogodna i zadowolona. Życie w wąwozie toczyło się gładko wedle ustalonego porządku, a Ione pewnie trzymała swą dłoń na pulsie całego domu.

Poza chwilami, pomyślała z odrobiną złości, gdy przebywał w nim Thone.

Ale po co poddawać się złości. Wsunęła łyżeczkę do czekolady gotującej się na

wolnym ogniu, żeby ją spróbować i sprawdzić temperaturę. Tabletki spoczywały bezpiecznie w jej lewej dłoni, w zaciśniętych palcach.

Thone! Cóż za idiotyczne imię dla chłopca! Thone, bo było to *jej* nazwisko. Nazwisko Belle.

Czekolada nie była jeszcze dość gorąca.

– Czy wypłukałaś termos, Elsie?

– Tak, proszę pani.

Dziwny był z niego chłopiec, z tego syna Belle, wychowany na Dalekim Wschodzie, po cudzoziemsku. Mogłaby o tym jakoś napomknąć. Jej myśli lawirowały i wirowały. Tobias będzie zdruzgotany. Rzecz jasna, będzie musiał ukrywać swój smutek. Tymczasem to ona, Ione, pokieruje odczuciami wszystkich tak, by doprowadzić ich do jednego pewnego wniosku: samobójstwo. Tak, jeśli tylko się pospieszy! Bez wątpienia Thone zechce zobaczyć się z ojcem jeszcze ten jeden, ostatni raz...

Samobójstwo, oczywiście. To nie może wyglądać na nic innego. Nikt nie miał się dowiedzieć, co *ona* czuje, w każdym razie nikt nie miał wiedzieć tego lepiej niż tamtym razem. Co do pieniędzy Thone'a – pieniędzy Belle – i tak w żadnym wypadku nie mogłyby one trafić do Ione. Zaś gdyby nawet znalazły się w posiadaniu Toby'ego, głupotą wykazałby się ten, kto uznałby to za motyw, bo Toby, rzecz jasna, i tak miał mnóstwo pieniędzy, a połowa z tego, co miał, zgodnie z prawem należała do niej.

A zatem samobójstwo. Wszystko zależało teraz od tego, czy uda się jej wykreować odpowiednie wrażenie. Dlaczego, na ten przykład, młody i stosunkowo bogaty młodzieniec miałby pragnąć śmierci? W związku z tragicznym końcem własnej matki? Nie, lepiej tego nie ruszać. Wystarczy ta sprawa z dziewczyną. Polowanie na chłopca... jego wrażliwość... Wciąż jeszcze miała list od tej panny. W odpowiedniej chwili, acz niechętnie, mogłaby go ujawnić.

Musi się udać.

I to, pomyślała, będzie koniec wszystkiego. Już nigdy ten dom ani kłębek nici jej wspomnień, ani sieć planów, cała ta misternie utkana tkanina nie będzie szarpana i strzepiona. Już nigdy nie poczuje, że życie tego domu zmienia się i oddala od niej, rozpada się i formuje na nowo we wzór wspomnień, których częścią nie była. Które w ogóle do niej nie należały. Należały do Belle. Och, ta zadra – ten wydarty kawałek jej ciała – nie chce się zagoić, zniknąć ostatecznie. Ale jutro tak się stanie.

Bo kiedy tylko zjawiał się on, ten *jej* Thone, Tobias wymykał się do innego świata.

A był to świat, który w całości należał do Belle. Belle zjawiała się tutaj, w tym domu. Jej sposób bycia. Jej metody działania. Bez wątplenia jej twarz w każdych drzwiach.

Ione myślała: Nigdy nie zdołam skłonić Toby'ego do sprzedaży tego obrazu, tak jak sprzedał całą resztę, dopóki to się nie skończy. I obrazu należącego do Thone'a. Ten też sprzeda. I to już będą *wszystkie*. *Wszystkie* znikną. Nie pozostanie nic, żadna osoba, żadna rzecz, która by o niej przypominała.

Nie licząc Fanny. Fanny, która miała wstęp do obu światów. Cóż, Fanny nie odzywała się, gdy nie było tu Thone'a. Och, to doprawdy było niezręczne, że Fanny przyjechała dziś z nimi do domu. Tak, myślała Ione, musi się pospieszyć i wykonać swój plan, swój długo przygotowywany plan, jeszcze tego wieczora, natychmiast. Jeszcze zanim Fanny zobaczy i usłyszy od Thone'a dość, by nie uwierzyć... Należy bowiem delikatnie nasączyć atmosferę motywem samobójstwa, samobójczego nastroju.

„Hmmm, rozumiem panowie...” – mogłaby powiedzieć policji. Mogła być pewna, że zjawi się policja. Zawracanie głowy.

Ale co tam, poprzednim razem też była policja i niczego to nie zmieniło. Wszystko poszło świetnie.

Powie, że Thone poprosił ją o tabletki nasenne. Poprosił ją, stając w drzwiach, późnym wieczorem, gdy wszyscy byli już w łóżkach. Tak było bezpiecznie, bo Tobias spał na górze, tutaj, na najwyższym piętrze, podczas gdy jej sypialnia i pokój Thone'a znajdowały się w tym samym skrzydle na dole. W dodatku byli tu sami. Elsie i jej mąż, Burt, mieszkali jeszcze piętro niżej. Tak, spokojnie mogła tak powiedzieć. Były to tabletki na jej własną receptę; to też im powie. Miała je prawie od roku. Nie podzielała zwyczaju Tobiasa zażywania chloralu. Nie, to były barbiturany, bo nie wywoływały takiego przygnębienia.

Jednak w znacznej ilości mogły być niebezpieczne.

Nie, na pewno nie powie im, że dała mu całą paczuszkę. Opisz za to, jak wytrząsnęła mu na dłoń kilka tabletek, lecz on powtarzał „Więcej”, dopóki nie wysypała wszystkich.

Papierowa paczuszka znajdowała się w jej kieszeni. Musi pamiętać, by ją zmiąć i wrzucić do kosza na śmieci w swoim pokoju. Jego odcisków palców nie będzie na papierze, rzecz jasna.

Wszystko musi wyglądać tak naturalnie, jak to tylko możliwe, wzięwszy pod uwagę okoliczności.

Elsie musi być osobą, która zanieśe termos na dół do jego pokoju. Ona sama zaś nie wejdzie tam aż do rana. Bo, naturalnie, nigdy tam nie wchodziła. (Nie robiła

tego, bo Belle wisiała na ścianie – skwitowała na marginesie.)

A zatem trzeba pomyśleć, dlaczego miałyby tam wkroczyć nazajutrz rano? Ach tak, przypomni sobie, gdy padnie to pytanie, opisz dokładnie, jak to Thone patrzył na nią dziwnie, biorąc pigułki, i prosił ją, co niezwykle, żeby obudziła go rano. Będzie udawała, iż zrozumiała, niestety zbyt późno, co mu chodziło po głowie. Że chciał, by to ona, macocha, była tą, która go znajdzie. Żeby nie zszokować ojca... nie zszokować biednej Elsie, która go uwielbiała... Wybrał ją, Ione, najmniej mu bliską...

Zejdzie więc do pokoju, posłusznie, wczesnym rankiem, by go tam znaleźć. Lecz najpierw zanieś termos do jego łazienki, żeby go umyć...

Szczegóły.

Ważne było, by miała teraz przed oczami całą tę scenę i żeby nie przeoczyła żadnych szczegółów.

Posmakowała czekoladę raz jeszcze, zmierzyła na oko jej ilość i pokiwała głową.

– Jest już wystarczająco gorąca moim zdaniem, Elsie – rzekła nerwowo. – Nie powinna wrzeć. Zechcesz nalać do termosu? Myślę, że jakieś dwie szklanki...

Ione sama wyłączyła gaz i podeszła do lodówki. Mówiła gładko, swobodnym głosem o resztkach jedzenia i jutrzejszych problemach. Elsie w milczeniu odmierzyła dwie szklanki napoju, wlewając go do termosu.

Ione poczuła ukłucie zniecierpliwienia. O czym oni rozmawiali teraz tam, w atelier? Jeśli Thone zwierzał się ze swoich planów – jeśli, na przykład, był zaręczony albo nie mógł się czegoś doczekać – wtedy sprawy się skomplikują.

Ależ nie, pomyślała z cynizmem. Na pewną taplają się jeszcze w przeszłości razem z Belle.

Niekiedy, tak jak teraz, zdawało się, że Belle nadal żyje.

Przyszła jej do głowy bardzo wyraźna i niezwykle gorzka myśl, że Belle nadal żyje, skoro gdziekolwiek na świecie żyje jej dziecko, ciało z jej ciała. Ciało z ciała Belle i ciała Tobiasa! Które należy do mnie!, myślała Ione. Czuła, jak wzbiera w niej dobrze znane uczucie. Ona, Ione, trwała ponad wszystkim. Została stworzona na skale, zaś ta skała to była jej własna wola i nikt, i nic nie mogło jej poruszyć. Cokolwiek weszło w jej posiadanie, należało do niej na zawsze. Do końca świata. Amen. Tak, amen. Czas nie był w stanie pokonać jej gatunku. Nie była taka jak inni ludzie. Belle jeszcze się przekona! Bo kiedy jej dziecko wreszcie przepadnie, Belle będzie skończona, zmieciona z tego świata raz na zawsze!

– Elsie – rzekła spokojnie – co z tymi warzywami z czwartku? Czy nie możemy ich wyrzucić?

– Skoro nie zamierza ich pani wykorzystać...

Elsie, tak jak spodziewała się tego Ione, wzięła worek na śmieci, wrzuciła do niego stare warzywa i wyniosła. O, znała Elsie bardzo dobrze, znała jej nawyki i wszystkie rutynowe czynności.

Ione zdjęła korek termosu i z niezwykłą dbałością wrzuciła do środka pigułki. Zatkała go z powrotem i otrzepała dłoń. Usłyszała, jak Elsie trzaska pokrywą śmietnika na zewnątrz.

Jeśli się pospieszy...! Chwyciła pustą butelkę po śmietanie i wlała do niej trochę czekolady pozostałej w rondlu. Podeszła do drzwi, wyszła na korytarz, schyliła się i postawiła butelkę na podłodze w cieniu za zasłoną. Gdy Elsie weszła, Ione trzymała przy ustach filiżankę.

– Bardzo smaczna, Elsie – rzekła półgębkiem.

Teraz Elsie nie zauważy, że odrobina czekolady ubyła. Będzie myślała, że Ione wypiła ją z tej zapaćkanej naprędce filiżanki. Istniał tylko nikły cień prawdopodobieństwa, że zauważy brak butelki po śmietanie. Lecz to wydawało się bardzo mało istotne.

Rankiem, kiedy już ją wykorzysta, umyje też butelkę i postawi ją w jakimś ciemnym zakamarku w kuchni. Szczegół. Termos musi zostać znaleziony zabrudzony niewinną, nie zatrutą czekoladą. I tak też się stanie. Wszystko zostanie przeprowadzone jak należy. Absolutnie.

– Zechcesz zanieść termos i czystą filiżankę do pokoju pana Thone'a, Elsie?

– Tak, proszę pani.

Ione, mała pani domu, wyszła na korytarz. Zwrócona plecami Elsie nie mogła zobaczyć, jak nachyla się, by podnieść butelkę. Udała się do własnej sypialni. Mogła spokojnie zejść na dół, skoro termos był wciąż jeszcze w kuchni. Butelkę po śmietanie najbezpieczniej i najbardziej poręcznie będzie trzymać na półce w jej szafie. Jeśli czekolada w niej wystygnie czy nawet skwaśnieje, nie będzie to miało żadnego znaczenia. Tylko termos musi zostać znaleziony z *wyciągniętym* korkiem.

Wrzuciła papierową paczuszkę do własnego kosza – pamiętała, że musi to zrobić. Przypudrowała się nieco. Czuła tę cudowną pewność, przyjemność z panowania nad światem. Tak, jak było to konieczne. No tak, trzeba było słuchać wyłącznie samej siebie. Tylko własnym rozkazom podlegać. Tutaj, na tej wirującej planecie płonęło tylko jedno ognisko potęgi... Zacisnęła palce dłoni. Ziemia wiruje... wiruje... lecz ja wciąż... Pomimo wszelkich przeciwności. Tak, pomimo Belle.

Kiedy weszła po schodach do długiego atelier leżącego we wschodniej części domu, biegnącego wzdłuż wschodniego brzegu wąwozu, wiedziała, że właśnie to

robili. Rozmawiali *o niej*. Bo teraz zamilkli.

Uśmiechnęła się, podnosząc swój koszyk z robótką na drutach, mówiąc:

– Elsie przygotowała ci gorącą czekoladę na później, Thone.

– Och, dziękuję, Ione.

Co by było, gdyby nie przepadał teraz za mlekiem i czekoladą tak jak wtedy, gdy wrócił z wojska? Co by było, gdyby w ogóle ich nie pijał? Założyła okulary. Złote oprawki spoczęły na drobnym nosie. Jej radosna, mała twarz wyglądała tak łagodnie. No cóż, pewnie innym razem... Światło lampy padło na jej różowe, zwinne, małe dłonie.

Amanda, jadąc pośród wiosennej ciemności po Linda Vista z Arroyo opadającym po jej prawej stronie, przez cały czas czuła w ustach niesmak wywołany okolicznościami jej wyjścia z domu. Nie podobało jej się to. W ogóle jej się to nie podobało.

Mimo wszystko nie można przecież powiedzieć własnej matce, choćby nawet tak kapitalnej jak Kate: „Mamo, widziałam tego człowieka i nie wiem dlaczego, ale muszę zbadać tę sprawę. Muszę to zrobić i już. Dlatego jadę teraz, żeby wykorzystać swój kobiecy spryt i przebiegłość i jakoś go poznać. Dać sobie szansę... bo muszę wiedzieć, do czego to może doprowadzić.” Zamiast tego powiedziała więc, że chodzi jej o sztukę. Powiedziała, że to ważny artysta. Zarzuciła przynętę. Może jeśli z nim porozmawia o swoich ambicjach, zniechęci ją, a to pasowałoby Kate. Powiedziała, że mógł to być doskonały Wstęp do znajomości i zamierzała go wykorzystać. Powiedziała, iż nie uważa, by było to w złym guście. Powiedziała, że facet pewnie i tak interesuje się młodymi artystami. A w każdym razie powinien. Wyglądał na bardzo miłego i życzliwego człowieka. I naprawdę nie zajmie jej przecież wiele czasu ten dojazd z Północnego Hollywood do wzgórz Pasadeny. Nie wróci późno. Gene niech zaczeka. „Och, mamo, nie bądź taka naburmuszona.”

Ale Kate wcale nie była naburmuszona. I to bolało. I nie podobało się Amandzie.

Lecz gdy tylko pomyślała o tym, gdzie jedzie, ogarnęło ją podniecenie niemal nie do wytrzymania. Nie było trudno dowiedzieć się, gdzie mieszkają. Zadzwoiła do galerii, a tam jej powiedziano.

Przećwiczyła raz jeszcze swoją mowę. Nie było to coś, co dałoby się powiedzieć przez telefon; nie mogła też umówić się na spotkanie w tej sprawie. Nie, ona musiała tam po prostu wtargnąć...

Musiała zdobyć się na odwagę. Odwagę? Bezczelność raczej, pomyślała Amanda. Ech, co tam, wszystko można zwalić na sztukę. Pragnęła malować, musiała więc

być trochę szalona.

Samochód warczał, jadąc dalej. Spojrzała w lewo, by odszukać wznoszącą się drogę, dostrzegła ją i była zadowolona, że musiała się teraz skupić na nakłonieniu auta do pokonania stromej góry.

Zaparkowała tak blisko ściany, jak się tylko dało. Na dłoniach czuła wilgoć, której nie mogła się pozbyć. Przeszła przez mały podjazd i dźgnęła dzwonek. Stało się. Teraz już było za późno na wahanie.

## Rozdział 4

Czy mogę widzieć się z panem Garrisonem?

Starsza kobieta, która otworzyła drzwi, miała srogą, obojętną twarz. – Zobaczę. Kto chciałby go widzieć?

– Amanda Garth.

– Zechce pani poczekać?

Kobieta zachowywała się jak automat. Gospodyni, jak domyśliła się Amanda, ruszyła w prawo i pokonała jeden stopień w dół, mijając szerokie przejście.

Amanda rozejrzała się po niemal kwadratowym holu, gdzie stała. Dokładnie pośrodku znajdowały się opadające w dół schody. Okrągły otwór w podłodze, przez który się na nie wchodziło, otoczony był żelazną poręczą. Po jej lewej stronie zasłona częściowo ukrywała pomieszczenie, którym, jak się domyśliła, musiała być kuchnia, bo na podłodze leżało linoleum. Było też kilkoro drzwi – wszystkie pozamykane. Z prawej strony wpadało światło lampy i słychać było szmer głosów.

Amanda stała nieruchomo. Nagle w szerokim, zwieńczonym łukiem przejściu pojawił się młody mężczyzna, Thone, a za jego plecami stara służąca pomaszerowała do kuchni.

– Jestem synem pana Garrisona. Może mi pani powiedzieć, o co chodzi? – Zachowywał się wobec niej chłodno, choć uprzejmie.

– Nie, obawiam się, że nie mogę – odparła z takim samym chłodem Amanda. – Jeśli pan Garrison jest zajęty, czy mógłby go pan zapytać, kiedy *będzie* mógł mnie przyjąć?

Spojrzał na nią z góry ze słabym uśmiechem, wyniosłym, obojętnym, cierpliwym uśmiechem. Następnie, wzruszając lekko ramionami, odwrócił się i zniknął w przejściu pod łukiem. Amanda słyszała, co tam powiedział. Wydawało się jej, że chciał, by to usłyszała. Nie mówił głośno, ale bardzo dźwięcznie, jak gdyby mocno zależało mu na tym, aby jego słowa do niej dotarły.

– To ta krótkowłosa dziewczyna, która tak nam się przyglądała w galerii – obwieścił Thone ojcu. – Pewnie studentka sztuki. Czy będziesz zawracał nią sobie głowę, tato?

Nie usłyszała niewyraźnej odpowiedzi. Walczyła z emocjami, które opadały ją jak rój pszczoł. Złość, zażenowanie, lekkie zdziwienie, że jednak została zauważona. Krótkowłosa dziewczyna? A więc to tak?

Wrócił, przywołując ją powolnym ruchem ręki. Amanda minęła go z uniesioną



brodą, a on szybko złapał ją za ramię.

– Uwaga! Stopień.

– Dziękuję – odparła.

W miejscu gdzie ją dotknął, pozostał pewnie wyraźny znak. Amanda niedbale cofnęła rękę i rozejrzała się dokoła.

Ten wielki pokój stanowił pracownię artysty. Jednak przy kominku stworzono przytulny kącik z ustawionych tam sof i foteli. Były to nowoczesne meble, które idealnie pasowały do tego wnętrza. Pani Garrison, wciąż w swym szarym kostiumie, robiła na drutach coś z niebieskiej włóczki. Siedziała najwyraźniej na ulubionym miejscu, wciśnięta w róg sofy, było jej błogo i miała wszystko w nosie. Na pewno Amandzie nie pomoże. Jej oczy za szklami okularów wyrażały jedynie spokój.

Tobias Garrison z jednym szczupłym udem założonym na drugie kiwał stopą w stronę ognia. Nie podniósł się. Jego smutne oczy biegały nerwowo po twarzy gościa.

– Słucham?

Thone za jej plecami milczał. Amanda otworzyła usta, lecz nie wydukała ani słowa. Jakież to było okropne!

– Mów swoją kwestię, dziecko – odezwała się z werwą Fanny Austin.

Siedziała obok Tobiasa. Jej brzydka, drobna twarz była pogodna, zaciekawiona i całkiem życzliwa.

Amanda poczuła, że paraliż ją opuszcza. Uśmiechnęła się do Fanny i uniosła brew, jakby mówiąc „dziękuję”. Odezwała się:

– Rzeczywiście *jestem* studentką sztuki, panie Garrison. I najwyraźniej nie jestem tak od-dważna, jak mi się wydawało. Przyszłam tu, bo już kiedyś się spotkaliśmy.

– Doprawdy? – Głos Tobiasa brzmiał spokojniej, niż się spodziewała. – Wybacz, ale cię nie pamiętam. Może zechcesz mi przypomnieć?

Coś musnęło z tyłu jej nogi. Thone przyniósł jej krzesło. Amanda usiadła nadspodziewanie pewnie. Starła się nie garbić, nachylając się ku swym słuchaczom.

– To było dawno temu, proszę pana.

Garrison uprzejmie uniosł głowę.

Mówiła dalej: – Czy prawdą jest, panie Garrison, że gdy urodził się pański syn, pokazano panu niewłaściwe dziecko?

Wyprostował się na swoim miejscu, zdumiony. – Tak było – rzekł.

Wpatrywał się jej prosto w oczy, a ona nie była świadoma niczego innego.

– To ja jestem tym niewłaściwym dzieckiem – wyjaśniła Mandy.

– A więc widzi pan, spotkaliśmy się już kiedyś, choć ja też tego nie pamiętam.

– Na litość boską! – zaskrzeczała w końcu Fanny. – Opowiedzcie nam o tym.

Do jej tonu szczerzego zainteresowania zakradła się nuta napięcia i zaskoczenia.

– A więc stąd to zainteresowanie dzisiejszego popołudnia – wtrącił lekko Thone. Przesunął się z krzesłem bliżej Fanny i usiadł po drugiej stronie małego, okrągłego stolika.

Amanda na niego nie patrzyła. – Oczywiście byłam państwem zainteresowana – przyznała bez oporów. – Dowiedziałam się o wszystkim nie dalej jak dziś rano. Udałam się więc do galerii i gapiłam się, jak tylko mogłam.

Tobias posłał jej raczej niepewny uśmiech.

– Bo uważa pani, że mogliśmy zostać podmienieni tuż po narodzeniu? – Thone nadal przemawiał lekkim tonem. Czy był zły, czy rozbawiony, nie sposób było odgadnąć.

– Wiedział pan o tym? – Amanda obróciła się i spojrzała wprost na niego.

– O, tak.

– O czym? – odezwała się Ione. Robótka wypadła jej z rąk. Leżała teraz w bezładzie. – Nie rozumiem...

– Och, pani Garrison – przemówiła Mandy, szybko się do niej odwracając. – Nie przyszłam tu, by udawać, że myślę, iż jest pani moją matką. Wcale tak nie uważam. Ja tylko...

– Nie jestem niczyją matką – ucięła Ione. Jej oczy stały się bardzo ciemne, jakby niewidzące, a zarazem wrogie.

– Chwila, moment! – zawołała Fanny. – Tobias, opowiedz nam!

– To nie miało większego znaczenia – rzekł Tobias – ale spotkaliśmy się już kiedyś, to prawda.

– Właśnie – dodała Amanda. – I nic poza tym.

Tobias uśmiechnął się. – Muszę powiedzieć, że do głowy by mi nie przyszło, że to ty, moja droga. Oczywiście widziałem cię dziś po południu. Tworzyłaś piękną barwną plamę. – Był bardzo miły. – Ale pamiętam, że tam, w szpitalu, zaszła po prostu głupia pomyłka, Fanny. Przez chwilę myślałem, że mam córkę. I jak rozumiem, to właśnie ona, tylko że już dorosła.

– Miałeś przecież syna – wtrąciła Ione z przejęciem.

– Oczywiście, moja droga.

– Ale jak...? – Jej małe dłonie plątały włóczkę z wściekłością.

– Nie ma się tak czym przejmować – stwierdził leniwie Thone.

Jego głowa spoczywała na wysokim oparciu krzesła. Patrzył w dół własnego nosa. Palcem wskazującym bawił się blatem stolika. Był to mebel obrotowy – poruszał się przy każdym dotknięciu.

Amandę ogarnęła wściekłość. – Oczywiście, że nie ma się czym przejmować. Ja... Mój ojciec i moja matka są... są mi bardzo bliscy. Niepotrzebnie tu przychodziłam. Pomyślałam tylko – zwracała się do Tobiasa – że jeśli pan będzie pamiętał, powie mi pan coś o tym, o czym powinnam pamiętać w swojej pracy.

– Przez wzgląd na dawne czasy – wtrąciła Fanny, kiwając głową.

Złość Amandy wypaliła się. – Och, tak mi przykro – rzekła rozpaczliwie. – Nie pomyślałam, że pomyślą państwo, iż myślę... Tak, przez wzgląd na dawne czasy, rzecz jasna. Tylko o to mi chodziło.

– A jak się miewa twój ojciec, moja droga? – spytał bez emocji Tobias. – Wydał mi się wtedy naprawdę wspaniałym człowiekiem. John Garth, mam rację?

– On... on nie żyje. Od dwunastu lat.

– Och, jaka szkoda. Nigdy natomiast nie poznałem twojej matki.

– Mama miewa się dobrze – powiedziała Amanda. Nagle wyraz oszołomienia zagościł na jej twarzy. – Czy to była pańska pierwsza żona wtedy w szpitalu?

– To ja jestem pierwszą żoną pana Garrisona – wtrąciła Ione głosem nie znoszącym sprzeciwu.

Cisza zaczęła dźwięczeć.

– Och, zlituj się, Ione! – wykrzyknęła Fanny. – Przez ciebie to biedne dziecko wyobraz sobie nie wiadomo co... – Nachyliła się w stronę Mandy. – Ta pani Garrison jest pierwszą i trzecią żoną Tobiasa. Twoją matką – to znaczy kobietą, która mogła być twoją matką – była Belle. Belle Thone.

– „Belle w drzwiach”? – Amandę zatkalo. – Och, nawet pan nie wie... jak ten obraz... jakie zrobił na mnie wrażenie. Prawie się popłakałam!

Wiedziała, że się przed nimi odsłania. Ale nic nie mogła na to poradzić. Uznała, że musi to powiedzieć artyście. Znow zapadła ta okropna cisza.

– Samą Belle za życia niewiele ten obraz obchodził – rzekł Thone bez emocji, raczej spokojnie – prawda, tato?

Być może chciał sprawić, by dzięki rozmowie ojciec powstrzymał emocje. Tobias nie odpowiedział. Oczy mu zgasły. Twarz posmutniała. Amanda rozglądała się desperacko dokoła.

– Tak, ona nie żyje – potwierdziła krótko Fanny.

A Thone niespokojnie poruszył się na krześle. Przez chwilę Mandy w panice już

widziała, jak ktoś bierze ją za kołnierz i wyrzuca z tego domu. Zaczęła się podnosić. Czowała strach.

Jednak Ione odezwała się uprzejmie: – Może byłaby pani zainteresowana innym portretem Belle, panno... Garth, czy tak? Czy pozwolisz, Thone, że zabiorę naszego gościa na dół i pokażę obraz?

– Ależ proszę – odparł Thone, machając ręką. Jego oczy wciąż spoczywały na ojcu. – Pokaż jej go. Zabierz ją na dół.

Czyli zabierz ją stąd, pomyślała Amanda. Podążyła za pulchną, niską kobietką, pokonując jeden stopień w górę, i dalej w stronę schodów pośrodku domu. Szła otępią, wdzięczna, że może uciec od tego, co sama spowodowała, czego żałowała i nie rozumiała.

Fanny pomyślała, że Ione zachowała się bardzo stosownie, zabierając na chwilę dziewczynę z tego pokoju.

– Toby, mój drogi – przemówiła. – Przykro mi, ale ktoś musiał jej to powiedzieć.

– Tato, jeśli jej obecność wprawia cię w złe samopoczucie, mogę się jej pozbyć. Nie musisz jej już więcej widywać, przecież wiesz.

Tobias poniósł się. – Nic mi nie jest. Teraz wszystko już jest w porządku. Ona tylko... przypomniała mi przeszłość. – Skrzyżował nogi odwrotnie niż przedtem i oparł głowę. – Wydaje się, że to miła dziewczyna. Ma śliczną twarz.

Thone chrząknął znacząco.

– Musisz pamiętać – ciągnął Tobias delikatnie – że byłem mocno podnieconym tatusiem tego ranka tuż po twoich narodzinach. Musisz spróbować to zrozumieć. Miałem wtedy głowę pełną wzniosłych, egzaltowanych myśli i odczuć. Obawiam się, że wpatrywałem się bardzo mocno, bardzo długo i chciwie w niewłaściwą twarzyczkę. Niczego cię przez to nie pozbawiłem. Nigdy tak o tym nie myśl. Jednak... czy to rozumiesz? Ta dziewczyna... Spotkaliśmy się już kiedyś.

– Oczywiście, że rozumiem – odparł Thone równie delikatnym głosem.

Schody prowadziły jeszcze niżej, lecz Ione opuściła je na pierwszym poziomie, na jaki dotarła razem z Mandy. Nie odzywała się ani słowem. Dopiero otwierając drzwi na końcu wysłanego wykładziną prostokątnego korytarza, przemówiła.

– To pokój Thone'a.

Serce Mandy waliło ciężko. Ione wyciągnęła rękę i znalazła włącznik. Rozbłyły lampy. Wówczas, obserwując twarz dziewczyny w nowym świetle, Ione spytała, choć zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie.

– Może jednak wierzy pani, że w szpitalu zaszła pomyłka?

Mogę być szczerą, pomyślała Mandy, choć i tak już z całą pewnością wyszłam na idiotkę.

– Raczej nie – odparła – lecz... przez jakiś czas chodziło mi to po głowie. Może po prostu jestem romantyczką czy coś takiego. – Jej nerwowy uśmiech błagał o zrozumienie i wybaczenie.

– Powiedziała pani o tym własna matka? – spytała chłodno Ione.

– Tak.

– Czy *ona* przypuszcza...?

– Och, nie, skądże. Nawet o tym nie rozmawialiśmy – zaprzeczyła gwałtownie Mandy. – Bo... Cóż, po prostu wiemy, że to i tak niczego by nie zmieniło.

Pulchna, mała twarz Ione była jakaś taka nieprzystępna. Spokojna, nie gniewna, może zamysłona. Kobieta nic więcej nie powiedziała. Gestem zaprosiła Mandy do pokoju.

Obraz wisiał nad niewielkim narożnym kominkiem. Mandy nie miała szczególnej ochoty go oglądać. A jednak patrzyła. Przysunęła się bliżej. Był to portret. Portret Belle, która wyglądała cudownie. Jednak nie było w nim tego czaru, myślała Mandy, tej prowokacyjnej ułudy życia. Tego wrażenia jasności, którą należy pochwycić błyskawicznie, bo jest ulotna jak mgnienie oka: ukłuje cię w serce i znika. To była Belle, śliczna i kochana, lecz nie tyle pochwyciona, co ustawiona...

Myśli Mandy błąkały się. Pokój Thone'a. Gdy tak stała plecami do większości pomieszczenia, jej wzrok padł na szerokie, nie zasłonięte okno. Na tle ciemności odbijało wszystko jak lustro. Zobaczyła w nim regały z bardzo małą liczbą książek i niewielkie biurko – puste. Pojedyncze łóżko, nocny stolik. Posadzka z ciemnych kafli, których niesamowity chłód niwelował nieco gruby, futrzany dywan. Niezamieszkaný pokój. Jego walizki...

Nagle zobaczyła w oknie, jak Ione podnosi rękę i uderza w coś, co stało na nocnym stoliku. Rzecz spadła z trzaskiem na twardą posadzkę. Amanda podskoczyła na ten dźwięk i obróciła się.

– Ojej! – jęknęła Ione. – Ojej, proszę tylko spojrzeć, co ja narobiłam! Mój łokieć! Ale ze mnie niezdara!

Jaki łokieć, myślała zdumiona Amanda. Przecież zrobiłaś to specjalnie. Widziałam!

Odruchowo zbliżyła się, by pomóc. Przyklękła, szukając gdzieś w kieszeni starej chusteczki. Z gustownego, małego termosu wypadł korek i sączył się z niego płyn.

Ione podniosła go, gdy Amanda z pochyloną głową wycierała podłogę.

– Na pewno wkład się stłukł – rzekła zmartwiona. – Rzecz jasna Thone już się z niego nie napije. Przez to szkło. To może być niebezpieczne. Och, jaka szkoda! – Podreptała do drzwi, za którymi była łazienka. Popłynęła woda. – No tak. Niestety, potłukł się – zawołała jakby radośnie. – Niech pani nie rusza tego bałaganu, moja droga.

– Ależ nic mi się nie stanie.

Amanda popatrzyła na swoją chusteczkę. Stara, już parę razy używana do starcia plamy z farby olejnej. Teraz upaprana brązową cieczą. Zwinęła ją wilgotnym fragmentem do środka i schowała do kieszeni. Jej palce namacały tam czystsza chustkę, o którą wytarła rękę.

Ione zjawiała się z ręcznikiem. – Thone tak przepada za gorącą czekoladą – sapała, ścierając podłogę. – Cóż, nic się na to nie poradzi. No. Chyba starczy tego wycierania. – I nagle dodała: – Proszę mi dać swoją chusteczkę.

– Och, nie – odrzekła Mandy.

– Proszę – powtórzyła Ione. Jej wyciągnięta dłoń nie zamierzała przyjąć odmowy. – Pobrudziła ją pani. Każę ją dla pani wyprać.

– Ależ proszę się nie kłopotać. Nic się nie stało.

– Mimo wszystko nalegam.

Zabawna mała twarz uśmiechała się. Ręka pozostawała wyciągnięta. Nie zamierzała się ruszyć, mowy nie było, by się wycofała.

– To tylko stara chusteczka – wyznała szczerze Mandy. – Nie powinna się pani kłopotać.

– Ależ to żaden kłopot, moja droga – odparła raczej chłodno Ione. – Proszę pozwolić mi ją wziąć. Odzyska ją pani zaraz, jak tylko będzie czysta i świeża.

Mówiła tak, jakby Amanda posądzała ją o chęć zawłaszczenia! Twarz Amandy spłonęła. Pomyślała w przypiływie niechęci: W porządku, ty natrętna klusko.

– No dobrze – mruknęła. Nie wyciągnęła jednak z kieszeni tamtej starej. Wsunęła w nieustępliwą dłoń czystsza chusteczkę – jedną ze swoich najlepszych, pomyślała z zadowoleniem, w dodatku z monogramem. – Choć sama pani widzi, że nie jest prawie wcale ubrudzona – rzekła.

– A zatem – powiedziała Ione, rozglądając się z westchnieniem – czy już się pani napatrzyła? – Sama nie zerknęła na portret ani razu.

– O tak, dziękuję bardzo. Pójdę już – oznajmiła Mandy. – Przepraszam, jeśli... jeśli narozrabiałam.

Ione roześmiała się radośnie. – Zdaje się, że to ja narozrabiałam, nieprawdaż? – rzekła, mrugając. – Muszę powiedzieć biednemu Thone'owi. No cóż... Chodźmy

zatem.

Już w holu usłyszały, jak Fanny mówi: – Tylko na tydzień, Thone? Och, fatalnie. Ale i tak musisz mnie odwiedzić. Obiecujesz?

– Przyjdę na pewno – przyrzekł. – O, panna Garth. – Wstał.

Amanda zeszła ze stopnia. Podeszła do starszego z mężczyzn.

– Pójdę już – rzekła. – Dziękuję panu za spotkanie. Dobranoc.

– Nie idź jeszcze. – Niezależnie od tego, jakie to druzgoczące uczucie go wcześniej nawiedziło, teraz już minęło. – Czy mieszkasz gdzieś w pobliżu, moja droga?

– Tak, w Północnym Hollywood.

– Twoja rodzina mieszkała wówczas na wschodzie?

– Tak, ale mama znalazła tutaj pracę. Pan Callahan ze spółki Synowie Callahana to nasz dobry przyjaciel.

– A ty pewnie studiujesz?

– Tak, proszę pana, choć oprócz tego pracuję też na część etatu.

– Musisz kiedyś przyjść za dnia – powiedział. – Powinnaś pokazać mi swoje prace.

Amandę zatkało.

– Musimy porozmawiać trochę o sztuce. W końcu jesteśmy starymi znajomymi – zauważył Tobias.

Jej zadziwione serce zmiękło. – Przyjdę z największą przyjemnością, jeśli jest pan pewien...

– Może więc któregoś popołudnia?

– Mogłabym? Mogłabym pana odwiedzić?

– Ależ proszę.

Przełknęła głośno. – Muszę już iść. Dobranoc panu. I dziękuję. – Jego dłoń była ciepła w dotyku. – Dobranoc, panno Austin.

– Odwiedź także *mnie* – zaprosiła ją Fanny. – Jestem samotną starą kobietą. – To nie była raczej prawda. – Mieszkam w Allwynie. I uwielbiam towarzystwo.

Fanny potrafiła tą swoją twarzą wyrazić wszystko, co tylko chciała. Teraz mówiła do Mandy: *Ja odpowiem na twoje pytania, moje dziecko*".

– Pani jest taka miła – wypaliła Mandy. Och, jak ona już lubiła Fanny Austin, tę czarującą, starą pocziwinę o twarzy małpki.

– Ma pani tu samochód? – zapytał uprzejmie Thone.

– Owszem.

– Zatem dobranoc, moja droga – rzekła Ione.

– Dobranoc, pani Garrison.

– Czy odwiedzisz nas jeszcze kiedyś? – Znowu wyglądała jak żona Świętego Mikołaja, taka była słodziutka i radosna. Całe to tajemnicze napięcie najwyraźniej znikło. Wszyscy stali się tacy życzliwi.

Amanda odparła, że ma taką nadzieję, a dłoń Ione musnęła jej rękę. Następnie Mandy przeszła do holu, a ręka Thone'a podniosła się, by przypomnieć jej o stopniu. Mandy wywinęła się jednak i sama zrobiła krok w górę. Wyszli na zewnątrz, gdzie panował chłód i mrok. Amanda znalazła klamkę drzwi samochodu.

– To dobranoc, panie Garrison.

Stali tak na drodze w wieczornym powietrzu. Był od niej znacznie wyższy. Jego barki znajdowały się na poziomie jej głowy. Mandy zgięła kark, wsiadła do samochodu. Thone nie odpowiedział „dobranoc”. Włożyła kluczyk do stacyjki.

– Jeszcze chwileczkę – rzekł wtedy spokojnie młody pan Garrison, a jej stopa z drzeniem zsunęła się z pedału gazu. – Nie powinna pani niepokoić mego ojca.

– Och...

– Tylko nieliczni z nas wiedzą, w jaki sposób rozmawiać z nim o Belle.

– Nie będę nawet próbowała – zapewniła Mandy.

Coś w nim jakby zmiękło. – Proszę rozmawiać tylko o malarstwie – zalecił lżejszym tonem.

Jej głos zadrżał. – Po to tu właśnie przyszłam.

Stał tam i nic nie mówił. Twarz Mandy płonęła w ciemności. Czubkiem buta nacisnęła pedał. Ryk silnika wypełnił upokarzającą ciszę. Gdy motor przycichł nieco, powiedziała tonem najlżejszym i najweselszym, na jaki ją było stać:

– Niewiadomo, czy się jeszcze spotkamy, panie Garrison. Ale miło mi było pana poznać. Do widzenia.

Odsunął się i uniósł dłoń.

Z niebywałą wprawą Mandy cofnęła samochód do miejsca, gdzie mogła zawrócić.



## Rozdział 5

W kafejce roilo się od klientów. Unosił się zapach kawy, pobrzękiwały naczynia, jak zwykle w porze, gdy kończyły się seanse w kinach. Rozmarzone żony i ich senni mężowie jedli w milczeniu, wspominając film. Młodzieńcy i ich dziewczyny, zapomniawszy już o filmie, wcielali się w role w małych sztukach własnego autorstwa.

Mandy skubała papierową serwetkę.

Gene Noyes odsunął swą filiżankę. – Późno już – rzekł. – Posłuchaj, Mandy, zawiozę cię teraz do domu i pójdziesz spać. I tak jesteś jakby nieobecna. Myśłami błądzisz zupełnie gdzieś indziej i nie mogę cię stamtąd wyrwać.

– To prawda – przyznała. – Przepraszam.

– A zdradzisz mi, gdzie jesteś?

Spojrzała w jego życzliwą twarz, pytające brązowe oczy, czekające na odpowiedź.

– Gene – zaczęła – może ty powiesz mi, czy coś z tego rozumiesz. Jeśli kobieta specjalnie...

– Tak, mów.

Strzępy serwetki wchodziły jej pod paznokcie.

– Gdzie ty byłaś dziś wieczorem?

Podniosła przestraszony wzrok.

– Posłuchaj, Mandy. Wiesz przecież, że mam kręćka na punkcie twojej matki. Cokolwiek dzisiaj robiłaś, ona nie była z tego powodu szczęśliwa. Zastanowiłbym się nad tym, gdybym był na twoim miejscu.

– Och. – Podniosła ręce do skroni. – Wiem. Nie musisz mi tego mówić.

– W porządku – odparł. – Nie karzę cię. Pomyślałem tylko, że może nie wiesz, to wszystko.

Uśmiechnęła się do niego. – Gene, powiedz mi coś... Załóżmy, że zobaczyłbyś, jak pewna kobieta specjalnie zrzuca na podłogę termos z gorącą czekoladą, żeby się stłukł, a czekoladę trzeba było wylać. Co byś sobie pomyślał?

– Kto miał wypić tę czekoladę? Ona?

– Nie. Ktoś inny.

– Pomyślałbym, że ona nie chce, by ten ktoś ją wypił.

– Ale dlaczego?

Wzruszył ramionami. – Może by mu zaszkodziła. Może już jest za gruby.

- Wcale nie.
- Wobec tego może była zwyczajnie na niego zła. Chciała mu zrobić na złość.
- Dziecinna zagrywka...?
- Tak.
- Nie – odparła Mandy.
- No dobrze. Więc może czekolada była zatruta.
- Nie bądź niemądry – rzekła Mandy.
- W takim razie facet jest narkomanem i w ten sposób zażywa prochy, a ona próbuje go wyleczyć.
- Och, na litość boską!
- No? – Uniósł brwi. – O co właściwie chodzi? Widziałaś taką scenę, Mandy? To cię właśnie gryzie?
- Nie rozumiem tego.
- A kto przygotował mu tę czekoladę?
- Nie wiem.
- Wszystko zależy od tego, czy jest to zwykła czekolada – zauważył radośnie Gene. – Bo jeśli nie, to zupełnie inna sprawa, prawda?
- Tak – odparła. – Oczywiście.
- Musiałabyś się najpierw tego dowiedzieć. Lecz skoro płyn powędrował do zlewu, już nie odkryjesz prawdy. Więc może dasz temu spokój, Mandy?
- Mandy odrzekła powoli: – Nie wszystko poszło do zlewu.
- Spojrzał na chusteczkę, którą wyciągnęła z kieszeni, na plamę, jaka ukazała się, gdy ją rozwinęła.
- Chodzi ci o magię nauki, co? A ja mam być czarodziejem. Właśnie ci się przypomniało, że jestem chemikiem.
- Mógłbyś to zrobić, Gene?
- Hm... może.
- A więc?
- Wziął w palce gałganek, popatrzył na plamę, powąchał. – A co za to dostanę? – uśmiechnął się szeroko.
- Och, Gene, proszę!
- Nie masz dziś humoru, Mandy.
- To było takie dziwne – stwierdziła.
- Naprawdę ci zależy, żeby się tego dowiedzieć, co?
- Tak.
- W porządku – powiedział i schował chusteczkę do kieszeni.

– Kiedy, Gene?

– Aż tak spieszy ci się?

– Cóż...

– Frank Mitchell ma całkiem niezłą pracownię, w której pozwala mi się czasem pobawić.

– A nie możesz zrobić tego jutro u Callahana?

– Nie mogę.

– To kiedy, Gene?

– Ależ ci się pali, co, Mandy? No dobrze. Wczesnym rankiem.

– Dzięki – rzuciła Amanda.

– Zerwę się jutro skoro świt, a nie wiem nawet, co właściwie będę robił. To się nazywa miłość, skarbie.

– Nie. To się nazywa nauka! – odparła Mandy z uśmiechem.

Gene miał wrażenie, że reszta jego randki przebiegła w bardziej radosnej atmosferze.

Lecz nawet gdy Amanda we własnym pokoju zwróconym jej po wyjeździe kuzynki Edny zdjęła wreszcie żółty kostium, wciąż rozmyślała o tamtym nie wyjaśnionym incydencie. Pokój Thone'a i gorąca czekolada, którą Thone miał wypić. Jeśli było z nią coś nie tak, oznaczało to, że ktoś w tamtym domu usiłował mu zaszkodzić. A jeśli nawet była to najzwyczajniejsza na świecie czekolada, to dlaczego jego macocha uważała, że nie wolno mu jej wypić? Czy podejrzewała, że ktoś inny w domu chce mu zaszkodzić? Ale kto? I dlaczego?

Może mieszkał tam ktoś jeszcze, kogo Amanda nie widziała. Może nawet Thone miał żonę. Może dlatego był taki... taki nieprzystępny. Pomyślała o walizkach, o tym typowo męskim pokoju. Nie, jeśli nawet był żonaty, to żony z nim tam nie było. A w każdym razie...

To nie moja sprawa, powiedziała sobie Amanda. Będę się trzymać od nich z daleka. Nie pójdę już tam więcej. Raz się wygłupiłam, nikogo nie skrzywdziłam i na tym poprzestaną. Jeśli zapomnę o wszystkim teraz, jeśli przestaną, zaniecham...

Skarciła siebie i uznała, że chyba czas już iść spać.

Nazajutrz rano pomiędzy zajęciami na uczelni wykonała telefon.

– Gene?

– Witaj, Mandy. Jak leci?

– W porządku. Czy próbowałaś się dowiedzieć... tego, co ja chciałam wiedzieć?

– Ach, to. Wiesz, co było na tej chusteczce, Mandy?

– To ciebie o to pytam. Ty jesteś geniuszem.

– A przy okazji: myślałem, że jesteś damą. Nazwałaś tę szmatkę chusteczką?

– Nigdy nie twierdziłam, że jestem jakąś tam damą. – Mandy bardzo się starała, by zniecierpliwienie nie zabrzmiało w jej głosie, i tylko krzywiła się z wysiłku. – No, mów już, Gene.

– Prawdopodobnie to był jeden z tych dostępnych w aptekach barbituranów.

– Ale *co to jest*?

– Środek nasenny.

– O.

W przerwie słyszała jego oddech.

– W dość potężnym stężeniu, Mandy – dodał z rezerwą.

– I jakie skutki mógł wywołać?

– Fatalne.

– Czy to coś jak trucizna?

– Tak. Coś jak trucizna. Powiem więcej: właściwie trudno to nazwać inaczej.

– Gene! A czy... czy wystarczyłoby to, żeby...?

– Do diaska, nie wiem – odparł z irytacją. – Nie jestem lekarzem. Ale moim zdaniem bezpieczne to nie jest. – Jego głos zanikł, po czym powrócił silniejszy. – Co zamierzasz zrobić, Mandy?

– Nie wiem--jęknęła.

– Może powinnaś...

– Gdzie jest ta chusteczka, Gene?

– Zostawiłem ją w pracowni.

– Och.

– Słuchaj, Mandy, trzymaj się od tego z daleka. Słuchasz mnie? Może opowiedziałabyś komuś o wszystkim? Opowiedz mnie, a *ja* się tym wtedy zajmę. Spotkajmy się podczas lunchu, dobrze, Mandy?

– Ja... sama nie wiem. Ja...

– Powinnaś o tym powiedzieć przynajmniej temu, kto miał wypić tę czekoladę – orzekł srogo. – Daj mu szansę. Może to nic nie znaczy, ale dzięki temu sama będziesz bezpieczniejsza.

– Jesteś pewien, Gene?

– Naturalnie.

– Przepraszam teraz. Będę musiała do ciebie oddzwonić.

– To spotkamy się wieczorem? Mandy...

– Może. Dzięki. Do zobaczenia... na razie...

Trucizna! A on mógł...! Och, nie!, krzyknęła Mandy w duchu. Nie! Oparła się o ścianę budki telefonicznej. Studenci przechodzili korytarzem, zmierzając na zajęcia o jedenastej; w powietrzu czuć było nadchodzące ferie wielkanocne. Należeli do innego świata.

Gdyby nie randka z Genem minionego wieczora, myśl o truciźnie mogłaby pojawić się nagle w jej umyśle i równie szybko zniknąć. Albo zastanawiałby się nad tym bez końca, ale niczego nie była pewna. Tak jak pewna była teraz. Teraz był to fakt, jak gład na drodze. Nie mogła go po prostu obejść. Leżał tuż przed nią.

Co więc należało zrobić? Idź na policję, pomyślała. To właśnie powinnaś zrobić. Powiesz, że w pewnym termosie w pewnym domu znajdowała się trucizna. Zapytają cię: „Skąd pani wie?” Będziesz mogła im pokazać, skąd wiesz.

Wtedy zapytają: „Kto ją tam umieścił?” Nie wiesz.

„Dlaczego?” Nie wiesz.

„Kto ją zażył?” Nikt jej nie zażył. Została wylana.

„Co mamy według pani zrobić?” Ocalić go! Zachować przy życiu!

„Co pani jest, proszę pani?” Nie wiem, co mi jest, ale on nie może umrzeć!

Och, nie, w ten sposób niczego nie osiągnie. Nie, powinna raczej iść wprost do niego. Powiedzieć mu. Ostrzec Thone'a osobiście. Tak będzie znacznie szybciej, znacznie lepiej. Bezpośrednio. Policja zresztą zrobiłaby to samo.

Znalazła numer Garrisona w książce telefonicznej. Głos gospodyni rzekł: – Halo.

– Z panem Thonem Garrisonem proszę. – Nie wiedziała jeszcze, jak mu to powie.

– Nie ma go w tej chwili.

– Och. – Poczula mdłości z rozczarowania. – Kiedy wróci?

– Późnym popołudniem. Czy mam mu przekazać jakąś wiadomość?

Na linii zapiszczało. – Nie – odparła smutno Mandy – nie będzie żadnej wiadomości.

Stała bezwładnie, oparta o ścianę. Wreszcie wzięła się w garść i wykręciła ten sam numer raz jeszcze.

– Tu Amanda Garth – rzuciła energicznie. – Chciałabym mówić z panem Tobiasem Garrisonem.

– Pan Garrison jest w tej chwili zajęty – odpowiedział ten sam mechaniczny głos. – Czy mam mu przekazać jakąś wiadomość?

– Proszę go tylko zapytać, czy mogę go dzisiaj odwiedzić.

Przez dłuższą chwilę na linii panowała cisza, a Mandy zamknęła oczy, idąc przez kwadratowy hol, pokonując jeden stopień w dół.

– Pan Garrison proponuje spotkanie jutro o czternastej.

– Nie dziś? – jęknęła, lecz szybko dodała: – Dobrze, to mi pasuje. Przyjdę jutro.

Odwiesiła słuchawkę i przygryzła kciuk. Jutro. Rzuciła się znowu do książki. Niestety, numeru Fanny tam nie było. Ale chwileczkę, powiedziała jej... Allwyn. Zadzwoiła tam i poprosiła z apartamentem panny Austin.

Odebrała Fanny: – Tak? To ty, słucham, moja droga?

– Czy mogę się z panią zobaczyć?

– Oczywiście. Kiedy chciałabyś przyjść?

– Czy jest pani teraz zajęta?

– Teraz? – Zdumienie wywołane pilnością sprawy niosło się po łączach.

Wreszcie Fanny rzekła: – Może wpadłabyś do mnie na lunch, Amando? Mam wprawdzie troje ważnych gości, ale jakoś się ich chyba pozbędę.

– Och, dziękuję pani – wydusiła Amanda.

– Zaciekawiłaś mnie – dodała Fanny. – Będę czekać.

## Rozdział 6

Mandy uspokoiła się nieco, zanim dotarła do Fanny. Przenikliwe oczy aktorki natychmiast to odnotowały. Fanny powitała Mandy ze szczerym i pełnym ciepła entuzjazmem. Fanny była ciekawska i nie obchodziło ją, kto będzie o tym wiedział. Powiedziała:

– Usiądź, ty moja ślicznotko, i pytaj. Jestem zaintrygowana. Spodobało mi się twoje wczorajsze wejście. Nigdy nie słyszałam o podobnej hecy z dziećmi. Belle nigdy o tym nie wspominała. Narobiłaś tam wczoraj niezłego zamieszania, co?

– Och, nie zamierzałam...

– Nie mogłaś przecież wiedzieć, ile żon miał pan Garrison i w jakiej kolejności, moja droga. Zdaję sobie z tego sprawę. A poza tym wcale nie wyszłaś na taką idiotkę, jaką się czułaś.

Oczy Mandy nappełniły się łzami.

– Ale do rzeczy – rzekła Fanny. – Pomyślałam, że ci to powiem. Zapewniam cię, że Tobias się cieszy z tego wszystkiego. Czuje pewną więź. Wskrzesiłaś w jego pamięci bardzo ważny okres jego życia. Jednocześnie dość bolesny, dlatego tak wtedy posmutniał... No, moja gosposia przygotowuje nam coś zaraz do zjedzenia...

Mandy otarła łzy. Powiedziała, tłumiąc własne słowa chusteczką: – Uważam, że jest pani cudowna!

– Ależ powiedz to głośno! – zaskrzeczała Fanny. – Oczywiście, że jestem cudowna! A ponieważ się starzeję, lubię, gdy mi się to mówi. Pod ziemią niczego nie usłyszę, sama wiesz, i nie będę mogła wąchać tych cudownych kwiatów. – Poklepała Mandy po kolanie. – Kto dobiera ci ubrania?

– Sama to robię.

Mandy miała na sobie różową sukienkę, prosto skrojoną z delikatnej wełny, przyozdobioną srebrnymi guzikami; na nią narzuciła krótki płaszczyk z paskiem w bledszym odcieniu różu. Na nogi wsunęła płaskie pantofle z koźlecej skóry o zaokrąglonych czubkach, a przez ramię przewiesiła czarną torebkę z tego samego materiału.

– Jesteś bardzo elegancka – orzekła Fanny. Sama odziana była w szmaragdową zielen, jak papuga.

– Zamierzam zostać projektantką – odparła Mandy. – Ale nie ubrań. Tkanin.

– Hmmm. – Oczy Fanny pociemniały. Patrzyły teraz w przeszłość. – Najdroższa Belle, kiedy ją poznałam, nosiła takie nudne rzeczy. Zawsze w beżu, szarości lub

czerni. Później, gdy poślubiła Toby'ego, jakże rozkwitła! Pamiętam jej ubrania. Gdy widziałam ją podczas ostatniego pobytu w Nowym Jorku, miała taki strój w ciemnej zieleni w połączeniu z rdzawym brązem. Nosiła to jako komplet. Do tego zawsze kapelusz, szal, rękawiczki. Nigdy niczego nie zmieniała. Miała także różową suknię balową, różowo-złotą, i złotą różę do wpinania we włosy. Jeszcze ta gołębia sukienka z fioletowym żakietem, wprost niesamowita! Idealna. No i te jej rękawiczki. Zapytałam raz o nie. Jakaś kobieta ze sklepu wykonywała je specjalnie dla niej. Sama Belle nie dbała o takie rzeczy, ale podobały się one Tob/emu, nosiła więc to, co on lubił. I zawsze w tym samym zestawieniu, ten sam naszyjnik z tą samą sukienką, zaprojektowane jedno dla drugiego. – Jej wzrok powrócił z podróży. – Chcesz dowiedzieć się czegoś o Belle, prawda?

– Och, tak! O nich wszystkich.

– Tobias poślubił Ione dawno, dawno temu, gdy oboje byli bardzo młodzi. Nazywała się Philips. Miał trochę pieniędzy, więc mógł sobie pozwolić na malowanie, w które włożył cały swój wysiłek. Gdy wreszcie zaczęto o nim mówić, kupili ten dom na zboczach wąwozu. Stał wtedy prawie samotnie na górze. Zapomniałam, kto go wybudował. Jakiś szaleniec. I zamieszkali w nim sami. Ja znam ich od 1919 roku. Tobias malował wówczas mój portret. Ogromnie się polubiliśmy. W roku 1922 przedstawiłam go Belle. Belle Thone.

– I co ona robiła? – spytała Mandy.

– Co robiła? Belle? Nie pracowała zawodowo ani też nie siedziała w domu przy robótkach. – Fanny zakotłowała się w fotelu. – Ona nic nie *robiła*. Ona po prostu *była*. Gdybym tak mogła ci ją pokazać... Była istotą niezwykłą. To, kim *była*, wystarczało, by chcieć z nią obcować. Uroda? Owszem, cudownie było na nią patrzeć. Wielu filmowców chciało pokazać ją na ekranie i skosić grube miliony. Lecz okazało się, że nie jest fotogeniczna. Prawdę mówiąc, rzecz w ogóle nie była w jej wyglądzie. Ani w umyśle, choć miała umysł, który chłonał wszystko, ciekawił się i na wszelką wiedzę magicznie reagował. Belle można było powiedzieć wszystko. Absolutnie wszystko! I wiedziało się o tym już od pierwszego spotkania. Wydaje mi się – dumiała Fanny – że rzecz była w jej duchu, nie znajduję na to innego słowa o równie nieprecyzyjnym znaczeniu. Tak czy inaczej, uwielbiałam ją. Zresztą wszyscy do niej lgnęli. Tymczasem ona nigdy nie próbowała nikogo do siebie wabić ani przy sobie zatrzymywać. Nikogo do siebie nie ciągnęła. To było tak, jakby ktoś popychał cię z tyłu, a ty szłaś bezradnie ku Belle, choć ona sama była jakby wolna od tego. Wolna nawet od odpowiedzialności za to, że tak do niej lgnęłaś. Wyrażam się bardzo niejasno, moja droga. Ale chciałabym, by to do ciebie dotarło. Jednak żeby zejść



nico z obłoków na ziemię, powiem też, że była dość bogata. Była dziedziczką fortuny, a przy tym sierotą. Doskonała partia! Młodzi mężczyźni chcieli się z nią żenić całymi tabunami. Jednak ona wyszła za męża, dopiero mając dwadzieścia osiem lat. Tobias miał już wtedy żonę i nie można powiedzieć, by o nią nie dbał. Dbał i teraz też dba. Tylko że Ione... nie jest „łatwodobalna"... To ci powiedzonko! – Fanny zamilkła i zmarszczyła brwi. – Ja, rzecz jasna – podjęła po chwili – uwielbiałam Belle. Podobnie jak Toby. On po prostu padł przed nią na kolana. A najgorsze jest to, że to samo zrobiła z nim Belle. Natychmiast nawiązała się między nimi jakaś magicznie głęboka bliskość. To było jak grom z jasnego nieba. Wtedy namalował „Belle w drzwiach”.

– Rozumiem – rzekła Mandy.

– Tak. – Fanny uznała, że Mandy rzeczywiście rozumie. – Tak to właśnie było. Tak więc Toby i Ione rozwiedli się. Nie mieli dzieci. Och, dla Ione to było bardzo, bardzo trudne, sama wiesz. Doprawdy podziwiam ją za to, jak to przyjęła.

Mandy spytała zdumiona: – Tak po prostu się usunęła?

Fanny patrzyła w zamyśleniu. – Widzisz, Ione jest zaborcza – rzekła. – Sama to zauważysz. Jak już coś jest jej, to jest jej i basta.

Już to zauważyłam, pomyślała Mandy. Przypomniała sobie sytuację z katalogiem i wiecznym piórem.

– Ta cecha – ciągnęła Fanny – musiała uczynić jeszcze trudniejszym to, co wtedy zrobiła. Oczywiście powiedzieli mi, w jak trudnym znaleźli się położeniu. Kochałam ich wszystkich. Dlatego... sama stałam się uczestniczką wydarzeń. Tej zimy byłam tutaj, na wybrzeżu.

Och, Ione czuła się paskudnie, wiem o tym. Podobnie jak Toby. To go prawie zabiło. I Belle też. A jednak spośród trojga zaangażowanych w to ludzi Ione zdawała się najmniej udręczona. Może to do niej nie docierało. Tylko raz zdawało mi się, że się posypie – myślałam, że eksploduje krzywdą i cierpieniem. Było to któregoś popołudnia. Ale wiesz... Tego dnia stało się coś niezwykłego. Zamknęła się w sobie, jak gdyby żelazo skuło jej duszę. Dosłownie widziałam to, jak... jak się zatrzasnęła. Zawsze to będę pamiętać...

Twarz Fanny zmieniała się. W jednej chwili była dzika i niespokojna, a w następnej zupełnie nieprzystępna. Miała fascynującą mimikę. Amanda jednym szybkim spojrzeniem pochwyciła obraz twarzy Ione tamtego dnia.

– Cóż, pozwoliła mu odejść – ciągnęła Fanny – i to bardzo kulturalnie. Rozwód przebiegł gładko. W międzyczasie Ione miała wypadek. Samochód potracił ją na ulicy. Tobias oddał jej wszystko, do ostatniego centa; dał jej wszystko, co miał.

Spędziła w szpitalu wiele miesięcy. Była bardzo spokojna. Odwiedzałam ją i było mi jej żal. Ale Tobiasz i Belle, dzięki pieniądzom Belle, jak sądzę, wyjechali na wschód.

– To dlatego byli tam, gdy... w 1924...

– Tak, gdy urodził się Thone. I ty, moja droga.

– Czy Thone... przypomina swoją matkę? – spytała z bólem Mandy.

– Z wyglądu, nie – odparła ostrożnie Fanny. – Swym czarem, cokolwiek się za tym słowem kryje? Owszem, może. Ale to nie Belle! Nie ona! Och, ty tego nie zrozumiesz. Nigdy nie widziałas jej żywej.

Fanny dźwignęła swe drobne ciało z fotela.

– Stawała – rzekła i nagle wydała się wyższa, jakby była uosobieniem gracji – obracała stopę... – Aktorka przekręciła stopę i zarzuciła rękę za głowę tak, że prawa dłoń spoczęła po lewej stronie szyi. Wsparła brodę na ramieniu. – Robiła coś takiego – wyjaśniła – jej oczy przybierały wyraz rozmarzenia, a wszyscy czekali, podczas gdy Belle wspominała. Nic nie znaczący gest, nieprawdaż?

– Nie. Skądże, doskonale to rozumiem! – zapewniła Mandy. Oczy Fanny zapłonęły. – A kiedy nie rozumiała, co mówisz, gdy nie pojmowała twojego przesłania, opuszczała głowę, zamykała oczy i przykładła płaskie dłonie do policzków. – Fanny demonstrowała to, o czym opowiadała. Czubki jej palców dotykały skroni. – A ty czekałaś. Nagle Belle podnosiła głowę, opuszczała rękę, otwierała uśmiechnięte oczy i mówiła: „Rozumiem!”, a ty byłaś wniebowzięta. Wniebowzięta!

Siadywała w fotelu – rzekła Fanny, siadając. – A do końca swoich dni była młoda i smukła. Siadywała więc, oplatała kolana rękoma, krzyżując nogi w kostkach tak, że stopy nie dotykały podłogi. Czujna, wyprostowana, niezachwiana. Widzisz?

Fanny porzuciła jednak zaraz prezentowaną pozę.

– Spódnice były wtedy dłuższe. – Dumiała przez chwilę. – A niekiedy śmiała się bezgłośnie.

Cudowna, stara twarz wiła się w uśmiechu, broda powoli uniosła się w górę, głowa odchyliła się w tył. Duch Belle w fotelu Fanny naprawdę zaśmiał się bezgłośnie.

– Och, te moje sztuczki – rzekła Fanny, nagle ponura – nigdy jej nie przywrócą.

– Ale... wspaniale mija pani przedstawiła – sapnęła Mandy. – Pan Garrison pewnie często ją malował.

– Ach, malował i nie malował. Większość z obrazów, które stworzył na wyspach, została sprzedana. Widzisz, dla niego liczy się tylko ten jeden. „Belle w drzwiach”.

– Lecz ona... Czy to prawda, że Belle go nie lubiła? – spytała zdziwiona Mandy

pisikliwym głosem. – Thone mówił...

– To chyba prawda. Podobał jej się ten portret, który wisi w sypialni Thone'a. Dlatego Thone go tam trzyma. Belle nie przepadała za malarstwem. Nie obchodziło jej ono. Stanowiło po prostu zajęcie jej męża. Nigdy nie słyszałam, by krytykowała go czy chwaliła. A jego nie słyszałam, by ją o to prosił.

– Czy Thone... czy on też maluje?

– Nie. Thone nie maluje. Nie przejawia tym żadnego zainteresowania, o ile mi wiadomo. Studiuje architekturę. Widzisz, moja droga, Thone jest w posiadaniu wszystkich pieniędzy swojej matki. Belle nie sporządziła testamentu. – Fanny ściągnęła usta. – Nie zdążyła. Ale Toby zachował całą jej fortunę w funduszu powierniczym dla syna. I nadal jest to całkiem sporo pieniędzy.

Spojrzenie Fanny stało się jednocześnie przenikliwe i życzliwe.

– To niezwykle atrakcyjny młody człowiek, zwłaszcza dla dziewcząt. Ma jednak za sobą bardzo niemiłe przeżycie. Może powinnam ci opowiedzieć... Rok temu jakaś mała głuptaska, z którą spotkał się kilka razy, wyskoczyła z okna w biurze swego ojca. Nadzwyczaj przykra sprawa.

– Ależ to straszne! – wykrztusiła Mandy.

– Tak, okropne. Okropne. Stał się przez to niezwykle ostrożny i podejrzliwy. On wie, jest przekonany, że choć ta biedaczka nie żyje i jedzą ją robaki, to *nie* umarła z miłości. Ale widzisz, napisała list do ojca, zostawiła wiadomość. Biedna, nieszczęsna, zagubiona mała *idiotka*] – wybuchła Fanny. – Przypuszczam, że to z czystej zemsty. I ktoś musiał poczuć się fatalnie... nieważne nawet kto. Och, ludzie, ludziska! Rozpacz nad wami mnie ogarnia! – Fanny klasnęła w dłonie. – Biedny Thone. To go odmieniło. Teraz nie ośmieli się okazać przyjaźni, nie próbuje nawet bawić się z rówieśnikami. Nie zależało mu na tej dziewczynie, lecz ona złożyła na jego barki wszystkie swe nieszczęścia. A on nie może teraz przestać się zastanawiać, czy prowadząc się z nią bez żadnych zobowiązań, tak dla zabawy, nie dał jej powodów, by myślała, że może oczekiwać czegoś więcej. A tak właśnie napisała. Mała kretynka! To go zraniło i przestraszyło. Nie może sobie tego darować. No i oczywiście przez cały czas zastanawia się, co siedzi w tajemniczych głowach głupiutkich dziewczynek.

– Więc nie jest ż-żonaty? – wyjąkała Mandy.

– Ależ skąd. Co więcej, śmiem twierdzić – rzekła pewnie Fanny - - że jeszcze przez dłuższy czas nie będzie eksperymentował z przyjaźnią. Nie będzie żadnych okresów próbnych, żadnych sond w miłości. On nie zaryzykuje, Amando. Żadna dziewczyna nie dowie się, czy Thone'owi na niej zależy, dopóki sam nie będzie tego

pevien i sam się nie ujawni.

Mandy poczuła, że się rumieni. Rzekła szybko: – Cieszę się, że mi pani powiedziała. Sama byłam gotowa poeksperymentować z przyjaźnią. Thone jest bardzo atrakcyjny.

– Oczywiście. I to całkiem naturalne, że miałaś taki zamiar – zapewniła ją Fanny, kiwając głową i uśmiechając się promiennie. – No, jest nasz lunch.

Mandy wyrwała się z czaru, jaki rzuciła na nią starsza pani, i przypomniała sobie nagle, z jakiej okazji tu przyszła. Usiadły przy małym, okrągłym stoliku, a Fanny elegancko zaserwowała sałatkę.

Amanda zapytała niepewnie: – Czy wszyscy są Thone'owi życzliwi?

– O tak, jak najbardziej – odparła Fanny, mrugając do niej. – Elsie i Burt wprost go ubóstwiają. Ojciec też go uwielbia. Ja sama przepadam wręcz za tym chłopcem. Oczywiście nie wiem, jaka była o nim opinia w wojsku. – Zrobiła minę i roześmiała się.

– A kim są ci Elsie i Burt?

– To małżeństwo, które z nimi mieszka. Służący.

– Nie wspomniała pani nic o Ione.

– To prawda – przyznała Fanny, marszcząc nieco brwi. – Ale ona też go, rzecz jasna, lubi. Właściwie prawie go nie zna. Widzisz, kiedy Belle zmarła, Thone i Tobias mieli złamane serca. Musieli poszukać dla siebie jakiegoś innego życia, i to każdy z osobna. Jeden był młody, zaledwie siedemnastoletni. Drugi już się starzał. Cóż, Ione była w pobliżu, a Toby tak bardzo jej potrzebował... Jestem pewna, że Thone widział, co się święci. Był wtedy w szkole. Czmychnął z niej i wkręcił się do wojska. Niemal przez cały czas po ich ponownym ślubie był poza domem.

– Kiedy zmarła Belle?

– Zmarła tutaj niedługo po ich powrocie. Kiedy Thone miał cztery latka, wyjechali za granicę, na wyspy. Z powrotem przywiodły ich pogłoski o wojnie. Niech pomyślę. W roku 1941 byli w Nowym Jorku. Podobnie jak ja. Jesienią czterdziestego pierwszego, krótko przed wybuchem naszej wojny, wrócili do domu w wąwozie. Thone miał siedemnaście lat, Tobias pięćdziesiąt dziewięć. Belle stuknęło czterdzieści siedem, gdy zmarła.

– W domu w wąwozie! – wykrztusiła Mandy.

– Tak, tak, moja droga – rzekła Fanny. – Gdy myślę o śmierci Belle w tych wyjątkowo idiotycznych okolicznościach, jestem, jak to się mówi, niepokieszona. A w każdym razie byłam – ciągnęła. – Przez wiele lat wściekałam się na Opatrzność. Teraz... cóż, możemy wspominać, jaka była za życia. Ona spoczywa w pokoju, a my

wspominamy. I życie toczy się dalej. – Aktorka popadła w zadumę.

Amanda spytała: – Jakiś wypadek?

Fanny ocknęła się. – Tę część historii opowiem niechętnie. Tobias ma pewien głupi nawyk. Od czasu do czasu za bardzo się czymś ekscytuje. Jego umysł i wyobraźnia pracują bez chwili wytchnienia. Nie może spać. Ogarnia go coraz większe zmęczenie i nerwowość. Robi się z tego wirujące coraz szybciej błędne koło. Zażywa wtedy chloral. Po kolacji, co wieczór, umiarkowaną dawkę. Absolutnie bezpieczną. Ma silne serce. Idzie wtedy wcześniej spać, w ciągu tygodnia napięcie mija, a on uwalnia się od potrzeby zażywania środka. I któregoś takiego wieczora zadzwoniono do niego z wiadomością o szukanym długo jego obrazie. Tobias za wszelką cenę pragnął go odzyskać. Ten, kto zadzwonił, chciał go po prostu oddać. Chyba tak... W każdym razie tak się złożyło, że tylko Belle mogła się tym zająć. Tobias był paskudnie osłabiony. Elsie i Burt mieli wolne. Był akurat czwartek. A Thone, biedaczek, uszkodził sobie kość stopy i miał nogę w gipsie. Tak więc miała jechać Belle. Bez żadnej obawy. Zresztą nikomu nie przyszło do głowy, że powinna się czegoś obawiać. Wezwali dla niej taksówkę. I tu dochodzimy do najgłępszej części tej historii. Belle w zasadzie nie jeździła ich samochodem, jeśli nie musiała. Nie miała chyba nawet prawa jazdy. Gdyby pojechała wtedy taksówką, sam fakt, że jakimś cudem, jakimś sposobem – nikt nie wie jak – otrzymała dawkę chloralu Toby'ego, nie miałyby większego znaczenia. Po prostu zasnęłyby w taksówce. Ale by nie umarła! Lecz nie – rzekła z goryczą Fanny – tego wieczora, tego wstrętnego wieczora z jakiegoś dziwnego powodu, którego nikt się nawet nie domyśla, Belle postanowiła pojechać sama. Zmieniła zdanie, odesłała taksówkę i zeszła sama po terasach do garażu, jedyne, jaki wtedy mieli. Jedyne garażu na dnie wąwozu przy biegnącej tam drodze. Otworzyła bramę i uruchomiła silnik, lecz haki mocujące każde ze skrzydeł z osobna były słabe. Podmuch wiatru zamknął wrota. Musiała więc wysiąść, zostawiając auto na chodzie, żeby znów otworzyć bramę. No i wtedy ten chloral... Osunęła się na ziemię, leżała potem dokładnie pod wylotem rury wydechowej. Wrota pozostały zamknięte, czy może wiatr zatrzaskał je raz jeszcze, kto to wie? Zaczęli się niepokoić po paru godzinach. Znaleźli ją dopiero nazajutrz rano.

– Och...--jęknęła Mandy.

– A Toby nigdy nie odzyskał tego durnego obrazu – dodała ze złością Fanny i szcęknęła zębami. – Cóż – podjęła po chwili. – Przyjechałam do niego najszybciej, jak mogłam. Ione już tam była.

– Ione... tam była?

– O, tak. Mieszkała w okolicy przez wszystkie te lata. Widywałam ją od czasu do czasu, gdy tu wpadałam. Zajęła się handlem nieruchomościami i odniosła spory sukces w interesach. Teraz byś się tego nie domyśliła, ale tak było. Wciąż pełna była tej żelaznej, niezłomnej determinacji. Gdy tylko Belle odeszła, zaraz zjawiała się przy Tobym, a on przyjął jej wsparcie. Wszystkim się zajęła.

I odzyskała go, odzyskała swoją własność, pomyślała Mandy. Na głos zaś powiedziała bojaźliwie:

– Jak się domyślam, nigdy nie było wątpliwości, że to był... wypadek?

– Oczywiście. – Fanny nie była zszokowana. Pewnie dawniej sama się nad tym zastanawiała.

– Ale Ione... nie mogła chyba przepadać za Belle.

– To prawda – odparła Fanny. – Jednak nie to jest powodem, dla którego nie mówimy przy niej o Belle. Powinnaś to wiedzieć. Ione zawsze słucha spokojnie, ale Toby wie, co jej zrobił, i ma wyrzuty sumienia, przez co czuje się niezręcznie. Poza tym – dodała ze zniecierpliwieniem – choćby nawet chciała, nie potrafi rozmawiać o Belle. Ona jej nie znała. A przy tym ma tak ciasny i ograniczony umysł. Mały i zaśmiecony drobiazgami. Jeśli Toby przebywa tak dużo w jej towarzystwie, to jest to cena, jaką musi płacić za to, że jej potrzebuje.

– Nie rozumiem jej – rzekła nieśmiało Amanda. – Ona... Jednak Fanny popatrzyła srogo. – Moja droga, Ione zachowała się wspaniale. I uwierz mi, nie miała absolutnie nic wspólnego z wypadkiem Belle. To pewne. Nie było jej tam. No, wiesz, w domu. Och, odwiedziła ich przedtem, jak mi się zdaje. Po ich powrocie. Chciała być uprzejma. Ale, moja droga, po tylu latach... Nie, nie, Amando. To zbyt mała osóbką na tak wielką namiętność. Poza tym to nie było możliwe.

Amanda wpatrywała się w swoją herbatę. Myślała: Kto wiedział, że w czekoladzie jest trucizna? Ione! Skąd? Bo sama ją tam wsypała. Nie ojciec, nie służący, nie Fanny, lecz Ione miała ku temu powód. Ione, delikatnie mówiąc, nie lubiła Belle, a Thone był synem Belle. O, tak, musiała wiedzieć o truciznie w czekoladzie, bo sama ją tam wsypała. Nie chciała, by ją ktokolwiek odkrył, choćby na chusteczce. To oczywiste, że wiedziała o truciznie. I nie chciała, by ją... zażyto.

Musiała zmienić decyzję.

Dlaczego zmieniła decyzję? W głowie Mandy eksplodowała bomba. *Przeze mnie!* Bo tak nagle się pojawiłam! Może Thone nie jest dzieckiem Belle! Może ja nim jestem! Zaczęła się zastanawiać!

Ciałem Mandy wstrząsnęły dreszcze.

– Widzę, że i ciebie nie rozbawiła ta historia – rzekła pośpiesznie Fanny. – Chodź,

odejźmy już może od stołu. Moja droga, czy ty zamierzasz się znów spotkać z Tobiasem?

– Tak – wydusiła z siebie Mandy. – Jutro.

– Fascynują cię. – Fanny pozostawała życzliwa. – Ale dlaczego czujesz strach?

– On może być moim ojcem. Belle mogła być moją matką – rzekła słabo Mandy.

– Ależ nie – odparła Fanny, nadal całkiem przyjaźnie. – Wczoraj wieczorem byłaś słodka. To było nader przejmujące. Ale nie wolno ci tak fantazjować. Nie wolno ci brać tego na poważnie. I nie wolno ci czynić żadnego zamieszania ani wprowadzać niepokoju w ich życie.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Fanny poklepała Amandę po ramieniu i poszła wpuścić jakiegoś mężczyznę. Amanda nie została mu przedstawiona. Fanny powiedziała już, co miała do powiedzenia. Dla niej ich prywatna rozmowa dobiegła końca. Amanda to rozumiała.

Posiedziała jeszcze chwilę, po czym wstała i wyszła.

Belle spoczywała w pokoju. Fanny pamiętała ją, jaka była za życia. Fanny znalazła w tym pocieszenie. Amandzie nie wolno było wprowadzać niepokoju.

Musiała jednak ostrzec Thone'a, który był bezpieczny jeszcze przez czas jakiś, dopóki trwało zamieszanie.

To był kiepski wieczór. Próbowwała znów zatelefonować. I znów go nie zastała. Thone wrócił w międzyczasie do domu, ale zaraz wyszedł na cały wieczór.

Gene dzwonił, załamany. Frank Mitchell nie zauważył wiadomości, jaką zostawił mu na skrawku papieru, przyszedł do swojej pracowni i spalił chusteczkę, która według niego wyglądała jak zwykła stara szmatka. Mandy orzekła, że to bez znaczenia. Zbyła Gene'a. Powiedziała, że chyba wszystko jest w porządku. Teraz już rozumiała. Miała nadzieję... była nawet całkiem pewna...

Do tego wszystkiego była jeszcze Kate, która o nic nie pytała. Mandy próbowała ją zagadywać, opisała tamten dom, jak wyglądali ludzie. Musiała też wytłumaczyć się z wagarów, podczas których poszła odwiedzić pannę Austin. Tę sławną pannę Austin. Poczowała niesmak w ustach.

To też nie poszło dobrze. Nie mówiła Kate wszystkiego i wiedziała, że Kate to wie. Jednak wtedy natychmiastową reakcją matki, to oczywiście, byłoby wkroczenie i stanięcie murem pomiędzy Mandy a wszelkim złem, jakie jej zagrażało.

Tymczasem taki mur stanąć nie mógł. Musiała to załatwić sama. Ostrzec go. Jutro. A od jutra dzieliła ją wieczność.

Leżała w łóżku i wmawiała sobie wątpliwości. Gene nie miał wprawy w takich

badaniach. Może się pomylił. Lecz wtedy nawiedzało ją wspomnienie Ione domagającej się chusteczki. Dlaczego? Bo ona wiedziała. Wiedziała, bo czekolada była zatruta, a była zatruta, bo ona sama widziała... Mandy usiadła i rozmasowała skronie.

Bez końca przypominała sobie to, co powiedziała jej Fanny. Odkryła, że widzi Belle. Z portretów, ożywioną gestami zaprezentowanymi przez Fanny, jak wyglądała, w co się ubierała, jej stroje...

Niezależnie od tego, co myślała Fanny, Thone przypominał matkę. Bo z jakiego innego powodu czułaby, że Ignie, Ignie do niego bezradnie, choć on stoi i nie czyni żadnego znaku, a sam jest całkiem wolny?

Położyła się i zadrzała, zemdliło ją ze strachu. A co, jeśli to się stanie dziś w nocy? Jeśli wszystko, co sobie wyobraziła, co, jak jej się zdawało, odgadła, było błędem? Tak! Co, jeśli tylko sam fakt – trucizna w jego pokoju, na niego czekająca – co, jeśli tylko w *to* mogła do końca wierzyć? Domyślała się jedynie kto i dlaczego, i tyle! Nie wiedziała tego na pewno. Choć trucizna w jego pokoju już raz na niego czekała. Mogła czekać znowu.

Wiła się na łóżku. Zadzwoić? Nie, nie wolno telefonować w nocy. No i kto jej zagwarantuje, że nie odbierze sam sprawca?

Mandy przekręciła się na drugi bok. Zaczęła sobie powtarzać: – Muszę teraz zasnąć...

Najwcześniej, jak się tylko ośmieliła, zadzwoniła, żeby potwierdzić umówione spotkanie. Głos gosposi brzmiał normalnie. W nocy więc nic się nie stało, inaczej nie mówiłaby tak spokojnie. Mandy złożyła głowę na rękach, a Kate, wchodząc do pokoju na śniadanie, ujrzała ją taką, zawahała się, przygryzła wargę i poszła dalej.



## Rozdział 7

Ione w dopasowanym, eleganckim trzyczęściowym kostiumie z czarnej tkaniny z wprawą pokonywała ruchliwe ulice, a biała koronka trzepotała na jej kapeluszu. Jechała ze złożonym dachem. Ludzie poszturchiwali się nawzajem i mówili: „Popatrz tylko! Jakie to słodkie! Popatrz na tę drobną starszą panią w jej ekstrawaganckim wozie. Czyż nie jest cudowna?” Potrafiła bardzo dobrze prowadzić. Uwielbiała drogie auta. Tobiasz też dojrzał i je polubił. Miał kiedyś cadillaca, tamtego roku, gdy umarła Belle. Taki cichy silnik. Na luzie prawie go nie było słychać...

Minęło sześć lat. A jednak tego wtorkowego poranka jechała tą drogą w określonym celu, z powodu wciąż żywej obecności Belle w jej domu. Nic innego jej nie pozostało. Nie mogła zbyt nachalnie wypytywać Toby'ego. Spotka się z tą kobietą i wszystkiego się dowie. I wymaże raz na zawsze to dręczące ją zdanie: Belle wciąż żyje, skoro jej dziecko...

Sprawka wyobraźni, wiedziała to. To Thone przywoływał obecność tej kobiety, bo niezależnie od tego, czyja krew w nim płynęła, ona żyła *w jego* wspomnieniach. Ale zjawiała się ta dziewczyna i znów odtworzyła Belle w myślach Toby'ego, na powrót dźwignęła ją z martwych. Po co to wszystko?, myślała zniecierpliwiona.

Cóż, zobaczy, do czego to się sprowadza. A wówczas będzie wiedziała, jak należy postąpić. Już wiele lat temu po raz pierwszy zrozumiała, co musi zrobić.

Belle, jedno okropne popołudnie, ta ogłupiająca beztroska, ta dziwna uległość wobec Losu – i wszystko stało się jasne. O, tak; Belle mówiąca z tą piękną litością: „Ione, jeśli to zbyt bolesne, nie musimy... Jakoś to przeżyję. Mogę odejść. Odejdę”.

Przez moment było jasne, że Ione może zostać, może się upierać, może go zatrzymać. Nie musiało dojść do żadnego rozwodu. „On nie może już tego znieść!”, powiedziała ta cała Belle.

Tego też by nie zniósł! Ione to rozumiała. Ujrzała, o dziwo, w oczach Belle, jak to było z Tobym. I w tej chwili już wiedziała, że nieważne, czy zatrzyma jego skorupę, czy pozwoli mu odejść, Toby nigdy nie będzie jej, dopóki Belle będzie na tym świecie. Gdziekolwiek. Dopóki Belle nie umrze!

I tak oto pojęła, co musi zrobić. Belle sama jej to uświadomiła. Zrozumiała to wtedy jasno i wyraźnie, i mocno to zrozumienie w sobie zamknęła. Belle musi umrzeć, a Ione musi żyć.

Trzeba było więc co nieco zaplanować.

Lecz wówczas tak skupiła się na tym postanowieniu, na swej złowieszczej

potrzebie, że przez własną nieuwagę weszła na ulicę prosto pod samochód, została ranna i musiała czekać.

Czekać bardzo, bardzo długo.

Jednak ów ukryty, jasny cel trzymał ją przy życiu. Nikt nie miał pojęcia, co jej dodawało sił. Nie czuła potrzeby, by się komuś zwierzać. To nie było w jej stylu. Rozkoszowała się własnymi myślami. Dumnie. Wtedy i zawsze. Nigdy, przenigdy, choćby nie wiadomo jak długo miała czekać, nie zamierzała zaprzepaścić źródła swojej siły w tamtych dniach. To nie były jałowe mrzonki. Rozmyślanie o tym, co będzie, gdy to się już stanie, mogło ją tylko osłabić. Ona myślała, jak to zrobić... tylko *jak*. Aż wreszcie znaleźli się znowu w jej zasięgu.

To nie było trudne.

Poszła ich odwiedzić. Czekala, aż zostanie przyjęta. Wzięła wszystko, co tylko zdołała, gdy została sama w holu. W holu domu w kanionie. Teraz należał do niej. Wtedy nie. Odmówiła wówczas jego przyjęcia, bo w tamtych dniach należał tylko w połowie do niej. Przeczesala go jednak, gdy wyzdrowiała, a oni wyjechali na Wschód. Z ogromną, lodowatą satysfakcją wyniosła wszystko, co należało wyłącznie do niej. Wszystko, co do najmniejszego drobiazgu. Łącznie z tym niewielkim obrazkiem, który Tobias tak bardzo lubił. Któregoś dnia powiedział, że należy do niej, a ona uznała go za swą własność, przyjmując dosłownie tamte nieprzemyślane słowa, choć dobrze wiedziała, jak bardzo mu na nim zależało. Nigdy nie przyznała się do tego zawłaszczenia. A on myślał, że obrazek zginął lub został skradziony.

Przydał się jej.

Dziwne, że teraz nie mogła sobie przypomnieć, co widziała tamtego dnia w domu w wozie ani co wzięła, nie licząc tych kilku rzeczy, które okazały się przydatne. Zajrzała do szuflady, wiedząc, że znajdzie tam zapasowe kluczyki do jego samochodu i dodatkowy klucz do garażu: dokładnie w tym samym miejscu, wsunięte w najdalszy kąt, gdzie od zawsze trzymali takie rzeczy. Schwyciła też wepchniętą tam błękitną chustę – chustę Belle, oczywiście – i schowała ją do swojej torebki. Co jeszcze? Musiało być coś jeszcze. Jednak tylko tych rzeczy naprawdę potrzebowała.

Następnie została poproszona do atelier, gdzie poznała chudego, niespokojnego chłopaka ze stopą w gipsie, gdzie musiała znosić pytające spojrzenia Toby'ego, gdzie zauważyła, że zaczyna mu się jedno z tych paskudnych przeziębień i dowiedziała się, że znowu bierze chloral. Gdzie musiała znosić milczącą obecność Belle (siedziała tam z rękami oplecionymi wokół kolan jak uczennica!). Wychodząc, zwróciła się do Elsie, gdy w głowie wirowały jej już fragmenty planu. „Elsie, tak sobie myślałam, czy

nie zechciałabyś kiedyś u mnie posprzątać, w któryś czwartek". A Elsie odpowiedziała: „Mamy wolne od pierwszej, proszę pani, jak zwykle".

I nadszedł czwartek.

Telefon z samotnej budki w pobliżu stacji benzynowej rzut kamieniem od górskiej drogi. Chusteczka na mikrofonie, niewyraźny głos, coś o złodzieju, którego ruszyło sumienie. Powiedziała, że jest na Long Beach. Spotka się z nimi w połowie drogi. Wymieniła ruchliwą aptekę należącą do jasno oświetlonej sieci. Belle nie może się przestraszyć przyjazdu. Sugerowała, że zamierzają opuścić stan, ta kobieta o zmienionym głosie i jej nieistniejący mąż-złodziej. Sugerowała, że chęć zwrócenia obrazu może być tylko chwilowa.

Thone nie mógł przyjechać. Burta nie było w domu. Belle nie pozwoliłaby na to Toby'emu, z jego przeziębieniem i po zażyciu chloralu. Naturalnie weźmie taksówkę. Ione wiedziała, bo wcześniej ich obserwowała. Belle rzadko prowadziła samochód, a jeśli już, to na krótkich odcinkach.

A zatem... szybko... pod górę własnym autem, ukrytym potem w miejscu zawracania, skierowanym w dół. Minęła ich drogę i stała w cieniu cedru. Wszystko było takie niepewne. Do ostatniej chwili istniała możliwość odwrotu.

Jeśli Belle wyjdzie z domu przed dotarciem taksówki, cóż, może innym razem...

Jednak taksówka przyjechała pierwsza.

Naciągnęła niebieską chustę Belle na swe włosy i okrągłą twarz, wyszła z cienia i przywołała kierowcę. Zapłaciła mu. Powiedziała, że zmieniła zdanie. Kazała mu jechać pod górę i dookoła wąwozu. Mógł zjechać na dół po tamtej stronie.

Następnie szybko schowała chustę i gdy Belle wyszła, spotkała się z nią przy bramie.

– Chciałam z tobą porozmawiać. Wychodzisz?

– Jadę taksówką...

– Właśnie jakąś widziałam. Zastanawiałam się, czy kierowca się nie zgubił. Pojechał drogą pod górę. Pozwól, że cię podwiozę.

– To za daleko – odparła.

– W takim razie przynajmniej na dół. Do postoju. Proszę. Naprawdę muszę z tobą porozmawiać... o Tobym. Martwię się. Czy wszystko z nim w porządku?

Belle miała poczucie winy. To był jej słaby punkt.

– Mówię to dla dobra dziecka – dodała Ione.

Tak więc Belle udała się z nią do samochodu. Droga odwrotu wciąż jeszcze była otwarta.

Zatrzymała się pod drzewem w najciemniejszym kącie parkingu przed barem dla

kierowców. Czuła pragnienie. Belle też musi się czegoś napić. Spieszy jej się? Och, wobec tego Ione przyniesie coś szybko. Wysiadła z samochodu i przyniosła im wodę z sokiem. Pamiętała, by poprosić o podwójny sok. Łatwo było wrzucić do niego chloral. Oczywiście miała go w pogotowiu.

Pod pewnymi względami łatwiej by było podać jej po prostu większą dawkę chloralu i tak zostawić. Lecz ona wszystko sobie przemyślała. Gdyby podać Belle śmiertelną dozę i umieścić ją w taksówce, czy miałoby się gwarancję, że kierowca nie zawiezie jej do szpitala... zbyt szybko. A wówczas Belle, ocalona, mogłaby za dużo powiedzieć. Więc skoro i tak trzeba było umieścić ją w ustronnym miejscu, po co ryzykować z pozorowaniem przypadkowego zatrucia środkiem? Przypadkowe spożycie jednej dozy – to się może zdarzyć. Ale więcej – raczej nie. Zastosowała więc dawkę Tob/ego.

Następnie, jak pamiętała, urządziła małą scenę z wybuchem emocjonalnym, żeby Belle, pragnąc jak najprędzej od niej uciec, szybko wypła nawet zaprawiony goryczą napój, żeby już było po wszystkim.

Potem zwodzenie, udawanie, że jadą na postój taksówek, mała wycieczka, dopóki nie zasnęła.

A jednak jeszcze nie umierała. O, tak, tak było lepiej, znacznie lepiej. Nadal można się było wycofać, nawet wtedy, gdyby coś poszło nie tak. Gdyby, na przykład, przy drodze na dnie wąwozu zaparkowali jacyś kochankowie.

Jednak nikogo tam nie było.

No i musiała potem skradać się drogą bez świateł, by wreszcie zdjąć z nóg Belle buty, wsunąć je na własne stopy, jej małe stopy. By otworzyć bramę garażu (tylko kłódka, bez sztaby od wewnątrz, nie to co teraz). Wejść, pamiętając, by zostawić ślady jej butów, tak na wszelki wypadek. Uruchomić silnik, ten cichy, drogi silnik. Pójść tyłem ku stopniom prowadzącym z ogrodu na najniższej tarasie, pokonać je po dwa naraz, stawiając na każdym obie stopy, a następnie zejść, znów stawiając nogi na co drugim schodku. (Belle schodziła po nich właśnie tak ostrożnie.) Następnie wrócić na ulicę, gdzie stał samochód, zaparkowany na poboczu, w ogóle niewidoczny z domu wiszącego powyżej.

Wreszcie finał. Ostatnie posunięcie. Po nim nie było już odwrotu.

Podnieść – znajdując siłę, której człowiek nawet by się po sobie nie spodziewał – ostrożnie, żeby się nie obudziła, och, jak ostrożnie podnieść ciało Belle i wynieść je z samochodu. Zostawić na ziemi. Buty wróciły na właściwe stopy. Błękitna chusta opłótła się wokół szyi Belle. Latarka z jej torebki spoczęła na ziemi obok jej dłoni. Wrota pozostały tak, jakby same się zatrzasnęły.

Chwila majstrowania przy hakach mocujących, by dzięki wygięciu wyglądały na śliskie i niepewne. Miotła na betonowym podjeździe do garażu, trochę ziemi. Jej samochód już po wszystkim ruszył gładko, bez skręcania kierownicy. Kto by powiedział, że jakiś pojazd w ogóle się tu zatrzymał? Wykręcił na końcu wąwozu, zawrócił, wyjechał z niego i tak umknął.

Do domu. Gdzie w salonie za zaciągniętymi roletami przez cały czas paliły się światła. Po cichu, po cichutku do zaułka.

I czekać.

Jakże była wtedy silna i opanowana, wszystko dla Tob/ego.

Ale tamta nadzieja zawiodła, pomyślała ze zniecierpliwieniem.

Zaczęła rozglądać się za budynkiem, którego szukała. Tak, to tu. Fabryka Tkanin Synowie Callahana, Los Angeles.

## Rozdział 8

Tobias, jak dowiedziała się Amanda, był do jej usług. Siedział sam w podłużnym pokoju. Czekał na nią. Ta godzina należała do niej.

W domu było niezwykle cicho, tak że z każdym dźwiękiem niósł się pogłos. Do atelier wpadało mnóstwo łagodnego światła, a północne okno ukazywało w ten bezchmurny dzień pasmo gór wcinających się w niebo. Panował tu spokój, który wdzierał się w jej napięte nerwy, szarpał je jak struny, tak iż niemal słyszała, jak dźwięczą.

Była roztrzęsiona. Postawiła dwa przyniesione ze sobą płótna. Dłoń miała wilgotną i czuła się z tego powodu niezręcznie. Pomyślała, że gospodarz na pewno wyczyta z jej twarzy strach nocnych godzin, jakie za sobą miała.

Sam Tobias zachowywał się swobodnie i był dla niej wręcz słodki. Z głęboko osadzonych oczu nie ustępowała życzliwość. Kazał jej usiąść; zadawał pytania na temat szkoły i przedmiotów, jakie studiowała. Przyłapała się na tym, że opowiada o panie Alice Anderson, postrzegając tę gorliwą duszę nowym okiem, okiem jego dojrzałości, tak że pasja panny Anderson zyskała jakby nowe proporcje.

– Czy ona widziała twoje obrazy? – zapytał.

– Tak, ale... – Mandy nie wiedziała, jak to powiedzieć. – Ona mnie zbywa. Wiem, że nie potrafię *dobrze* malować. Nie mam jeszcze dość wprawy. Lecz mimo to, czy nikt nie może mi powiedzieć, czy mam w ogóle prawo próbować? Wiem – ciągnęła – że wielu ludzi uważa, iż noszą w sobie coś istotnego. Że to, co widzą i czują, ma szczególnie głębokie znaczenie. I wiem, że niekiedy to w ogóle nie jest istotne, przy czym ten, kto tak uważa, nie dopuszcza do siebie myśli, jaki jest... zwyczajny. .

Uśmiechał się do niej. – To bardzo niezwykła uwaga, młoda damo. No dobrze. Teraz... niech spojrzę.

Powiedziała, wciąż się wahając: – Naprawdę chcę, żeby mi pan to powiedział.

– Mogę nie być w stanie tego zrobić – ostrzegł. – Wiele rzeczy wykracza poza *moją* wiedzę.

– Niech pan powie to, co pan myśli – rzekła Mandy z komicznym pobłażaniem, z którego śmiała się po chwili ciepło wraz z nim, jak gdyby nagle stali się równi sobie, ku jej zaskoczeniu i radości, bo każde wiedziało, gdzie zachować pokorę.

Przyniosła niewielki pejzaż, dość skromny obraz o ograniczonej perspektywie: fragment muru okalającego ogród, kora na pniu drzewa. Okazał się dla niej za

trudny. Uważała jednak, że dobrze ukazywał, do czego dąży.

Tobias patrzył w milczeniu.

Drugie malowidło przedstawiało profil Kate z martwą naturą na stole w tle. Mandy po raz setny poczuła, że nie jest to arcydzieło, a jednak było w nim coś, co bardzo sobie ceniła.

Tobias nadal przyglądał się, nic nie mówiąc.

Amanda zatraciła się, poddała się czarowi ciekawości i całkiem przyjemnego oczekiwania. Zapomniała zupełnie o swym niepokoju i czyhającym złu, o przeszłości i terażniejszości. Jej umysł wędrował wraz z umysłem artysty, a przynajmniej gdzieś za nim kuśtykał. Zgiełkliwy świat innych ludzi pozostał bardzo daleko.

I tak ich zastał Thone. Usłyszała go i podniosła wzrok, a jej nastrój rozprysł się w drobny mak emocji.

Zbliżył się i stanął, patrząc ojcu przez ramię. Tobias, nie odwracając się, rozpoznał jego krok i jego obecność.

– Co sądzisz na ich temat? – spytał.

Thone odpowiedział bez zastanowienia, wskazując na pejzaż: – To jest dobre. – A o drugim obrazku: – A to nie.

Tobias uśmiechnął się, widząc zdumioną twarz Mandy. – To *jego* opinia. Zupełnie nic niewarta – rzekł na poły żartobliwie. Opuścił martwą naturę i studiował pejzaż. – Taki stonowany? – rzekł. – Brakuje mi tu barw.

– Ale tak to właśnie widziałam – upierała się Mandy. – Chciałam... – Nie dokończyła.

On zaś mruknął: – Tak.

– Mnie się bardzo podoba – orzekł stanowczo Thone.

– Tak. – Tobias uniósł brew. – Widzę. Widzę, że ci się podoba.

– Udało jej się zamknąć tu kawałek przestrzeni. Wycinek rzeczywistości. Świetnie to ujęła.

Mandy, z oczami jak spodki, czuła, że jej serce dosłownie pada z wdzięczności na kolana.

– Taaak – rzekł Tobias. Wziął do ręki drugi obraz. – W tym widać trochę więcej kunsztu.

– Ale tylko *trochę* – rzuciła radośnie Mandy.

– Jest taki ckliwy – stwierdził Thone. – Sentymentalny. – Uśmiechnął się do niej. – Choć nie pytała mnie pani o zdanie.

– Nie mam nic przeciwko sentymentalizmowi – odparła śmiało Amanda, lecz

zaczęła usta i nie dokończyła swej myśli.

Tobias pokręcił głową. – Rzecz w tym, moja droga, że jeśli chcesz malować, to będziesz malować. Jeżeli lubisz to robić, jeżeli cię to pochłania, to nieważne, dobrze czy źle, ale będziesz malować. Ode mnie zaś oczekujesz przepowiedni swej kariery, czy tak? Orzeczenia, czy twe dzieła mają jakąś wartość dla świata?

Skinęła głową.

– A czy byłabyś w stanie dla malarstwa rzucić wszystko i poświęcić mu się całkowicie? – Zadarł głowę.

Mandy wstała i dotknęła obrazów, jak gdyby szykowała się do wyjścia.

– Niepotrzebnie pana kłopotalam – rzekła. – Bo sama dokładnie wiem, co zrobię. Będę malować dla przyjemności. Dla własnej radości. Jeśli coś z tego wyniknie – w porządku. Nie ośmielę się jednak rzucić wszystkiego, jak pan powiedział. To by była arogancja z mojej strony. Nie mogłabym tego zrobić – obwieściła Mandy z wielką stanowczością. – Nie w moim wieku.

Tobias roześmiał się czule. Thone stał z rękami w kieszeniach, uśmiechając się na widok rozbawienia ojca. Jakież to było cudowne! Amanda czuła, że pierwszy raz w życiu sama jest naprawdę szczęśliwa.

Do pokoju zajrzała Elsie. – Dzwoni pan Peck, proszę pana.

I starszy z mężczyzn natychmiast wyszedł. Mandy została z Thonem sam na sam, a fale jej szczęścia stopniowo spłaszczyły się i rozlały, przechodząc w błogi spokój, spokój, który raptem został zniweczony przez strach i konieczność zrobienia tego, po co tu przyszła, tym bardziej że właśnie nadarzyła się ku temu okazja. Teraz! Musi powiedzieć mu to teraz.

To było bardzo trudne, niemal niemożliwe. Nie wiedziała, jak zacząć. Musiała się streszczać, od razu przejść do rzeczy, od razu go ostrzec. Nie miała zbyt wiele czasu. W jej głowie czaiła się świadomość, że nie wolno niepokoić jego ojca. Musi się więc pospieszyć.

Zaczęła: – Panie Garrison, w niedzielę wieczorem ktoś próbował pana otruć. Czekolada w pańskim pokoju była zatruta. Pańska macocha przewróciła ją i wylała. – Przerwała, by złapać oddech.

On zaś spytał spokojnie: – O czym pani, do diabła, mówi?

– Widzi pan, część napoju wsiąkła w moją chusteczkę. Dałam ją do zbadania.

– *Słucham?*

– Było tam mnóstwo środka nasennego – ciągnęła. – Zażycie takiej dawki byłoby groźne dla życia.

– Czy pani do reszty zwariowała?



– Nie.

– Dała to pani do *zbadania*? – Nie wierzył jej. Widać to było na jego twarzy.

– Owszem.

– Dlaczego?

– Bo... – Mandy utknęła, musiała pokonać pewną barierę. – Widziałam, jak ona zrzuciła termos celowo.

– Kto?

– Ione.

– *Ione!*

– Ona... – Mandy urwała. – Widziałam jej odbicie w szybie – dokończyła słabo. – Proszę... niech pan będzie ostrożny.

– Mam nadzieję, że może pani to wszystko udowodnić – rzekł po chwili dość chłodno.

– Cóż... Chusteczka została przez pomyłkę spalona, ale...

– Rozumiem. Muszę uwierzyć pani na słowo. – Twarz mu stężała. – Zaczynałem już wierzyć, że jest pani rozsądną osobą – dodał cierpko – ale widzę, że ma pani zamiłowanie do melodramatu. Uważam, że powinna stąd pani jak najszybciej wyjść.

Mandy odrzekła: – Doskonale.

– Ostrzegalem panią tamtego wieczora. Nie wolno pani niepokoić mego ojca.

– Ja go nie...

– Ale zacznie pani – rzekł. – Na pewno pani zacznie. – Wargi mu się podwinęły, odsłaniając zęby, Mandy widziała teraz, jaki był wściekły. Odezwał się jednak niemal łagodnie: – Nie może pani tak po prostu wchodzić do domów innych ludzi i mieszać w ich życiu, żeby tylko zaspokoić swój apetyt na sensację.

– Przykro mi, że mi pan nie wierzy.

Zignorował to. – Mojemu ojcu nie służą takie sytuacje. Wszelkie niepokoje i podejrzenia. Był wobec pani aż nadto życzliwy i uprzejmy. – Jego cierpliwy ton wyjaśnienia brzmiał nieznośnie obraźliwie. – On jednak potrzebuje spokoju, więc proponuję, by nie przywiązywała się pani zbyt i nie wyobrażała sobie za wiele na temat tego domu.

– Ale to prawda! – wykrzyknęła. – Z tą trucizną to prawda!

To też zignorował. – Zdaje się, że chciała pani pokazać memu ojcu swoje prace. I pokazała pani. Uważam, że to powinno wystarczyć.

Mandy była zbyt rozwścieczona, by nadal zachowywać się tak potulnie jak dotąd. – Sama już nie chcę mieć z wami do czynienia – wypaliła.

Zdawało się, że Thone usłyszał coś w innej części domu. Podniósł rękę. Popatrzył na Mandy z rezerwą, bez złości, co było jeszcze gorsze.

– Proszę nie urządzać scen – rzekł chłodno.

Mandy wyprostowała się, panując nad sobą. – Ja w każdym razie pana ostrzegłam – odparła zniżonym głosem.

Odwróciła się do swoich obrazów, starając się zrobić wrażenie, że zbiera się do wyjścia.

Thone usiadł tuż za nią. – Proszę mi wybaczyć, że mówiłem tak bez ogródek, ale ma pani strasznie wybujałą fantazję. – Nie mówił gniewnie, lecz tak, jakby sklasyfikował ją jakoś w swym umyśle i zrobiło mu się jej żal. – Wątpię, czy w ogóle jest pani tym niewłaściwym dzieckiem, jak sama pani to ujęła. Nie zdziwiłbym się, gdyby i to pani wymyśliła. Założę się, że tak właśnie było, mam rację? Gdzie pani o tym usłyszała?

Odwróciła się do niego, by zaprotestować...

W zwieńczonym łukiem przejściu stała Ione.

– Witajcie. – Wkroczyła żwawo do pokoju. – Jak się pani miewa, moja droga? Dawno pani przyszła? Wypiła pani herbatę?

Rozpięła swój czarny płaszcz. Thone zerwał się z miejsca, by go od niej odebrać.

– Dziękuję ci, mój drogi. Thone, zechcesz powiedzieć Elsie, że prosimy o herbatę? Tobie rozmawia przez telefon? – Popatrzyła najpierw na jedno z nich, potem na drugie i spytała radośnie: – Chyba się nie posprzeczaście, moje dzieci?

– Ależ skąd – odparła Mandy, sztywno się uśmiechając. – Właśnie miałam wyjść.

– Proszę zostać. Tobie zaraz tu będzie. Będzie niepokieszony, jeśli pani ucieknie. Rzecz jasna, musimy napić się razem herbaty. – Ione usiadła, krzyżując nogi w pulchnych kostkach. – Byłam zobaczyć się z pani matką – rzekła łagodnie. – Pojechałam dziś rano do jej biura.

Thone z jej płaszczem w dłoniach odwrócił się nagle. Przerażona Mandy wydukała: – Doprawdy!

– Z pani prawdziwą matką – dodała Ione, z zadowoleniem kiwając głową. – Tak miło nam się rozmawiało. To cudowna osoba!

– Czy to rzeczywiście ta sama kobieta? – spytał Thone. – Ta ze szpitala?

Ione odrzekła: – O, tak. Ale, moja droga – zwróciła się ze współczującym uśmiechem do Mandy – jak mogła pani wyobrazić sobie taki nonsens? Pani matka nie ma najmniejszych wątpliwości. Twierdzi, że okoliczności były całkiem jasne. Nie mogła nastąpić żadna pomyłka. Czy to możliwe, że zleją pani zrozumiała, Amando?

Thone wtrącił ponuro: – Amanda ma dość bujną wyobraźnię.

– To właśnie zasugerowała pani Garth – odparła Ione, kiwając głową. – A przy tym to biedne dziecko zawsze bardzo pragnęło malować. Pani Garth uważa, że to może być przyczyną całego zamieszania. Być może ma rację. – Mówiła tak, jakby Amandy nie było w pokoju. Thone wydał z siebie jakiś sceptyczny pomruk.

– Musisz pamiętać – ciągnęła pogodnie – że Toby jest postacią dość fascynującą. Zwłaszcza dla młodych artystów. – Przechyliła głowę. – No i są jeszcze te jego stypendia. Och, to zrozumiałe. – Rozpromieniła się serdecznie. – Ale, rzecz jasna, trzeba z tym skończyć.

– Zgadzam się – rzekł spokojnie Thone. – Prawdę mówiąc, właśnie to sobie wyjaśniliśmy. – Odszedł z płaszczem.

Ione zdjęła swój biały, nastroszony kapelusz i położyła go obok siebie. Różowe palce dotknęły fryzury.

– Pani matka powiedziała, że jest pani dobrze wychowana. Nie mam co do tego wątpliwości, moja droga. Jestem pewna, że już nas pani nie będzie nachodzić, jeśli zasugeruję, że tak będzie dla wszystkich najlepiej... – Jej ramiona uniosły się nieznacznie. Ciemne oczy pozostały spokojne.

Serce Mandy pompowało krew, która rozchodziła się po jej ciele w powolnych falach. Czowała suchość w gardle. Po tym, co usłyszała, już nigdy, absolutnie nigdy nie będzie mogła tu przyjść. Wyrzucali ją, oboje. Thone'owi może mogłaby się przeciwstawić, ale nie pani domu. Wszystko stało się całkowicie jasne: to już był koniec. Czowała się bardziej upokorzona niż kiedykolwiek przedtem. Będzie musiała zwyczajnie sobie pójść.

Ale Thone jej nie uwierzył! Nie uwierzył w ani jedno jej słowo! Czy zachowa ostrożność? Czy Mandy mogła teraz odejść i nigdy nie wrócić, i wic się w łóżku po nocach albo zrywać się z niego z sercem ogarniętym falą strachu, z przerażenia zemdlona i bezradna? Czy mogła unieść się honorem i iść do domu, mrużąc pod nosem, że spełniła swój obowiązek w tej kwestii? I nigdy się potem nie winić?

Nie. Sfuszerowała tę robotę. A zatem nie miała dla siebie usprawiedliwienia.

Thone nie był nawet tymczasowo bezpieczny, nawet w tej chwili. Nie po tym, jak Kate postawiła sprawę jasno i pozbawiła Ione wszelkich wątpliwości.

A gdyby tak oskarżyła wprost Ione? To nie wchodziło w rachubę. Nie miała się czym podeprzeć. Nie uwierzyliby jej. Bo niby czemu mieliby uwierzyć?

Spojrzała na Ione, tak zadowoloną i pewną siebie, tak opanowaną, stanowczą, małą... Oddech Mandy dobywał się niemiarkowo. Czy sama jeszcze w to wierzyła?

Tobias wszedł razem z Thonem. Nie doszły go żadne gniewne słowa. Pozostał

tym, kim był wcześniej, przyjacielem Amandy. Jej bardzo starym przyjacielem – i nowym zarazem.

Pokazał Ione jej obrazy. Ione niewiele miała do powiedzenia, lecz słuchała z pogodnym wyrazem twarzy, tak jak wszyscy, którym przyszło wysłuchać jego opinii. Elsie podała herbatę. Dla artysty było to miłe popołudnie zmierzające do miłego końca. Dla Amandy miał to być koniec ostateczny.

Mówił: – Zdaje się, że ważna jest dla ciebie przestrzeń i głębia. Ale tutaj, widzisz? Niewłaściwie umieściłaś postać. Wydobyłaś przestrzeń ze stołu, po części także z tego, co się na nim znajduje. Ale z głową kobiety ci nie wyszło. Widzisz... tutaj... stworzyłaś zwykły zarys. Co chciałaś *naprawdę* pokazać?

Amanda podążyła wzrokiem za dźgającym palcem. W zamyśleniu zaczęła ściągać brwi. Nagle niemal bezwolnie, zmuszona do natychmiastowego działania przez wewnętrzny impuls, zrobiła coś innego. Zamknęła oczy, spuściła głowę, przyłożyła dłonie do policzków, czubkami dotykając skroni. Nie patrząc, wsłuchiwała się w ciszę i łomot własnego serca. Przypominała sobie, jak to zrobiła Fanny. Zebrała wszystkie siły, opuściła ręce, uniosła twarz, otworzyła poweselałe oczy, a wszystko to gładko, w dobrze zapamiętanym rytmie. Przemówiła tak, jak zwykle odzywała się Belle: – Rozumiem!

Zobaczyła, że po twarzy artysty przemknął niespokojny cień. Czowała, że ciało Thone'a tężeje, że nie może od niej oderwać uwagi.

Podciągnęła więc kolana i objęła je rękoma, skrzyżowała nogi w kostkach i wyprostowała się, zachowując równowagę.

– ...Proszę mi powiedzieć więcej.

Usłyszała, jak Thone mruczy coś pod nosem, poczuła, jak się nachyla. Dłoń Tobiasa Garrisona drżała. Ta pięknie wykształcona dłoń, która na nią wskazywała, a teraz się cofała... bez wątpienia zadrżała lekko. Nawet wargi Ione... czy nie rozdziawiła się nieco? Mandy zatrzymała się w tej pozie. Fanny tak robiła. Skopiowała więc kopię. Może była wystarczająco dobra.

Tobias opadł na fotel. Amanda obróciła się i zobaczyła oczy Thone<sup>^</sup>, zszokowane i błyszczące. Rozplotła dłonie i wstała, starając się poruszać z jak największą gracją. Wykreśliła stopę... Powiedziała ze skrucą:

– Zabrałam już zbyt wiele pańskiego czasu. Zmęczyłam pana. Był pan cudowny, panie Garrison. Ale lepiej już sobie pójdę.

– Nie... nie idź, dziecko – rzekł Tobias. – Przez moment wyglądałaś... wydawało mi się... to był błysk...Thone?

– Tak – odparł Thone niezmiernie cicho, czyniąc gest, jakby miał zaraz stanąć za

ojcem, objąć go ramieniem. – Wiem, co zobaczyłeś, tato.

– Co takiego? – spytała Ione z wyraźnym rozdrażnieniem.

– Jakbym widział... Belle – rzekł Tobias łagodnie. – Coś... tylko przez chwilę...

– Ależ to niemożliwe! – powiedziała gardłowo Ione.

Mandy przytaknęła jej. – Och, doprawdy, jakim sposobem miałabym przypominać tak cudowną istotę? – Mówiła, jakby brakowało jej tchu, jakby protestowała odrobinę zbyt żarliwie. – Muszę się już pożegnać. I dziękuję. Więcej się już nie zobaczymy.

– Dlaczegoż to? – spytał zdumiony Tobias. – Ależ musisz jeszcze tu przyjść.

Amanda pokręciła głową. Do jej oczu napłynęły prawdziwe łzy; zaskoczyło ją to.

– Moja droga – powiedział Tobias bardzo żarliwie – bardzo chciałbym ujrzeć cię przy pracy. Wiem już nawet, co mógłbym ci podpowiedzieć. Mógłbym może poprowadzić cię w obranym przez ciebie kierunku... Dlaczego mówisz, że już więcej nie przyjdiesz?

Stał teraz, i to całkiem blisko niej. Naprawdę bardzo ją polubił. Jego zainteresowanie było szczere. Chciał jej pomóc. A Mandy nie pozostała obojętna. Sama też tego chciała. To nie było częścią tamtej sprawy. Ta rzecz rozgrywała się tylko między nimi i było to coś autentycznego.

Rzekła niechętnie, pokazując, ile bólu sprawi jej odejście: – Był pan taki miły. Ale w żadnym razie nie mogę już pana więcej kłopotać.

– Dlaczego? – zapytał Tobias. Chwycił ją za ramiona i spojrzał w twarz. – Posłuchaj, Amando Garth, w imię tego, o czym nie potrafimy przestać myśleć – bo może jednak – nie wolno ci się mnie wstydzić. Prawda, Thone? – rzekł, tak jakby wyczuł, że właśnie od niego otrzymała odprawę, i uznał, że musi postawić sprawę jasno.

Thone oparł lekko: – Skoro tego chcesz, tato, sprzedaj ją światu. Użyj swego wdzięku.

Uśmiechał się szeroko do Tobiasa, lecz nie wysyłał żadnych sygnałów do Mandy. Zrozumiała, że stara się zachować jak największą ostrożność.

Amanda rzekła: – Nie wstydzę się, proszę pana. Wręcz przeciwnie. Chcę się przyznać i prosić o wybaczenie za to moje – broda jej się zatrzęsła – szalone fantazjowanie. Nie miałam do tego żadnego prawa. Mama nie pozostawiła mi złudzeń. Tylko że ja... tak jak pan mówi, nie potrafiłam przestać myśleć. A kiedy chce się sobie coś wyobrazić, to oczywiście zawsze można.

Puścił ją z uśmiechem.

– Jestem w tym bardzo d-dobra – ciągnęła. – Wmówiłam sobie nawet, że ojciec

chciał oszczędzić moją matkę. Nie chciał, by dręczyła ją niepewność. Widzi pan, jak zwariowane miałam pomysły...? – Mandy posłała mu łzawy uśmiech. Zadarła brodę. Odchyliła głowę do tyłu. Zaśmiała się bezgłośnie.

Usłyszała, jak Thone wciąga powietrze z głośnym świstem. Przestała się śmiać i spojrzała w twarze wszystkim po kolei, najbardziej niewinnie jak mogła. Na obliczu Tobiasa malowała się czułość. Promieniało ono czymś, co po części mogło być smutkiem, lecz tylko po części.

Powiedział: – Bo w rzeczy samej John Garth był człowiekiem, który oszczędziłby jej wątpliwości, gdyby takowe istniały. Więc twoje pomysły nie są wcale aż tak zwariowane, Amando. – Poklepał ją po ramieniu.

Twarc Thone'a kryła się za maską.

– Chyba najchętniej zostałbym ojcem dla was obojga – dodał Tobias. – Proszę, obiecaj mi, że jeszcze przyjdiesz.

Ciemne oczy Ione patrzyły na nią, otwarte szeroko. Nagle mięśnie wokół nich ściągnęły się i zwęziły je odrobinę. Przemówiła, rozchylając usta, jakby chciała się uśmiechnąć:

– Moja droga, bardzo prosimy. Odwiedź nas jeszcze. Zrobisz to, prawda?

Amanda patrzyła jej prosto w twarz.

– Obiecaj mi to, proszę – dodała Ione.

– Bardzo bym chciała – rzekła Mandy, czując wielką ulgę.

Udało się!, myślała. Udało się! Znow zaczęła wątpić! Amanda triumfowała przez chwilę. Jej stopy zaczęły drobić kroczyki jak w tańcu, gdy zbierała swoje rzeczy. Odezwała się całkiem beztrósko do Thone'a.

– A pan wkrótce wraca na Wschód?

Chciała mu przez to dać poznać, że to jej udawanie jest tylko chwilowe, żeby mogła się wytłumaczyć, wszystko wyjaśnić. Taki był jej zamysł, lecz od razu zorientowała się, że nic z tego nie wyszło. Thone niczego takiego się nie domyślił. Nie uwierzył w ani jedno jej słowo z tych, które padły wcześniej. Nie wiedział, o co jej chodziło. Niczego nie rozumiał. A jego twarz była jak z kamienia.

Tobias z jakiegoś powodu był całkiem wesół. – Tak, Amando, taki jest jego zamiar i choćby z tego powodu przydałoby mi się w tym domu jakieś młode towarzystwo. Powinnaś zaplanować sobie dzień lub dwa tutaj ze mną. Razem musimy cię czegoś nauczyć. Powiedz jej, Ione.

– Ależ oczywiście, Amando – zapewniła Ione śpiewnym tonem.

– Może jednak nigdzie nie wyjadę – odezwał się nerwowo Thone.

Jego ojciec popatrzył ze zdziwieniem, po czym rzekł uradowany: – To cudownie,

mój drogi chłopcze! Tym lepiej!

## Rozdział 9

Gdy Amanda wyszła, Tobias wrócił do atelier, a po jego ustach wciąż błąkał się słaby uśmiech.

Ione zamknęła się w sobie, jak gdyby zapadła się w najgłębszy zakamarek swojego fotela. Siedziała nieruchomo i milczała. Tobias położył na ramieniu Thone'a ciepłą dłoń. Gest ten mówił do Thone'a: „Mój synu”. Thone szybko podniósł wzrok. „W ogóle się tym nie przejmuję”, zapewniała jego twarz. „Nawet o tym nie myślę.”

Ich towarzyszka nie potrafiła jednak tego odczytać.

Tobias powiedział na głos: – Urocza dziewczyna.

– Przekłęta sytuacja – odrzekł Thone. Wstał z fotela i zrobił parę kroków. – Wiesz przecież, tato, że takich charakterystycznych gestów się nie dziedziczy.

Tobias wzruszył tylko ramionami.

– Ja bynajmniej o niczym takim nie słyszałem – mamrotał Thone. – To by dopiero była zagadka dla nauki. Diabło to wszystko dziwne! Prawdę mówiąc, nawet dość tajemnicze. Posłuchaj, tato, chyba nie przypuszczasz, że naprawdę zaszła pomyłka, że zostaliśmy w szpitalu podmienieni, co? – Jego oczy nie wyrażały zmartwienia, wyrażały rozbawienie.

– Nigdy mi to do głowy nie przyszło – odparł Tobias łagodnie.

– Mam nadzieję, że to sprawdziłeś.

– Nie jestem logikiem, nie lubię zagadek, gromadzenia dowodów i wyciągania z nich wniosków – rzekł Tobias z lekkim humorem. – Ale ten Garth, ten drugi ojciec, on o wszystko zadbał.

– Więc to *on* wszystko wyprostował?

– Wydawało się to wówczas jasne jak słońce. – Tobias podszedł do okna i spojrzał w stronę gór. – Miły gość był z tego Gartha. Niezwykle jasny umysł – mówił dobrodusznym głosem.

Thone wykrzywił usta. – Mimo wszystko, nauka to cudowna rzecz – mruknął.

W ich rozmowie pobrzmiwały subtelne półtony. Ione ich nie słyszała.

Tobias zadzwęczał monetami w kieszeni. – Interesująca dziewczyna – rzekł z rozmarzeniem. – Dlaczego przypomniała nam o... Belle, nigdy się nie dowiemy. Jednak mnie to nie smuci. Wiem, że się tego obawiasz. Nie bój się. Do diaska, lubię ją!

– Masz do tego prawo – powiedział szybko Thone wspaniałomyślnie. Zrobił parę kroków, marszcząc brwi. – Nie pojmuję tego. Przecież nie ma mowy o



złudzeniu, skoro obaj to dostrzeżliśmy.

Tobias ciągnął w rozmarzeniu: – Ta śliczna buzia. Te usta. Zauważyłeś jej usta?

– Hm, tak – odparł Thone. – Zauważyłem.

– Chciałbym je namalować – obwieścił artysta.

Oczy Thone'a błysnęły, chyba rozbawieniem.

Ione nie potrafiła odczytać żadnych podtekstów. Siedziała i dumiała. Jej krótkie, różowe palce powoli rysowały na boku fotela wzór. Nagle przemówiła: – Co powiecie na ten weekend?

– He?

– Pomyślałam – wyjaśniła – że byłoby miło zaprosić ją na najbliższy weekend. – Splotła palce. – W sobotę będziemy mieli gości. Niewielkie przyjęcie. Amandzie byłoby przyjemnie. Poza tym musi nas odwiedzić, jeszcze zanim Thone wyjedzie.

– Zaproś ją – mruknął Tobias.

Skinęła głową, raz, drugi, trzeci.. – Tak. Tak, zadzwonię do niej dziś wieczór. Taka interesująca dziewczyna, jak sam powiedziałeś, Toby. Musimy widywać ją częściej. – Obracała kciukami jeden wokół drugiego. – I zdaje się, że mówiła, iż zaczynają jej się ferie? Wszystko powinno się udać.

– Może mieć inne plany na świąteczną przerwę. – Głos Thone'a nie wyrażał żadnych emocji.

Ione rozłączyła ręce z rozmachem. Dźwignęła się z fotela.

– Toby, kochanie – zawołała – a jakbym tak zaprosiła ją na cały tydzień. To chyba dobry pomysł. Skoro macie razem popracować – kontynuowała z przekonaniem, z uśmiechem, z uporem – dzień czy dwa nie wystarczą, by się wiele nauczyć, prawda?

– Prawda, prawda. – Tobias uśmiechnął się, pobrzękując monetami w kieszeni.

Thone usiadł, otworzył jakieś czasopismo i wbił w nie wzrok.

Thone! Kochany mój! Wejdz. Jestem kompletnie nieprzygotowana. Czemu mnie nie uprzedziłeś, bym mogła zrobić się na bóstwo?

– To nigdy nie jest konieczne, Fanny, moja droga. – Ucałował ją.

– Pochlebca. Ależ pochlebca. No wchodź i siadaj zaraz. – Fanny posadziła go w fotelu. – Dziś po południu muszę iść do pracy. Co za szkoda! Moglibyśmy pójść razem do zoo albo gdzieś indziej. Czy coś się stało?

– Ależ jesteś bystra! – rzekł Thone z podziwem. – Ledwo postawiłem stopę w drzwiach, a ty już wszystko wiesz, wszystko potrafisz dostrzec.

Przyniosła mu papierosy i zapalki. – Założę się, że chodzi o tę dziewczynę. O tę Amandę.

– Mówiłem, że wszystko wiesz.

Jego twarz pozostawała strasznie ponura. Fanny usiadła na kanapie, pięknie prostując plecy.

– Fanny, moja kochana – rzekł – nie potrafię zrozumieć tej Amandy. A ty? To najdziwniejsza kombinacja na świecie. W jednej chwili myślę, że jest wspaniała, inteligentna, wrażliwa...

– Bo taka jest – wtrąciła Fanny.

– Słucham?

– Była tutaj przedwczoraj. Rozmawialiśmy.

– No nie – rzucił Thone.

– Mów dalej.

– Na czym stanęliśmy?

– Wspaniała, inteligentna...

– Ach, tak. A zaraz potem rodzi się we mnie przekonanie, że to wariatka.

– Dlaczego tak uważasz?

– Twierdzi, że ktoś chce mnie otruć.

– Thone!

– Tak mi powiedziała, chyba że źle ją zrozumiałem. Czy wspominała ci o tym drobiażdżku?

– Na litość boską, skądże!

– Powiedz mi też – ciągnął Thone – czy ona uważa, że jest córką mego ojca? Czy raczej w to nie wierzy?

– Tu ci nie pomogę, bo sama nie mam pojęcia. Wiesz, skarbie, myślę, że ją do was ciągnie.

– Rozmawialiście o tym?

– Niezupełnie. Widzisz, było tak. Sporo jej o tobie opowiedziałam. Powiem szczerze: polubiłam tę dziewczynę. Czułam, że tamtego wieczora dostała za swoje, gdy Ione stała się taka ponura i tajemnicza, a Toby popadł w melancholię. Bardzo ją interesujecie, Thone. To naturalne. A przy tym dobra z niej słuchaczka. Pewnie dlatego – skrzywiła się – nieco mnie poniosło.

– Opowiedziałas jej o mojej matce i... o rozwodzie z Ione. Czy tak?

– Tak. Opowiedziałam. Masz mi to za złe?

– Nie – odparł. – Ione chce zaprosić ją do nas na tydzień. – Jego ręce opadły nieco bezradnie.

– Tak? – Fanny chciała, by mówił dalej.

– Tata ją polubił. A znasz Ione. Jego życzenie jest dla niej rozkazem.

– Czy Amanda zamierza przyjąć zaproszenie?

– Nie wiem. Jeśli to zrobi, Fanny, po tym, co zdarzyło się wczoraj... sam już niczego nie rozumiem.

– A co zdarzyło się wczoraj?

Przezesął dłonią włosy. – Przyszła do nas po południu. Początkowo oczywiście bałem się, że zdenerwuje tatę. Wiesz, jak podziałała na niego tamtego wieczora.

– To śmierć Belle, skarbie. On zawsze tak reaguje.

– Tak, wiem. Nie chciałem, by znów do tego doszło. Postanowiłem pokręcić się w pobliżu.

– Tak?

– Cóż, tata polubił ją, jak już mówiłem. Oboje... Początkowo wszystko wydawało się w porządku. Lecz gdy tylko ojciec wyszedł, rzuciła się na mnie z tą swoją bajką o truciznie.

Fanny pokręciła głową, oszołomiona.

– Nie wiem, o co w tym wszystkim chodziło, i nie bardzo mnie to obchodzi – powiedział niecierpliwie Thone. – Ale nie wiem, co myśleć. Nie mogę też o czymś zapomnieć... Wczoraj uczyniła kilka gestów – całkiem jak Belle!

Fanny zamrugwała.

– To było diablo dziwne! Tata i ja, obaj... Jak to, u licha, możliwe? Nie dziedziczy się, dajmy na to, sposobu, w jaki ktoś siedzi, przymyka oczy, by się zastanowić...

– Albo – wtrąciła Fanny – na przykład tego, jak się śmieje! – Podniosła się. Górowała nad nim gniewnie. – Albo staje! – wykrzyknęła. – Ani gestów takich jak ten!

Mózg Thone'a zdawał się poruszać, gdy się w nią wpatrywał.

– *Moje sztuczki! Moje wspomnienia!* – piszczała. – Och, to lisica! Dręczycielka! Diablica!

– Poznała je od ciebie!

– Oczywiście! Oczywiście, że tak!

– Skręcę jej kark – rzekł zwyczajnie Thone. Był już prawie przy drzwiach. – Gdzie ona mieszka? Mogę ją jakoś odnaleźć?

– Ależ zaczekaj...

– Wiesz to?

– Wiem. Powiem ci zaraz. Zaczekaj chwileczkę.

Fanny zachowywała się spokojniej. Podeszła do Thone'a. Jej stara twarz przepelniona była miłością do niego.

– Nie skręcaj żadnych karków, Thone. Proszę, poczekaj. Uspokój się. Uspokój. –

Wymachiwała przed nim rękoma. – To miła dziewczyna, Thone. Nie mogłam aż tak dać się nabrać.

– Wcale nie jest miła. I mnie też nabrała.

– Co o niej sądzisz?

– Usiłuje nas przekonać, że jest córką Belle. Chce nią być. Dla prestiżu. Może dla pieniędzy.

– Och, nie – rzekła Fanny. – Na pewno nie dla pieniędzy.

– Nie bądź naiwna, Fanny.

– Thone, skarbie, idź tam. Dowiedz się czegoś. Ale spokojnie, spokojnie – mruzczała kojąco. – Musisz zrobić dokładnie to, do czego popycha cię wewnętrzny impuls. Zgłęb tę sprawę. Ale postaraj się załatwić to spokojnie, zrób to dla Fanny, proszę.

– Ty też jesteś nią zauroczona – rzucił, oskarżając.

– To kochane dziecko – rzekła Fanny. – Więc niech Bóg i me doświadczenie mnie nie zawiodą. Zresztą jesteś od niej większy. Ona ci nie dorównuje.

– Nie zamierzam jej bić – zapewnił Thone, walcząc z uśmiechem, który chciał zagościć na jego twarzy. – I to z ciebie jest niepoprawna, kochana starsza pani. Będę spokojny. – Twarz mu się napięła. – Więc gdzie?

Fanny podała mu kartkę papieru. – Tu masz adres – rzekła. Jej głowa podążyła za nim za drzwi. – Zawiadomisz mnie? – spytała z wielkimi, błyszczącymi ciekawością oczami.

Kate otworzyła drzwi. Miała na sobie podomkę. Jasne włosy przyprószone siwizną związała skromnie z tyłu, odsłaniając twarz. Widać było zmęczenie pod jej oczami.

– Czy mieszka tu Amanda Garth?

– Owszem. Lecz nie ma jej w tej chwili.

– Gdzie mogę ją znaleźć? – spytał sztywno.

– Wyszła na zakupy. Ma ferie wielkanocne. Zechce pan zaczekać?

– Czy mam przyjemność z panią Garth?

– Tak.

– Nazywam się Garrison.

Oczy Kate zmrużyły się z niesmakiem, gdy usłyszała to nazwisko.

– Proszę wejść – powiedziała.

Pokój dzienny niewielkiego domku był chłodny, a jednak słoneczny. Meble wyglądały na proste i niedrogie, lecz ustawione funkcjonalnie i ze smakiem. Kate

rzekła:

– Zechce pan usiąść. Zwykle mnie też nie ma w środy w domu. Ale... miałam kiepską noc.

– Przykro mi – powiedział bardziej delikatnie, niż zamierzał. – Zdaje się, że odwiedziła panią wczoraj moja macocha.

– Tak.

Kate nie podjęła tematu, by ciągnąć go dalej. Te odwiedziny ją przygnębiły. Nie podobała jej się rozmowa z Ione w biurze poprzedniego popołudnia. Nie podobało jej się, że musiała powiedzieć, a przynajmniej dać po sobie poznać, iż wstydzi się zachowania Mandy. I nie podobało jej się, że będzie musiała to powtórzyć przed tym niezwykle przystojnym młodzieńcem, mocno rozgniewanym, choć nie na nią. Doskonale nad sobą panując, postawił Kate poza swoją złością. Usiadł. Miał piękne błękitne oczy, tak samo błękitne jak Mandy i jak jej własne.

– Moja macocha dzwoniła tu wczoraj wieczorem. Czy Amanda zamierza przyjąć zaproszenie?

Kate szybko wciągnęła powietrze. Jej oczy zapatrzyły się gdzieś w dal, omijając go. Ione była tak wylewna, trajkocząc przyjaźnie przez telefon wczoraj wieczorem. „Droga pani Garth, proszę jej pozwolić...” Nie było jednak w tej rozmowie odpowiedniego *nastroju*. Twarz Mandy też wyglądała dziwnie, gdy sama podeszła do telefonu.

Jej słowa: „To strasznie miło z pani strony. Byłoby cudownie.... Cóż, bardzo bym chciała, pani Garrison, o ile jest pani pewna, że... Oczywiście, to by było... Jest pani cudowna...” Jej usta, wykrzywione, lecz nie uśmiechnięte. *Jej* szeroko otwarte, wpatrzone w coś oczy. Jej głos, nieco zbyt kordialny, gdy mówiła: „Czy pozwoli pani, że zadzwonię jutro, *proszę*, pani Garrison? Tak *bardzo* chciałabym przyjechać, ale nie jestem pewna...” A na koniec: „Och, dziękuję. Tak, zrobię to. Tak, oczywiście”. Jej zamknięte oczy, gdy odkładała słuchawkę, i to jakże niezwykle skrzywienie ust.

Kate zapytała: „Pojedziesz?”

„Och, zastanowię się.”

Kate wciąż słyszała tę pozornie niedbałą odpowiedź, stukot obcasów Mandy, gdy wracała do kuchni, by dokończyć zmywanie naczyń. A wyraźne napięcie mięśni na jej plecach pozwoliło przewidzieć sztuczne milczenie, jakie nastąpiło tego wieczora. Bo choć gawędziły ze sobą, na ten temat nie padło ani słowo.

– A więc zamierza?

Spojrzenie Kate powróciło, pełne bólu. – Nie wiem – odparła. – Nie potrafię panu powiedzieć.

Ale Thone patrzył na nią teraz, jak gdyby pogubił się w tej rozmowie.

– Czy zdaje pani sobie sprawę – rzucił bez związku, niemal z szelmowskim uśmiechem – że gdyby rzeczywiście doszło do zamiany dzieci, byłaby pani moją matką?

Niewielkie zmarszczki uśmiechu wokół oczu Kate pogłębiły się. Jej pociągła, figlarna twarz wyrażała zaprawioną rozbawieniem konsternację. Thone uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Cóż za okropna myśl! – Ufał, iż kobieta wyczuje, że ma to być żart. – A tak poważnie, pani Garth...

Natychmiast spoważniała. Spuściła wzrok na swe duże, silne dłonie.

– Mandy jest moja – rzekła cicho – i dobrze o tym wie.

– Czy aby na pewno?

– Oczywiście, że tak.

– W porządku, więc wie. – Jego gniew znowu kipiał tuż pod powierzchnią. – Wobec tego, co usiłuje zrobić?

– Nie wiem – odparł Kate. – Bardzo mnie to niepokoi. Nie wiem. Ona... mnie unika. Nigdy dotąd tego nie robiła. Nie potrafię więc... Musi pan porozmawiać z Mandy.

– To właśnie zamierzam zrobić – rzekł, udobruchany nieco jej smutkiem.

Kate obróciła dłoń w geście bezradności. – Ona chce malować...

– To już zrozumiałem.

Kate uniosła głowę. – Myślę, że musi mieć jakiś powód. Może być pan tego pewien. Mandy nie zrobiłaby czegoś takiego bez żadnej przyczyny.

– Bo – wtrącił dziwnie Thone – takie z niej kochane dziecko? Kate popatrzyła złęknioma. – Tak – odparła nieco zgryźliwie.

– I wszyscy ją uwielbiają? – cedził słowa.

– Wszyscy *powinni* ją uwielbiać – powiedziała Kate.

Czuła w ustach niesmak nielojalności. Miała ochotę pozbyć się go przez splunięcie.

– Przepraszam, pani Garth – rzekł Thone, teraz już jedynie szczerze zdumiony. – Ja też się niepokoję. Nie rozumiem, co jej chodzi po głowie. Czy myśli pani, że wszystko przez to, iż jest jeszcze młoda i niemądra?

– Jest w pańskim wieku – odparowała Kate.

Thone nie spuszczał z niej wzroku. Nagle polubili się niezmiernie.

I wtedy to Amanda wpadła jak mała trąba powietrzna. Miała na sobie stare niebieskie spodnie, znoszone sandały na płaskiej podeszwie i kraciastą koszulę, a

rękoma obejmowała wielką papierową torbę z zakupami, którą dla równowagi przytrzymywała brodą.

– O! – wydusiła, po czym znikła w kuchni i znów jak tornado wróciła do pokoju, już bez torby.

Wyglądała jak mały obszarpaniec. Stała pośrodku salonu i wzrokiem ciskała w Thone'a gromy.

– Cieszę się, że pan przyszedł – odezwała się. – Mam panu co nieco do powiedzenia.

Dźwignął się z fotela, w którym zaskoczyło go jej burzowe wtargnięcie. Rozprostował się bardzo powoli, złowieszczo. Wydawał się ogromny. Wzrokiem Mandy podążyła za nim, ku górze, lecz nie dała się zbić z tropu. Atmosfera pomiędzy nimi stała się gęsta. Cieniutkie błyskawice wrogości zdawały się strzelać groźnie w nagrzanym powietrzu.

Kate rzekła ostro: – Chyba was zostawię.

– Nie, mam. Jest gorąco – odparła szybko Mandy. – Pójdziemy na podwórze. Chodźmy. – Skinęła na Thone'a głową. Jej wzrok wciąż miał piorunującą moc.

– Już idę – powiedział, a zabrzmiało to jak stłumiona zapowiedź odległego grzmotu.

Na podwórzu na tyłach domu było gorąco. Mandy poszła aż na sam koniec, pod drzewo oliwne, i usiadła w cieniu naprzeciw Thone'a. Jednak to on przemówił pierwszy. Jego głos brzmiał ostro i wyraźnie, nie dławiała go złość, choć ta, zasiadłszy gdzieś głęboko, siekła i tak mocno.

– Dlaczego naśladowała pani moją matkę tak, jak pokazała pani Fanny?

Oparła ręce za plecami. – Proszę mówić dalej – rzekła. – Proszę zadać wszystkie pytania, a wówczas ja udzielę na nie odpowiedzi.

– Co próbuje pani zrobić memu ojcu? Skoro pani wie, że nie jest pani jego dzieckiem, czemu pani udaje, że jest inaczej, stosując gesty, mimikę, spojrzenia, podczas gdy usta mówią: „Ależ skąd”? Jakaś część pani kłamie! Dlaczego?

– Proszę dalej – rzuciła zuchwale.

– Czy zamierza pani przyjechać i spędzić jakiś czas w naszym domu?

– To zależy.

– Od czego?

– Od pana.

– Cieszę się, że ma pani jakąś dumę.

– Dumę! – zawołała Mandy.

– Co z pani za...

– Dlaczego – przerwała mu – nie zapyta mnie pan o truciznę?

– Bo nie wierzę w żadną truciznę – odparł z pogardą.

Westchnęła.

– Właśnie dlatego.

– Dlatego co?

– Dlatego to wszystko.

– Nie rozumiem.

– *Dlatego że nie chce pan uwierzyć w żadną truciznę, musiałam skopiować Fanny.*

– I to wszystko wyjaśnia? – zadrwił.

– Według mnie, tak. Jeśli jest pan gotów wysłuchać, spróbuję to panu wytłumaczyć.

– Słucham – rzekł.

– Kiedy zjawiłam się u was po raz pierwszy – zaczęła niespokojnie – było tak, jak powiedziałam... – Opadła, kładąc się ze skrzyżowanymi nogami na trawie, i schowała twarz w dłoniach. – Teraz wszystko się pomieszało – jęknęła.

Thone usiadł i przechylił się w tył, podpierając się na łokciu. Skubał źdźbło trawy. Czekał z wyrachowaną cierpliwością.

– Pamięta pan, jak zeszliśmy do pańskiego pokoju? Tak się złożyło, że spojrzałam na szybę okienną. Była jak lustro. Ona nie wiedziała, że ją obserwuję. A widziałam ją doskonale. Pańska macocha, Ione, zrzuciła pański termos na podłogę. Zaciekawilo mnie to, bo udawała, że to był wypadek. Tak jakoś wyszło, że część rozlanej czekolady znalazła się na mojej chusteczce. Znam... pewnego mężczyznę...

– Jasne – wtrącił Thone dość ironicznie, gdy ona się wahała.

– Nie dawało mi to spokoju, rozumie pan? A on, tak się składa, że jest chemikiem.

– Więc dała mu pani chustkę do zbadania – rzekł bez emocji.

– I okazało się, że czekolada była suto doprawiona środkiem nasennym.

– Lecz nie może mi pani pokazać teraz tej chusteczki – dodał tym samym tonem.

– Mogę natomiast przedstawić panu człowieka, który ją zbadał.

– I który bez wątpienia uważa panią za kochane dziecko. Wpatrywała się w niego bez mrugnięcia. – Sama nie wiem, czemu nie dam panu po prostu odejść i dać się otruć.

W jego twarzy nic się nie zmieniło. – No właśnie, czemu pani tego nie zrobi? – Sięgnął po następne źdźbło trawy.

Mandy zamknęła oczy. O Boże, pomyślała. Cóż, niech i tak będzie. Nic nie



zdziałam, jeśli mu nie powiem. W porządku. Niech się dowie. Zaczęła mówić, z bólem, szukając sposobu na wyznanie.

– Pewnie jest pan przyzwyczajony do tego, że dziewczyny zakochują się w panu bez żadnego sygnału z pańskiej strony.

Otworzyła oczy. Patrzył na nią z twarzą tak bladą, nieszczęśliwą i wystraszoną, że zamilkła z otwartą buzią – trochę za późno, bo dotarło już do jego uszu to, co powiedziała.

– Przep-praszam. – Jej twarz zalała się rumieńcem. – Nie zamierzałam... Próbowałam tylko powiedzieć...

– Czy możemy to sobie darować? – Odrzucił źdźbło trawy. – Wróćmy do tego, jak pani dała chustkę do zbadania.

– Próbowałam do pana dzwonić, jak tylko dowiedziałam się, że coś panu grozi. Nie zastałam pana. Poszłam do Fanny Austin, bo myślałam, że może coś z tego *rozumiem*.

– Nie wspomniała jej pani o truciznie.

– Nie. Bo po naszej rozmowie wydawało mi się, że coś wiem. Myślałam, że jest pan bezpieczny.

– Bezpieczny? – Układ jego brwi zdradzał brak większego zainteresowania i sceptycyzm.

– Na razie – dodała Mandy. Serce ją bolało. Położyła na nim dłoń. – Wiem, jak to według pana wyglądało. Ale rzecz w tym, że tak długo, jak ona ma wątpliwości, tak długo pan jest bezpieczny. Dlatego musiałam spróbować je w niej zasiać.

– W kim?

– Wionę.

– Co ma z tym wspólnego Ione?

– Uważam, że ona chciała, by pan umarł.

– Pani zwariowała! – wybuchnął.

– Być może – odparła zmartwiona Mandy. – W każdym razie, skoro udało mi się o wszystkim panu powiedzieć, mogę trzymać się od was z daleka. Sam może pan o siebie zadbać. Naprawdę nie mam ochoty gościć w waszym domu. I nie chcę denerwować pańskiego ojca.

Pokręcił głową. – Nie jestem pewien, czy rozumiem. Chce mi pani powiedzieć, że mnie pani *chroni*?

– Oczywiście – odparła Mandy.

– Przed nagłą śmiercią?

Skinęła głową. Opadł na plecy i ryknął. Mandy czekała w milczeniu.

– Więc Ione próbowała mnie zabić? – Usiadł prosto i otrzepał się z trawy. Jego oczy wciąż wypełniało cyniczne rozbawienie. Obserwowały poważną twarz Amandy, jakby chciały się upewnić, że to żart. – Dlaczego? – zapytał. – Co mogłaby mieć przeciwko mnie?

– To, że jest pan dzieckiem Belle.

– Och, niech pani da spokój.

– Tylko że teraz nie jest tego całkiem pewna.

– Nie jest pewna?

– Że to *pan* jest dzieckiem Belle. Myśli, że może to ja.

– Pani sama nie wie, co pani mówi – stwierdził po chwili współczująco. – Nic pani nie rozumie.

– W pańskiej czekoladzie była trucizna – powtórzyła powoli, z uporem Mandy.

– Jeśli nawet tam była, to Ione ją wylała.

Mandy pokręciła głową. – Więc była to robota pańskiego ojca? Służących? A może Fanny? Kto pragnął pańskiej śmierci?

– Nikt, o ile mi wiadomo – odparł.

– A jednak czekolada była zatruta i ona o tym wiedziała. – Mandy zacisnęła dłonie w pięści. – Niech mi pan powie: czy już kiedyś cudem uniknął pan śmierci?

Wpatrywał się w nią nadal, lecz jego twarz nieco spoważniała. – Każdemu zdarzają się wypadki.

– A panu się zdarzył? Gdzie? Tutaj?

Wzruszył ramionami, a ona pacnęła go w bark.

– Proszę odpowiedzieć!

– Raz niewiele brakowało, a zabiłby mnie prąd we własnej łazience – przyznał beztrąsko. – I co z tego?

– Tutaj?

Przytaknął. Ich spojrzenia zwały się na moment. Mandy podciągnęła pod brodę kolana i złożyła na nich głowę.

– A więc wszystko jest jasne – orzekła stłumionym głosem.

– Nic nie jest jasne. – Jego głos zabrzmiał srogo. – Praktycznie nie mając podstaw, stworzyła pani jakąś zawiłą historię. Jedno wszakże mamy jasne. Niezależnie od pobudek już nie musi pani małpować mojej matki!

– Tak? – Wyprostowała się w przypiływie gniewu. – To znaczy, że wciąż pan nie wierzy, że czekolada była zatruta? Ale czemu miałabym to zmyślać? Czemu miałabym kłamać?

– A dlaczego robi pani cokolwiek? – wymamrotał. – Uważam, że zwyczajnie

lubi pani intrygi.

– Jak umarła pańska matka? – naskoczyła na niego. – Gdzie była wówczas Ione?

– Dość tego. – Podniósł się.

– Był pan przy tym, nieprawdaż? – Mandy też dźwignęła się z ziemi. Zaklinała go. – Czy pan tego nie widzi? Ione musiała nienawidzić pańskiej matki. Czy nie rozumie pan, że może to być część tego samego...?

Spuścił zagadkowy wzrok i otrzepał się z trawy.

– Skąd pan wie? – zawodziła dalej. – Skąd ma pan taką pewność, że to nie było morderstwo?

– A zatem teraz – powiedział lodowatym tonem – pani ze swą cudowną intuicją wie lepiej od policji, lekarzy, męża, syna i wszystkich żyjących ludzi, którzy byli tam obecni przed sześciu laty.

– Ale czy to *jest* niemożliwe?

– Owszem – odparł. – Niemożliwe. – Jego oczy płonęły. – I jeśli kiedykolwiek wspomni pani o tym choćby słowem mojemu ojcu, skrećę pani kark. Czy pani zdaje sobie sprawę... czy ten pani mały mózdzek jest w stanie pojąć, co by mu pani zrobiła? Zabiłaby go pani. Zdruzgotała! Niech pani trzyma tę swoją ignorancką buzię na kłódkę! I niech pani nie wtyka nosa we wspomnienia mego ojca, bo inaczej, na Boga, chyba panią...

Złapał ją w furii. Chciał nią potrząsnąć. Zawisła bezwładnie w jego uścisku.

– Będę więc trzymać buzię na kłódkę, a pan niech się da zamordować! – wykrzyknęła.

Jej głowa opadła w tył, gdy podniósł ją w swoim gniewie. Zaczęła płakać. Nie zwracała jednak żadnej uwagi na łzy płynące po twarzy.

– Oczywiście nic nie powiem pańskiemu ojcu! Za kogo pan mnie... Niech mnie pan puści! Obiecuję. Obiecuję, że nic nie powiem.

Puścił ją. Zachwiała się, stając na ziemi, i rozmasowała ramię, podczas gdy łzy wciąż płynęły.

– Nie mogłabym skrzywdzić pańskiego ojca.

– To dobrze – powiedział Thone.

Pod drzewem przez dłuższą chwilę panowała cisza. Światło i cień tańczyły nerwowo po ich twarzach. Amanda odezwała się zniżonym głosem: – Czy opuści pan ten dom? Czy pan wyjedzie?

– Nie.

Skrzyżowała ręce na piersi, czując, że robią jej się siniaki. – Wobec tego nic nie poradzę. Będę musiała to zrobić. Będę musiała. Bo jestem jedyną osobą na świecie,

która może temu zapobiec.

Zwilżył wargi. – Co będzie pani musiała?

– Zjawić się tam – odparła Mandy z płonącymi oczami – i zająć pańskie miejsce. I bardzo dobrze! Skoro pan nie chce wierzyć, to pewnie rozsiądzie się pan wygodnie i będzie patrzył, jak ta kobieta usiłuje zamordować *mnie*\

## Rozdział 10

Gdy chwilowy szok minął, Thone osunął się z powrotem na trawę. Mandy przykucnęła, patrząc mu w twarz.

– Czy teraz pana przekonałam? – ośmieliła się w końcu zapytać.

Potarł dłonią oczy i posłał jej zmęczone spojrzenie.

– Proszę mi wybaczyć – rzekł – że prawie panią pobiliśmy.

Usprawiedliwiła go lekkim ruchem głowy.

– Przekonała mnie pani co do jednego – powiedział cierpko. – *Że pani jest o tym przekonana.*

– I naprawdę... uwielbiam pańskiego ojca – wyznała.

– Tak, ja... – Jego wzrok uciekł przed jej spojrzeniem. – I co ja mam teraz z panią zrobić? – wymamrotał.

Mandy wytarła twarz rękawem i pociągnęła nosem.

– Niech pan nic nie robi. Proszę posłuchać – rzekła, starając się zrobić wrażenie osoby rozsądnej – czy komuś zaszkodzi, jeśli Ione przez jakiś czas będzie wierzyć, że zostaliśmy podmienieni? Tuż po narodzinach? I wtedy zobaczymy. Jeżeli mam rację, na pewno coś się wydarzy.

– A co z tatą?

– On nigdy nie zwątpi, że jest pan jego synem – odparła natychmiast Mandy. – A czy zaszkodzi mu to, jeśli przez czas jakiś będzie się przyznawał do nas obojga?

– To zrani pani matkę – zauważył ku jej zaskoczeniu.

– Wiem.

– Wyjaśni jej to pani?

– Mamie? Nie mogę.

– Nie zgadzam się z panią.

– Nie pozwoliłaby mi się już nigdy zbliżyć do tego domu. Absolutnie. Nie mogę jej powiedzieć.

– Zrozumiałaby – upierał się Thone.

– Oczywiście, że tak – odpaliła Mandy. – Ale moja mama kocha *mnie*. I to na *moim* bezpieczeństwie jej zależy. Nie rozumie pan?

Milczał przez dłuższą chwilę. – No, tak – rzekł wreszcie, nie podnosząc wzroku. – Chyba rozumiem.. – Położył dłoń płasko na trawie. – A jeśli się nie zgodzę?

– Wówczas – odrzekła Mandy – może będę zmuszona pójść na policję.

Westchnął, ale się nie odezwał.

– Nie traktuje pan tego na tyle poważnie, by zachować ostrożność --jęknęła. – Nie miałabym pewności, że będzie pan na siebie uważał. A chciałabym spać spokojnie w nocy. Taka ze mnie samarytanka – dodała nonszalancko.

– W porządku – rzucił nagle, patrząc jej w oczy ze śmiertelną powagą. – Zgadzam się, o ile nie będzie pani denerwować mego ojca.

– Sądzę, że zdenerwowałby się dużo bardziej – powiedziała cicho Mandy – gdyby pan umarł.

Poddał się, coś w nim pękło. – Zdaje się, że będzie pani musiała się tam zjawić.

– Myślę, że ona chce mnie poobserwować. Chyba jest tym wszystkim mocno zaintrygowana. Ja... naprawdę tak uważam.

– Wiem o tym – odrzekł.

Przez chwilę siedzieli w ciszy. Mandy nie wiedziała, nawet nie domyślała się, o czym myśli Thone. Poruszyła się.

– Może powinien mi pan w tym trochę pomóc, zachowywać się tak, by uwierzyła, że i pan myśli, że to ja jestem tym właściwym dzieckiem...

– To niedorzeczne – stwierdził lekkim tonem – ale działajmy według pani planu, choć na moich warunkach. – W jego oczach pojawił się lekki figlarny błysk, iskierka ciepła, sugestia, że on też z chęcią ją poobserwuje. – Mam nadzieję, że zdaje pani sobie sprawę, iż najprawdopodobniej dowiedzimy jedynie, że śnią się pani tylko jakieś koszmary.

– I w ten sposób będę mogła się ich pozbyć – odparła równie lekko. – A co zrobimy z Fanny Austin? Nie powinna mówić Ione, że udawałam.

– Zajmę się tym – rzekł, jakby nieco nieobecny.

Po chwili wstał. Amanda zrobiła to samo.

– Zawiadomimy pani mamę? Co jej powiemy?

– Pan niech się po prostu z nią pożegna – odparła Mandy, czując dziwne ukłucie lekkiej zazdrości. – Sama jakoś to z nią załatwię.

Weszli do domu, a Kate, widząc ich twarze, zrozumiała, że burza minęła, nie czyniąc najwyraźniej większych szkód. Thone ujął jej dłoń, by się pożegnać. Powiedział tylko:

– Do widzenia, pani Garth.

Lecz zaszło między nimi coś więcej. Mandy przygryzła wargę. Jej Kate! Czowała wściekłość, a jednocześnie doznała olśnienia. Jakże Thone musiał przeżywać to, że Tobias darzył ją tak nieskrywaną sympatią! Pożegnała się z nim dość skromnie.

Później, gdy po jego obecności nie został nawet ślad, gdy dom jakby odetchnął z ulgą i się rozluźnił, Mandy zwróciła się do Kate.

– Polubiłaś go, mamó. – Zabrzmiało to bardziej jak oskarżenie niż jak pytanie.

– Owszem, polubiłam – odparła spokojnie Kate.

– Pojadę do nich. Przyjmę to zaproszenie. Wyjeżdżam w piątek.

Kate zamrużyła oczami, czekając na cios. Mandy opadła na podłogę do jej stóp.

– Mamusiu – zaczęła, składając jak dziecko głowę na kolanie Kate. – Teraz, gdy go już widziałas, chcę ci powiedzieć, że zakochałam się w tym człowieku. Niestety, chyba bez wzajemności. Ale... Garthowie nie poddają się tak łatwo... prawda?

Usłyszała, jak matka wstrzymuje oddech, trwa tak przez chwilę, po czym oddycha znowu. Dłoń Kate przeczesła jej włosy, spiesząc się z odpowiedzią.

– Pokaż im, na co cię stać, kochanie – rzekła Kate drżącym głosem.

A Mandy zakopała twarz w jej spódnicy i załkała.

Gene mówił: – Więc jedziesz tam w piątek na cały tydzień, tak? A ja nie mogę liczyć na żadne spotkanie! Doskonale!

– Ależ, Gene, mam być ich gościem.

– Ich, to znaczy, czym? Ten Garrison, artysta, ma cię uczyć malować. A reszta...?

– To jego żona i syn.

– Syn – powtórzył Gene. – W jakim wieku?

– Och, Gene...

– Mandy, nie próbuj mnie nabrać.

– No dobrze, ma dwadzieścia trzy lata i jest bardzo przystojny.

– Aha – rzekł Gene. – Zatem sztuka. – Zapalił papierosa. – Zaraz, czy to chodzi *może* o tę chusteczkę? Czy ta rzecz miała coś wspólnego z tymi Garrisonami?

– No cóż, miała.

– Nie jedź tam, Mandy.

– Ależ wszystko będzie w porządku!

– Skąd wiesz?

– Gene – rzekła szczerze – będziesz musiał pozwolić mi zrobić tak, jak chcę.

Jego rdzawobrzęde oczy wypełniły *się* na chwilę poczuciem krzywdy. W końcu odpowiedział ze stoickim spokojem:

– Jasne, Mandy, skoro tak mówisz. Ale gdybyś kiedyś, na przykład, potrzebowała ochroniarza... – Poglaskał ją palcem wskazującym z tyłu głowy.

– Będę o tym pamiętać – odrzekła poważnie Mandy.

Gene wstrząsnął się. – Mam nadzieję – dodał złowieszczo.

Thone przyjechał po nią w piątek po południu autem ze składanym dachem. Mandy miała na sobie kremowożółty kostium, czarne buty i torebkę oraz granatową bluzkę. Gdy zobaczyła, że dach jest złożony, zawiązała na głowie żółty szal. Kate

pracowała w biurze, więc nie było nikogo, z kim musiałaby się pożegnać. Thone wziął jej walizkę i farby. Mandy zamknęła na klucz drzwi domku.

Było jasne popołudnie, wietrzne i bezchmurne. Otaczające ich zewsząd wzgórza rysowały się ostro w oddali. Jasne światło wydobywało najżywsze barwy, zielenie krajobrazu, czerwień, pomarańcz, amarant, łącząc je i tworząc iskrzący się melanż. W takim słońcu żaden kolor nie mógł wyglądać tandetnie. I nigdzie nie było znać przesytu barw. Przejrzyste powietrze chłono je wszystkie.

– Co za dzień! – zachwyciła się Mandy.

– Dość wietrzny – zauważył Thone. – Czy aby pani nie zmarznie?

– W tym? Ależ skąd.

– Ten sam strój, w którym była pani w galerii – zauważył, budząc jej zdziwienie.

– A czy wzięła pani ze sobą tamte spodnie?

– N-nie.

– Szkoda. – Umieścił jej rzeczy z tyłu. – Chce pani poprowadzić? – zapytał.

Zatkało ją. – Och, z największą przyjemnością! Czy to znaczy, że mi pan pozwoli?

– Proszę bardzo.

Siadając obok niej, potarł dłonią oczy.

– Ból głowy? – spytała.

– Nie.

Odszukała pedał sprzęgła, ruszyła i stwierdziła, że jest zauroczona prowadzeniem tego auta.

– To wóz Ione – wyjaśnił Thone. – Dla taty byłoby w nim dzisiaj zbyt wietrznie. Dlatego wzięli sedana.

– Pojechali gdzieś?

– Będą w domu przed nami.

Jeśli miała to być przygoda, to w tej chwili zapowiadała się całkiem przyjemnie. Piękny dzień, samochód, mężczyzna obok niej – nieważne, że myślami błądził gdzieś daleko – którego profil, dostrzegany kątem oka, wywoływał w niej tak miłe uczucie... Mandy nabrała pewności i prowadziła całkiem swobodnie. Gładko przemknęli przez Glendale. Wspięli się na wzgórze. I oto w oddali wyrosły wcinające się w niebo góry, olbrzymie, milczące i wyraźne.

– Jak pięknie dziś wyglądają!

– Jak w Chinach – rzekł Thone.

– Słucham?

– Och, sam nie wiem. Takie widoki mocno na mnie działają...



– Długo był pan w Chinach?

– Spędziłem tam trochę czasu w wojnę.

– Ale chyba też mieszkał pan w tamtym regionie?

– Tak, i to dość długo. Jednak raczej daleko od Chin. Trochę na Hawajach, Tahiti...

– To musiało być... hmm – westchnęła. Pomyślała jednak o Belle i o wspomnieniach o niej, które z pewnością nierozzerwalnie wiązały się z tym okresem.

– Był pan w wojsku? – szybko zmieniła temat.

– W pewnym sensie – odparł. – Miałem straszne problemy z przekonaniem ich, żeby mnie przyjęli. Okazało się jednak, że znam kilka języków, które mogły się przydać na Wschodzie. Miałem szczęście.

Mandy rzekła: – A zatem sam się pan tam wpakował.

– Aha. – Uśmiechnął się. – Wpakowałem się w wojnę i całą przegadałem.

– Brał pan udział w akcjach?

– W żadnych walkach – odparł krótko.

– A teraz chce pan zostać architektem. Fanny mi powiedziała.

– Fanny musiała pani sporo naopowiadać.

– Lubię ją.

– A czy można jej nie lubić? – skwitował. – Owszem, próbuję osiąść tę sztukę. Czy Fanny powiedziała też, że mnie na to stać?

Mandy zmarszczyła brwi i nie odpowiedziała. Cień padł nie na piękną scenerię, lecz na to, jak ona ją odbierała.

Thone powiedział: – Przepraszam.

Mandy rzekła lekko: – Tak, chyba mi się to należy. Choć prawdę mówiąc, Fanny rzeczywiście mi to powiedziała. Szczęściarz z pana, nieprawdaż? Ja też mam szczęście.

– W czym? Co pani ma na myśli? – Obrócił głowę, by ją widzieć.

Wargi Mandy ułożyły się w słodki uśmiech. – Ja też studiuje. Dostałam swoją szansę. Uważam, że to szczęście.

– To prawda – przyznał delikatnie Thone i przez chwilę jechali w milczeniu. Po jakimś czasie powiedział: – Proszę jeszcze nie skręcać. Będziemy musieli pojechać niższą drogą. Nie będzie pani miała nic przeciwko małej wspinaczce? Po terasach ogrodu? Ione trzyma to cacko w garażu na dole.

Knykie Mandy pobiegały na kierownicy. – Proszę mi tylko powiedzieć gdzie – rzekła, nie całkiem panując nad własnym głosem.

Pokazał jej, gdzie skręcić. Zaczęli wjeżdżać w zagłębienie pomiędzy górami.

Droga biegła płasko. Teren po obu stronach wznosił się coraz wyżej i coraz bardziej stromo.

– Widzę – odezwał się uprzejmie Thone – że Fanny powiedziała także, jak umarła Belle...

Wjechali ze słońca w cień, jak gdyby połknął ich wąwóz. Oślepieniem słońcem oczom cień wydał się szokująco mroczny. Amanda zadrżała. Parę domów tuliło się do siebie na skraju drogi, stojąc tyłem do zbocza; wszystkie miały dziwne kształty, jakby forma terenu wymusiła na nich tę ekscentryczność, co chyba rzeczywiście miało miejsce.

– Nie chciałabym tutaj mieszkać – rzekła Mandy, pragnąc zatuszować dreszcz.

– Sześć lat temu nie było tu żadnych domów – rzekł Thone. – Ale zgadzam się z panią. Ja też wolę żyć wyżej, spoglądać na wszystko z góry.

Dotarli do dwuskrzydłowej bramy i betonowego podjazdu. Budynek z płaskim dachem wtopiony był w strome zbocze wzgórza, prawie – choć niezupełnie – jak grot. Thone rzekł:

– Jesteśmy na miejscu.

Mandy niepewnie zatrzymała samochód. Wrota były otwarte, maksymalnie odchylone do tyłu i przymocowane do bocznych ścian swego rodzaju hakami.

Wnętrze wydawało się maleńkie. Zwykle puste pudełko z kilkoma stopniami prowadzącymi do niewielkich drzwi w połowie ściany.

Thone rzekł: – Proszę wjechać.

Mandy wprowadziła długie auto do środka.

– W porządku – powiedział.

Amanda zaciągnęła hamulec i, ogarnięta przez nagłą panikę, przekręciła szybko kluczyk w stacyjce. Silnik ucichł.

Thone nie poruszył się nawet, by wysiąść. – Obawia się pani tego, co teraz czuję, prawda? Proszę się nie bać.

– N-nie, ja...

– To tutaj umarła. Tata nie potrafi zmierzyć się z tym miejscem. Zbudował z Ione inny garaż, wcisnęli go gdzieś tam, na górze. On nigdy tu nie przychodzi. Ja – tak.

– Musiał ją uwielbiać – rzekła Mandy drżącym głosem.

– Podobnie jak ja.

Milczał przez chwilę, a Mandy dygotała z pragnienia, by mówił dalej, by się przed nią otworzył; czuła jednocześnie strach, że wszystko zepsuje, i podniecenie, że tak mało brakuje, by się do niego zbliżyła.

– Wydaje mi się – ciągnął spokojnie Thone – że człowiek nie powinien się

przejmować tym, gdzie umrze. Śmierć uświęca. Jest tak podniosła, że czyni świątynię z każdego miejsca, w którym się przydarza. Takie myśli często nachodziły mnie podczas wojny. – Poruszył ramionami. – Bóg jeden wie, jak cierpiałem po śmierci Belle, ale staram się pamiętać, że nie czuła bólu. Zasnęła. Jeśli przez cały czas spała tutaj, na tej niezbyt czystej podłodze, cóż, jest w tym miejscu coś świętego. Tak to właśnie odbieram. Rozumie pani?

– Głuptas ze mnie – odrzekła cicho Mandy. – Proszę mi wybaczyć.

Oparła się, odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy, by powstrzymać łzy.

– Myślałem jednak o tym, co pani zasugerowała.

– O!

– Nic nie mogłem na to poradzić. Widzi pani, Belle zażyła nieco chloralu. To ją uspiło. Chloral był w domu zawsze obecny. Zawsze przygotowywała go tacie. Nikt inny go nie dotykał. Dlatego uważamy, że zażyła go przypadkiem.

Mandy otworzyła oczy. – Ale jak *to* możliwe? Czy ten środek nie ma smaku?

– Oczywiście, że ma. Ale Belle lubiła pewien likier. Anyżówkę. Piła pani kiedyś? Jest wyborna. Choć bardzo mocna, gdyby chciała pani kiedyś spróbować. Nazywała ją swoją wodą ognistą. Podobało jej się to, jak rozlewała się po jej... – Urwał i szybko przeszedł do następnego zdania. – Cóż, wypiła trochę tamtego wieczora. Prawie zawsze piła odrobinę po kolacji. Doszliśmy do wniosku, że chloral dostał się jakoś do alkoholu, a ona nie zauważyła albo... – Zawahał się. – Nie mieliśmy żadnych wskazówek, rozumie pani. Naczynia, których używaliśmy – jej, taty, moje po coli – zostały umyte i odstawione na miejsce na długo przed tym, jak dowiedzieliśmy się, co się stało. Elsie i Burt wrócili około północy. Tata od kolacji nie ruszał się z fotela, nie licząc tego razu, gdy poszedł odebrać telefon. Ja też siedziałem w salonie. Poza nami w domu nie było żywej duszy.

Mandy pokręciła głową.

– Tata zasnął, ja czytałem. Czekaliśmy na nią. – Podniósł się nagle i kontynuował ostrzejszym tonem: – Oczywiście dawniej uważałem, że zażyła go świadomie. Och nie, nie to! To znaczy, w tym samym celu co tata. Tato rozpuszcza swój chloral w mleku. W ten sposób środek nie usypia go natychmiast, tylko czyni sennym. Ale chloral w alkoholu działa jak błyskawica. I właśnie tak musiał podziałać na nią. Dlatego też zastanawiam się, czy tak naprawdę wypadku nie stanowiło zmieszanie przez nią środka nasennego z alkoholem. Przypuszczam, iż nie wiedziała, że może to być niebezpieczne. Staram się wmówić sobie, że tak właśnie było.

– Tak – wykrztusiła Mandy ze ściśniętym gardłem.

– Jednego – podjął Thone – jestem pewien: Belle nie chciała umrzeć.

– Och, nie... nie. Proszę mi tego wszystkiego nie mówić. Nie przywoływać wspomnień. Przepraszam.

– To część mej terapii – odparł delikatnie Thone. – Leczę się ze złudzeń.

Serce w Mandy opadło, omdlało z nieszczęścia. Nie odzywała się. Próbowwała się uśmiechnąć. W duchu jednak mówiła sobie: To jednak nie było żadne złudzenie. Czekolada była zatruta.

Pomógł jej wstaść, zamknął wrota i zarygłował je. Wewnątrz zrobiło się wówczas bardzo ciemno. Wspięli się po schodach, a Thone otworzył drzwiczki i puścił ją przodem do czegoś w rodzaju warsztatu i składziku zarazem, wtulonego w zbocze góry pół piętra nad garażem. Zawalony był różnymi rupieciami, typową zbieraniną tego, co gromadzi się w takich miejscach, i oświetlony dość ponuro światłem wpadającym przez szeroki rząd luksferów wysoko w tylnej ścianie, przez które nic nie było widać. Thone przeszedł przez pomieszczenie do kolejnych drzwi i otworzył je kluczem. Znaleźli się na pierwszej z teras.

Stali teraz wyżej niż garaż, jednak znacznie niżej niż dom, który wydawał się brzydki i przerażający, widziany pod tym dziwnym kątem. Ogród na zboczu otoczony był murem, murem, który piał się w górę niemal prostopadle, tworząc niesamowite stopnie i kąty.

Thone przemówił: – Ten mur mnie dobija. Czyż nie jest paskudny? Tata kazał wybudować go zeszłej jesieni, by chronił jego prywatność. Ktoś zakradł się kilka razy tą ścieżką i go podglądał. Teraz jedyna droga z dołu wiedzie przez garaż i wszystkie te drzwi. Zawracanie głowy. – Podrzucił klucze i chwycił je w locie. – Złapała pani oddech? To chodźmy.

I tak oto wspinali się z poziomu na poziom, chwilami po stopniach, a chwilami nierówną ścieżką tworzącą ostre zakręty. Powoli dotarli wreszcie do drzwi na najniższej kondygnacji domu.

Na *tym* poziomie znajdował się pokój gościnny. Thone poinformował ją, że mieszkają tu także Elsie i Burt.

– *To* dość niezwykle, wiem. Ma się wrażenie, jakby cały dom na człowieka napierał. Ale nie będzie się pani czuła wyobcowana. Czy chciałaby się pani... umyć czy coś takiego?

– Nie – odparła Mandy, ogarniając dziwny kształt pokoju i drzwi do łazienki jednym spłoszonym spojrzeniem. – Bierzmy się do roboty, dobrze?

W duchu zaś pomyślała: To ja muszę się brać do roboty. Na niego nie mogę liczyć. Na niego ani na nikogo. Jeśli w tym domu czai się zło, to jestem przeciwko niemu sama.

## Rozdział 11

Tobias był ponad miarę serdeczny. Mandy szybko zaczęła odnosić wrażenie, że sytuacja, którą sama zaaranżowała, zaczyna się rozwijać z zapierającą dech w piersiach szybkością, pędząc naprzód w podskokach i wymykając jej się z rąk. Tobias był nią oczarowany. Rozmawiali przez wiele godzin. A raczej on mówił, zwierając się jej ze swoich myśli i poglądów, przedstawiając swoje spostrzeżenia i teorie, które napływały falami, całymi kaskadami, jak gdyby zbyt długo powstrzymywała je jakaś tama. Mandy była zauroczona. Skupiona, wniebowzięta, podekscytowana, słuchała i chłonęła wiedzę. Thone też tam był, także skupiony na słowach ojca, lecz dziwnie oddalony od Mandy. Tworzyli niedokończony trójkąt. Tobias stanowił jego wierzchołek. Linia podstawy, pomiędzy młodzieńcem i dziewczyną, nie została jeszcze poprowadzona.

Co do Ione, to wchodziła ona i wychodziła. Zarządzała domem ponad ich głowami. Była jak kapitan trzymający statek na obranym kursie, podczas gdy oni, pasażerowie, koncentrowali się na stanie własnego umysłu, ledwo dostrzegając to, dokąd niesione są ich ciała.

W sobotę było tak samo. Przez całe przedpołudnie w atelier Tobias mówił jak nakreślony. Zdawało się, że ze szczęścia trawi go niemal gorączka.

Mandy nie zamieniła ani słowa na osobności z Thonem. Prawie nie widywała starej Elsie, a jej mąż, Burt, stanowił dla niej jedynie pochyloną postać w ogrodzie. Bardzo mało rozmawiała też z Ione.

Z Ione, która wchodziła i wychodziła. Która czasami słuchała, a czasami nie. Która, gdy już się do rozmowy włączyła, zawsze czyniła ją ciężką. Amanda już wiedziała, co miała na myśli Fanny. Ione nie potrafiła wznieść się ponad ziemię na skrzydłach abstrakcji. Nie wiedzieć czemu, kurczowo trzymała się drobiazgów. Trzymała się zasad, była przebiegła i inteligentna, mała i żwawa, lecz brakowało jej głębi.

Ale czy się jej przyglądała? Mandy nie miała pojęcia. Nie miała czasu zaobserwować; była oszołomiona.

W sobotę zjedli szybką kolację, bo wieczorem miało się odbyć przyjęcie. Mieli się zjechać goście. Mandy musiałaby się trochę przebrać, jak jej powiedziano.

W swoim pokoju na dole, na najniższym piętrze domu, nałożyła krem na twarz i wzięła kąpiel, by przez chwilę odpocząć od towarzystwa. W tej chwili błędnego osamotnienia dopadły ją wątpliwości.

Jeśli Ione jej nie lubiła, jeśli ich stosunki nie były najcieplejsze, to trudno było się temu dziwić. Zjawiam się w ich domu, myślała Mandy, a Tobias wychodzi z siebie. Pakuję się tu z butami i go sobie przywłaszczam. I jestem ledwie uprzejma dla niej, dla kobiety, która mnie gości. Nawet nie próbuję wciągnąć jej do rozmowy. Siedzę i gapię się na niego, a on jest w siódmym niebie. Jasne, czemu nie. Jestem młoda i rozumiem, co do mnie mówi, i chłonę to wszystko. Jeśli Ione ma ochotę mnie zamordować, to nie powinnam się temu dziwić! Thone też. Jak mógłby mnie polubić? Uwielbia swego ojca. Ale pojawia się i...

Mandy spojrzała w lustro w swe zatroskane oczy. Ale ja tego nie chciałam. Sama błagała się o wybaczenie. Oczy w lustrze jej go nie udzieliły. „Lepiej zabieraj się do domu, Amando Garth”, mówiły. „Teraz, kiedy sama to zrozumiałaś, nie wygląda to wszystko tak pięknie, prawda?”

Poszła na przyjęcie. Założyła pastelową sukienkę z satyny. Miała barwę bladej zieleni. Skromnie spływała z jej ramion i układała się w błyszczące fałdy poniżej kolan. Jednak krój na biodrach i piersiach wcale nie był tak skromny. Krótkie włosy zaczesła do tyłu, za uszy. Nie założyła żadnej biżuterii, żadnych ozdób, nawet kwiatka, by nie zakłócić połyskującej linii.

Tobias wyciągnął obie ręce. – Och, jest moje dziewczę! Jest moja Amanda! Cudowna... cudowna... Czyż nie jest cudowna?

Ze swymi dłońmi w jego rękach Amanda została pociągnięta do przodu.

– Cudowna, doprawdy! – zawołał ze złością jeden z jego kolegów.

– Więc to jest, jak mówisz... twoja córka! – zapiszczał inny, poprawiając okulary.

– Mówiłem tylko, że mogłaby nią być. – Tobias promieniał.

– Oczywiście zamierzasz namalować tę cudną... hm... twarzyczkę, Toby?

– Jeśli zechce mi pozować – odparł z czułością artysta. – Ona nie jest modelką, George. Sama maluje.

– Odziedziczyła twój geniusz, co?

– Och, nie – zaprzeczyła Amanda.

Odwróciła się, by odszukać osobę, która to powiedziała. Ujrzała Fanny w bieli i srebrze, jak odpowiadała na powitanie grupki gości. Zobaczyła też Ione.

Ione, małą kobietkę, panią domu, władczynię tego zamczyska. Pulchną i elegancką w beżowej sukni z długimi rękawami i zakładkami na biuście. Szykowną i opanowaną, ze staranną fryzurą upiętą z białych włosów, z zaróżowionymi policzkami muśniętymi odrobiną pudru. Uśmiechniętą. Być może był to uśmiech gospodyni przyjęcia, naklejony na twarz, maskujący zaaferowanie długą listą obowiązków. Jednak ciemne oczy, które powinny biegać, odnotowując i planując

wszystko w tym pokoju pełnym ludzi, były teraz, przez tę krótką chwilę skupione na piękności w pastelowej zieleni. Z nieruchomego spojrzenia nie dało się nic wyczytać. Nie wyrażało żadnych emocji. Było jakby ślepe.

Amanda odwróciła wzrok. Mruknęła coś pod nosem. Jej spojrzenie jęło polować na Thone'a. Stał w otoczeniu trzech młodych kobiet, rudowłosej, która nie spuszczała go z oka, brunetki, która kiwała się na wszystkie strony, kołysząc biodrami, i platynowej blondynki w bufiastej sukience, przewracającej wielkimi oczami i głaszczącej długą, miękką, trzymaną za róg chusteczkę. Amanda skrzywiła się. Pomyślała: Co za towarzystwo. Zawiodła samą siebie, zniżyła się do takiego poziomu. Lepiej będzie, jak przesiądzi zwyczajnie całe przyjęcie. Wycofa się.

Czyniąc to, uzyskała efekt przeciwny do zamierzonego. Jako że decyzja ta przydała jej młodej urodzie pewnego mistycyzmu. Ludzie kręcili się przy niej. Wbrew temu, co postanowiła, to był wieczór Amandy, to było jej przyjęcie.

Fanny podeszła i ścisnęła ją za ramię. Jej oczy błyszczały pełną rozkoszy kpina, jakby chciała powiedzieć: „Nie wiem, w co grasz, ale przyjemnie jest na ciebie popatrzeć, ty śliczna mała diablico”.

Ione stała na swych zmęczonych, pulchnych nogach i bez końca się uśmiechała. Po chwili podszedł do niej Thone.

– Usiądź, Ione – rzekł z życzliwością. – Wszystko jest pod kontrolą.

Poprowadził ją i posadził przy oknie, sam usiadł obok i nachylił się ku niej, by odgrodzić się od tęsknych spojrzeń dziewcząt, które pozostawił świergoczące niepewnie po drugiej stronie pokoju.

– Wygląda na to, że Amanda zrobiła furorę – rzekł głosem bez wyrazu.

– Tak – odparła Ione jakby odrobinę za głośno. Za moment obróciła głowę i spojrzała na niego. – Czy to cię nie denerwuje, mój drogi?

Wzruszył ramionami.

– Wybacz – rzekła. – Ale Tobias stanowczo za bardzo się ekscytuje. To mu nie wyjdzie na zdrowie.

– Co na to poradzić? – mruknął Thone.

Jej usta podwinęły się do środka i prawie znikły, gdy je przygryzła. – Thone, czy nie istnieje coś takiego jak badania krwi? Grupy krwi?

– Owszem.

– Wiesz coś o tym? Wykonano takie testy wtedy, dawno temu?

– Cóż – odrzekł, zakładając nogę na nogę – rzecz w tym, że grupy krwi dziecka nie da się ustalić wcześniej niż po ukończeniu pierwszego roku życia. Przypuszczam, że takie badania mogłyby czegoś dowieść. Wprawdzie ich wynik

może tylko coś wykluczyć, ale mogłyby, na przykład, udowodnić, że ona nie może być dzieckiem moich rodziców. Z drugiej strony, mogłyby nie dowieść absolutnie niczego. Gdyby okazało się, że oboje mamy taką samą grupę, rozumiesz?

– A zatem nigdy takich badań nie wykonano?

– Przez rok nie było takiej możliwości. A po jego upływie uznali, że to już nie ma znaczenia.

– Przypuszczam, że wciąż można takie testy przeprowadzić?

– Teraz? Byłbym szczęśliwy, gdybyśmy ustalili to raz na zawsze – powiedział szorstko. – Tak się składa, że ja znam swoją grupę. Mam krew AB.

– AB – powtórzyła.

– To dobry pomysł, Ione. Moglibyśmy poznać grupę krwi taty. Ale zastanawiam się, czy jest to gdzieś odnotowane. Jej ojciec, jak wiesz, nie żyje. Podobnie jak Belle.

– No cóż, tak – rzekła. – To może być trudne.

Wachlowała się elegancko koronkową chusteczką. Jej małe stopy zakołysały się w powietrzu.

– Zaś jeśli chodzi o tatę... – Thone obrócił się i rozejrzał po pokoju. Zobaczył, co się dzieje. – O Boże, ten obraz! Czy oni zawsze...?

– Zawsze – potwierdziła Ione cicho, niemal żałośnie. – Zawsze o to proszą.

Jej ciemne oczy zdawały się nieść współczucie, a jednocześnie go oczekiwać. Thone siedział nieruchomo.

„Belle w drzwiach” wisiała teraz po powrocie z galerii na ścianie w głębi pokoju, ukryta za fałdami tkaniny. Ludzie odwracali się, by zobaczyć obraz. Zapłonęła wisząca nad nim lampa. Tobias miał właśnie odsunąć zasłonę. Ione i Thone, siedząc twarzą do stojących w luźnych szeregach ludzi, widzieli całkiem wyraźnie uniesiony profil Mandy. Zasłony rozsunały się ze słabym stukotem kółek na karniszu. W atelier zapanowała uroczysta cisza.

Dłoń Ione powędrowała nagle do mankietu Thone'a. Jej oczy pozostawały wbite w jeden punkt. Niepotrzebnie go szturchała. Patrzył na to samo co ona. Na twarz Mandy wykrzywioną z wysiłku, by powstrzymać łzy, które i tak wezbrały w jej cudnych oczach, gdy oglądała obraz.

Tobias nie pozwolił im długo patrzeć. Amanda odwróciła się plecami. Fanny zbliżyła się do niej. Zaczęła coś do niej mówić.

– Zdaje się – przemówiła Ione lekko cynicznym tonem – że ma jakieś romantyczne fantazje na temat Belle.

– Nie ma co do tego wątpliwości. – Thone też zabarwił swą wypowiedź odrobiną



pogardy.

– Czy ktoś powiedział jej o śmierci twojej matki? – Głos Ione brzmiał lekko, niczego nie zdradzał. Ślizgał się po powierzchni. Jej dłonie bawiły się chusteczką.

– Tak.

– Kto?

– Fanny.

– Fanny? No tak, więc nic dziwnego, że biedne dziecko robi z siebie takie przedstawienie.

– Niestety – skwitował Thone.

– Tragedia – mruknęła Ione. – Ach!

Jej stopy poruszyły się, zamieniając się miejscami. Znowu wachlowała się chusteczką, uśmiechając się do Fanny, która na moment odwróciła się od zgromadzenia, jak gdyby wiedziała, że zostało wymienione jej imię.

– Thone... – stopy Ione nagle znieruchomiały – czy ty też uważasz, że ona przypomina Belle?

Odczekał chwilę. – Trochę – odparł niechętnie. Przechyliła się w jego stronę, jakby dzieliła się z nim jakąś ploteczką za zasłoną wachlarza.

– Lecisz jutro na Wschód?

Siedział nieruchomo, niezwykle czujny. Odpowiedział w końcu, unikając jej wzroku: – Chyba nie. To... ta dziewczyna mnie niepokoi.

Jej pulchna dłoń znów dotknęła jego nadgarstka. – Nie martw się, mój drogi – rzekła niemal śpiewnie. – To tylko głupiutka romantyczka żyjąca własnymi marzeniami.

– Mam więc nadzieję, że się z nich ocknie.

– Chyba nie przypadła ci do gustu, co? – Oczy Ione patrzyły chytrze.

Thone wzruszył ramionami z uśmiechem.

– Bo ty, mój drogi, podobasz się jej na pewno.

– Wolałbym, żeby to nie była prawda – rzekł. – Mam nadzieję, że się mylisz.

Ione westchnęła w zamyśleniu: – Ach, te młode dziewczęta i ich fantazje. Nigdy nie wiadomo, do czego się posuną, prawda?

W jej umyśle wirowały strzępy planu, tworzyły jakiś wzór i znów się rozsypywały. Myślała. Dziewczyna! Dziewczyna jest jeszcze gorsza od chłopaka! Milion razy gorsza! Chłopiec, mężczyzna, który goni za własnymi sprawami – to da się jakoś wytrzymać. Ale dziewczyna! Zawsze w pobliżu, tak jak teraz. W tej sukience. Znowu całkiem jak Belle w swym młodszym wcieleniu. Wyperfumowana... Słodka buzia płacząca nad Belle! I Toby, i to jego gadanie, bezustanna paplanina... I ona,

siedząca tak, jak siadywała Belle, spijająca każde słowo z jego ust! Nie!

Thone się nie ruszał. Koronka zmięła się w jej palcach. Goście szumieli dokoła. Nie uczynił żadnego znaku, chyba że ten bezruch miał mieć jakieś znaczenie.

Dostrzegł przynajmniej kątem oka, że zbliżały się tamte trzy dziewczyny. Wstał. I właśnie w tej chwili Mandy uwolniła się od towarzystwa, pełna gracji i piękna w połyskującej sukni, i zbliżyła się do Ione.

– Czy jest coś, w czym mogłabym pomóc? – spytała. – Proszę mi pozwolić. Widzę, że Elsie zaczyna się krzątać. Mogę jej pomóc?

– Nie, nie, moja droga, ty masz się tylko dobrze bawić.

Ione poruszyła się na siedzeniu, opuściła obie stopy na podłogę, wstała.

– Czy to pańska siostra? – spytała blondynka, podchodząc do ich trójki i z rozmarzeniem przeciągając chustkę między palcami.

– To jest Amanda Garth – odparł rzeczowo Thone. – Jakiegokolwiek relacje by nas nie łączyły, na pewno nie jesteśmy rodzeństwem.

Amanda przechyliła głowę. Jakże pięknie wyglądała, zaskoczona.

Ione przemówiła, cicho cedząc sylaby: – Wydaje mi się, mój drogi, że Amanda jest niezmiernie szczęśliwa, iż nie może być twoją siostrą.

Nawet ramiona ponad bladezielonym materiałem sukienki poczerwieniały od krwi, jaka napłynęła do twarzy Mandy. Zachwiała się lekko, nie mogła tego zrozumieć. Spojrzenie szeroko otwartych oczu powędrowało do Ione.

Ione ją obserwowała.

Blondynka zachichotała nerwowo. Brunetka z pogardą zakołysała biodrami.

Och, zdemaskowana, rozgryziona! Publicznie, przed tymi wstrętnymi dziewczuchami! *Jej* serce... Amanda dochodziła do siebie. Nic nie mogła na to odpowiedzieć. Stała prawie nieruchomo. Wiedziała tylko, że Ione ją obserwuje. *Nie* wiedziała dlaczego. Nie domyśliła się, że fragment większego planu wskoczył na swoje miejsce. Czowała jednak podłość, która ziała na jej nagą skórę, powodując mrowienie.

Podniosła wzrok na Thone'a, nie bacząc na to, czy go kocha i czy on wie to teraz z całą pewnością; zastanawiała się tylko, czy on też zauważył. Pomyślała, że tak, i na chwilę ogarnął ją strach.

Ione mruknęła, jak zadowolona z siebie kotka. Odeszła. Thone nachylił się: – Jeśli ktoś panią zapyta, proszę mówić, że ma pani krew grupy AB.

– S-słucham?

Nie powtórzył. Zaczął wymieniać po kolei imiona dziewczyn, przedstawiając je. Krew Mandy, nieważne jakiej grupy, zaszumiała jej w żyłach. Zauważył – coś

zauważył. Bo wreszcie zaczął z nią konspirować!

Gdy ostatni gość opuścił dom, Tobias opadł na fotel. Ione zjawiała się za nim i położyła zaraz swoje małe dłonie na jego skroniach, by je pomasować.

– Zmęczony?

Amanda, osuwając się na fotel naprzeciw, przyglądała się tym dłoniom. Thone wyszedł na dwór, by pomóc rozładować korek odjeżdżających samochodów.

– Tak, zmęczony – przyznał Tobias. – Gdybym się przespał... – Poddał się tym dłoniom, małym, silnym dłoniom, które głaskały go i naciskały.

Amanda napotkała spojrzenie Ione. „Idź do łóżka”, mówiło.

Mandy podniosła się. – Ja też jestem zmęczona. Pozwolicie państwo, że zejdem na dół?

Tobias uśmiechnął się. – Nie pognieć sukienki. Będzie nam jutro potrzebna. Musisz ją założyć, gdy będziesz pozować do portretu.

– Nie powinna więc też mieć zmęczonych oczu – zauważyła nieco złośliwie Ione. – Pozwól, Amando, że sprawdzę, czy na dole pali się światło.

W połowie pierwszego ciągu schodów Ione spytała, odwracając się przez ramię:

– Amando, czy nie wiesz przypadkiem... czy miałaś kiedyś oznaczaną grupę krwi?

– Tak. Mam grupę AB – odparła Mandy bez zastanowienia, próbując zwalczyć kołatanie serca. Przystanęła na stopniu.

Ione cofnęła się, jakby chciała ją przepuścić. Twarz miała spokojną.

– Światło się pali, jak widzę – rzekła ze skinieniem głowy, odprawiając ją.

– Pani Garrison – wyjąkała Mandy – nie wiem, jak pani dziękować. To wszystko jest dla mnie takie ekscytujące i cudowne. Proszę – ciągnęła częściowo przez swą przebiegłość, a częściowo przez dezorientację – niech się pani nie przejmuje tą dawną sprawą z zamianą dzieci. Sama pani rozumie, że już za późno. Teraz nie ma to już żadnego znaczenia.

Ione westchnęła. – Może masz rację, moja droga – rzekła pogodnie. – Tak, myślę, że tak jest w istocie. Przy okazji – dodała, jakby nieobecna – położyłam tamtą chusteczkę... pamiętasz...? na twojej toalecie.

– Dziękuję. – Mandy minęła ją. – Dobranoc.

– Śpij dobrze.

Mandy omal nie potknęła się o stopień. Obejrzała się za siebie. Ione stała na górze, opierając się o poręcz.

Echo w głowie Mandy powtarzało wyraźnie: Spokojnie! Czar zaczął działać!

## Rozdział 12

Niedziela była nużąca. Tobias marnie wyglądał. Nie spał już trzy noce. A jednak, napędzany przez jakąś nieludzką energię, uparł się, by Mandy mu pozowała. Siedziała więc w świetle dnia wystrojona jak minionego wieczora. Czowała się dziwnie. Ona też była zmęczona. Mimo życzeń Ione wcale dobrze nie spała.

Przez cały dzień nie otrzymała żadnego sygnału, nie odbyła żadnej szeptanej rozmowy na osobności z Thonem. Tak naprawdę prawie nie mieli ze sobą kontaktu. Zdawała sobie sprawę, że tak musiało być. Nie mogli dać po sobie poznać, że spiskują. Jednak co do tego spiskowania Mandy mogła wierzyć jedynie własnej intuicji. Thone był wobec niej uprzejmy. Ione skazana była na domysły, czy kryła się za tym zazdrość, złość czy znudzenie. Miała więc swe przypuszczenia, ale nie pewność.

Tobias też mógł się tylko pewnych rzeczy domyślać. Był świadom powściągliwości swego syna.

Być może to napięcie artysty udzielało się wszystkim. Mandy wciąż musiała tłumić w sobie potrzebę, by westchnąć i pozbyć się choć części ciężaru. To był okropny dzień!

Pomyślała o Kate, która, jak wiedziała, z Andrew Callahanem i grupką przyjaciół pojechała na Catalinę. Wyobrażała ich sobie w pełnym słońcu, w świetle, wolnych, na świeżym powietrzu. Ona natomiast, w tym chłodnym atelier zaczynała się czuć jak na dnie piekła, unieruchomiona łańcuchem z bladezielonej satyny. Na dodatek serce bolało ją z żalu i niepokoju o tego człowieka, który pracował i mówił bez przerwy, jakby zmuszało go do działania stado niewidzialnych diabłów.

Okropny dzień!

Nim zapadł zmierzch, Tobias był rozpaczliwie wyczerpany. A jednak nie mógł spocząć. Ione, która przez cały dzień trzymała się dziwnie na uboczu, poklepała go po ramieniu.

– Uważam – rzekła tym swoim śpiewnym głosem – że powinieneś zażyć lekarstwo, Toby, mój drogi. Kilka nocy wypoczynku...

– Chyba masz rację.

– Oczywiście – zapewniła Ione. – Na pewno ci pomoże, kochanie. Jak zawsze.

Na znużonej twarzy artysty pojawił się wyraz wdzięczności. Dotknął jej silnej, małej dłoni i uśmiechnął się.

– Tak. Dziękuję ci, Ione.

Przyjął chloral rozpuszczony w szklance mleka. Nikt nie widział w tym nic niezwykłego. Ione przygotowała odpowiednią dawkę. Amanda odkryła ku swemu zaskoczeniu, że środek przechowywano praktycznie pod ręką. Był trzymany na półce w głębi szarki zawierającej barek, stojącej w kącie atelier.

Czy zawsze znajdował się właśnie tam? Och, jeśli tak, myślała, Belle miała okazję jak nikt inny do kontaktu ze środkiem. Pomyślała: Musiałam się całkiem pomylić. Ione mnie nie lubi. Ale nic poza tym. Nic się nie wydarzy...

Nie zaproponowano jej niczego do picia.

W poniedziałek było nieco lepiej. Gospodarze powrócili do swojej rutyny. Mandy pozowała rankiem, a potem jeszcze po południu. Tobias pracował i mówił jednocześnie. To było bardzo pouczające. Thone odbierał telefony i odrzucał zaproszenia. Opalał się na tarasie. A chwilami leniuchował w obszernym fotelu w atelier, słuchając jednym uchem. Malarstwo nieszczególnie go interesowało.

Był istotą dziwnie powściągliwą i zamkniętą w sobie.

Lecz kiedy był tam obecny, Mandy z trudem mogła ustać na nogach, całkiem jak ktoś, kto usiłuje oprzeć się silnemu wiatrowi.

Kolacja przebiegła w spokojnej, rodzinnej atmosferze. Thone był uprzejmy, Ione wszystkim zarządzała. Tobias jadł, nie wiedząc nawet co, i cały czas mówił. Zażył chloral i poszedł wcześniej do łóżka. Gdy wyszedł, zdawało się, że zabrakło tematów do rozmowy.

Nic się nie wydarzyło.

We wtorek rano Thone wyszedł na niewielki taras przy kuchni, na który prawie nie docierało wschodnie słońce i który, jak mawiał Tobias, był jednym z głupich wybryków w tym domu. Tak czy inaczej, Thone miał na sobie szorty, koszulkę i był prawie bosy, nie licząc bardzo skąpych kłapek, na które składała się podeszwa i dwa krzyżujące się paski. Przywitał się z ojcem, który siedział zadumany, przyglądając się zmianom światła na wzgórzach.

Ione w świeżo wyprasowanej, błękitnej, kretonowej sukience wyszła z domu, jak zwykle pełna zapału do zarządzania. Szła szybko, kłaniając się wszystkim, trzymając w dłoni szklankę z parującą kawą. Jej zadbane, małe stopki stukwały na bruku. Potknęła się. Być może potknęła się o własne nogi. O nic.

Gorący napój wylał się cały na bosą stopę Thone'a.

Mandy, idąc sennie na górę drogą od ogrodu, usłyszała wrzask Ione, okrzyk Tobiasa i Thone'a, klnącego na czym świat stoi. Ostatnich kilka stopni pokonała

biegiem, spodziewając się katastrofy.

Jednak chodziło tylko o stopę. Paskudnie poparzoną, co prawda. Kostka, podbicie i palce. Lecz przecież to tylko wypadek. Głupi, nic nie znaczący wypadek.

– Och, co za okropność! – powtarzała w kółko Ione. – Och, biedny chłopiec...

Tobias chwiejnym krokiem ruszył, by zadzwonić po lekarza. Burt, ogrodnik, nadszedł, by pomóc podtrzymać Thone'a i odholować go do domu. Thone teraz milczał, milczał jak zaklęty. Zastygły, rzecz jasna, z bólu.

Lekarz przyjechał natychmiast i założył opatrunek, niosąc słowa pociechy. Poparzenie nie było głębokie. Kwestia kilku dni... Thone mówił niewiele lub w ogóle się nie odzywał. To państwo Garrison mówili za siebie i za niego. Wreszcie odprowadzili wychodzącego doktora do drzwi.

– Mandy! Chodź tutaj!

Zbliżyła się szybko tam, gdzie biedaczek siedział w atelier ze sztywną nogą, bezradny.

– Mandy...

Jego palce oplotły jej nadgarstek. Przyciągnął ją do siebie, blisko. Patrzył jej w oczy. Miał całkowicie zmienioną twarz. Cierpienie w jego oczach nie miało nic wspólnego z fizycznym bólem.

– Mandy, ja się boję!

– Dlaczego? – wyszeptała. – Dlaczego?

– Kiedy umarła moja matka... – Ledwo słyszała, co mówi. Jego głos był przytłumiony, jak gdyby głęboki niepokój pozbawił go sił. – ...też miałem chorą stopę.

– Och! – Mandy wstrzymała powietrze. Pochyliła się. Jej usta znalazły się tuż przy jego włosach.

– Mandy, na litość boską, zostaniesz przy mnie?

– Tak... tak.

– Jeśli to rzeczywiście część jakiegoś planu? – rzekł. – Nie wydaje mi się, by Ione... się potknęła. – Nadal ścisnął mocno jej nadgarstek, ale zamknął oczy, a gdy je otworzył, wydawały się już mniej przerażone. – To mogła być sugestia – przyznał.

– Wiem – odparła szybko. – Wiem wszystko. Nabraliśmy ją. Teraz będzie nienawidzić *mnie*. Wiem to. To oczywiste.

Przesunął palce i teraz w jego dłoni znalazła się cała jej ciepła ręka.

– Czy pytała cię o grupę krwi?

Skinęła głową. – Odpowiedziałam tak, jak mi kazałeś.

– Że masz taką samą jak ja. Żeby ją zmylić – wyjaśnił. – O Boże, przez chwilę

byłem naprawdę przerażony.

– Czy to boli? – spytała jęklonie.

– Jak diabli. – Uśmiechnął się przelotnie. – Lecz nie w tym rzecz. – Obejrzał się do tyłu i znów z jego głosu uszła cała siła i barwa.

– Ledwo mogę chodzić. Jest dokładnie tak samo jak wtedy. – Wzdrygnął się. Jego szerokie ramiona zadrżały.

Mandy powiedziała, patrząc niewidzącym wzrokiem: – Och, może nie. Może wcale nie, może ona wtedy nie...

Czuła się tak, jakby to powstało w jej własnym sercu, to wstrząsające jego ciałem przerażenie. Och, jeśli Belle, tak wielbiona, została im *odebrana*\*. Jeśli sześć lat temu jej blask nie tyle zginął, co został im skradziony! Wargami dotknęła jego włosów. Nie sposób było tego nie zrobić. Nie sposób.

Jego głowa, podnosząc się, otarła się o jej usta. – Mandy, czy możesz odszukać mężczyznę o nazwisku Kelly? El Kelly, tak go nazywają. To policjant z Pasadeny. Masz świeże spojrzenie na to, co się stało, gdy umarła moja matka. Gdybym mógł, pojechałbym i zrobił to sam. Zrobisz to, Mandy?

– Oczywiście – odparła. – Jeszcze dziś.

– Przyjdź do mnie wieczorem drogą z ogrodu. Pod mój balkonik.

– Znowu się obejrzał.

– Będziemy musieli zyskać całkowitą pewność – rzekła cicho. – Teraz nie będziesz mógł znieść niepewności. Zdaje się, że teraz to będzie niemożliwe... Rozumiem to.

Delikatnie uwolnił jej dłoń ze swego uścisku. – Moja jedyna – powiedział, jakby chciał przeprosić, że ją kłopotuje.

Odsunęła się nieco. Wewnętrzne drgawki zdawały się wstrząsać jej całym ciałem, choć szła całkiem spokojnie. Nie myślała o tym – przynajmniej w tej chwili – że jeśli w istocie formował się jakiś plan, to był on skoncentrowany właśnie na niej. Myślała jedynie, jak strasznie *on* się będzie czuł, jeśli wszystko okaże się prawdą. Wystarczająco okropne będzie już samo zastanawianie się nad tym. A jednak drżała z pełnej wyrzutów sumienia radości.

Jako że miała z nim zostać. Miała z nim być. Była jedyną osobą, do której mógł się zwrócić, gdy sprawy przybrały taki, a nie inny obrót.

## Rozdział 13

Tobias był zbyt wytracony z równowagi przez wypadek Thone'a, by pracować tego ranka. Ione pielęgnowała go, podobnie jak Thone'a. Pełniła swą rolę pani domu, panującej nad wszystkim, stanowczej i radosnej. Podnosiła ich na duchu, podtykała smakołyki i poduszki, była pogodna i stale w ruchu. Jej mężczyźni muszą polegać na jej sile. Wszystko będzie dobrze. Była kapitanem, a statek ich domostwa płynął bez przeszkód.

Lunch podano w atelier – ze względu na Thone'a. Wydawał się półprzytomny od kodeiny, którą mu podano, lecz nie czując bólu, zachowywał się zupełnie spokojnie.

Amanda czekała na dogodną chwilę pod koniec posiłku, by wykrzyknąć:

– Ojej!

Wszyscy na nią spojrzeli.

– Zapomniałam! O jejku! Będę musiała pojechać do szkoły. Nie wybrałam sobie przedmiotów na nowy semestr.

– Czy będzie dziś otwarta? – spytał sennie Thone.

– Sekretariat na pewno będzie czynny. Może powinnam to zrobić dziś po południu. – Zwróciła się do artysty. – Chyba że pan zamierzał dziś pracować?

– Raczej nie, Mandy. – Jego uśmiech przepełniała czułość.

– Nie powinien dziś malować – wtrąciła Ione. – Możesz więc jechać, moja droga. Chcesz może wziąć mój samochód?

Mandy rozdziawiła buzię. Mogło to ujść za nieśmiały wyraz pełni szczęścia.

– Potrafisz go prowadzić? – spytała Ione. – Och, jestem pewna, że tak, jesteś przecież dzieckiem Kalifornii. Ja nie będę go dziś potrzebować. – Popatrzyła, wyraźnie zadowolona, jakby gratulowała sobie, że potrafi tak się poświęcić dla rażonego nieszczęściem domu. – Weź go, proszę bardzo...

– Jeśli naprawdę nie ma pani nic przeciwko... – powiedziała Amanda powoli.

– Moja droga, nie proponowałabym, gdybym miała coś przeciwko. – Ione znów była Panią Mikołajową, szczęśliwą, że może komuś sprawić przyjemność. Kiwała głową i promieniała.

– Takie piękne auto! Dziękuję, pani Garrison.

– Przyniosę ci kluczyki. – Ione podreptała.

Thone siedział nieruchomo. Nawet biorąc pod uwagę uśmierzającą ból dawkę kodeiny, wydawało się, że zbyt nieruchomo. Mandy przyłapała się na tym, że



zastyga w takim samym bezruchu. Tobiasz kończył ciasto.

– Moja droga – rzekł z typową dla siebie przesadną czułością – będziesz na siebie uważać, prawda? – Wytarł usta.

– Oczywiście – odparła Mandy.

Ione przyniosła niewielką skórzaną sakiewkę z wielką liczbą kluczy. Odsunęła zamek i wybrała dwa.

– Ten jest od drzwi od ogrodu. Od strony domu wchodzi się przez nie bez klucza, lecz będzie ci potrzebny w drodze powrotnej. Przywiązałam więc do niego kawałek sznurka. Proszę. Ten jest od stacyjki. Lepiej go trzymaj w dłoni, moja droga. Żeby nie trzeba było szukać po omacku. Wiesz, jak się tam dostać? Wiesz, co robić? Środkowe drzwi nie są zamykane na klucz. Wystarczy nacisnąć kłamekę. Wrota garażu są zamknięte na sztabę. Po prostu wyjmij ją i pchnij je na oścież. Rozumiesz? – Udzielała instrukcji, mrużąc jak kotka.

Mandy zapewniła: – Wiem, co robić.

– Zostaw bramę otwartą. Chronić nas będą drzwi od ogrodu. Długo cię nie będzie, moja droga?

– Chyba niedługo – nie sprecyzowała odpowiedzi Mandy. – Na pewno wrócę na kolację.

– To dobrze – rzekła radośnie Ione.

Trzymając w palcach klucz, Mandy zeszła do swojego pokoju, chwyciła torebkę i krótki płaszczyk i opuściła dom drzwiami na najniższym poziomie. Ruszyła ścieżką w dół, pokonując zakręty i zygzaki, stopnie, całe wyboiste i wijące się zejście w głąb kanionu. Na zboczu, w połowie drogi na dół uświadomiła sobie, że jest przerażona.

Schodziła do miejsca śmierci.

Nazywał je kaplicą. Och, Boże, modliła się Mandy, pozwól mi o tym pamiętać. Nie daj mi zacząć akurat teraz się zastanawiać, jak ona to zrobiła. Albo jak Belle zeszła tędy w ciemności i skonała na posadzce. Albo jak ta mała kreatura zdołała do tego doprowadzić. Nie pozwól mi myśleć o tym wszystkim.

Poruszała się dość powoli, ale pewnie. Doszła do drzwi składziku, które Ione nazywała drzwiami od ogrodu. Kłameka zaklekotała w jej nerwowym uścisku. Drzwi były grube i solidne. Zamocowane na jakiejś sprężynie, zamknęły się powoli same, jakby z rozmysłem i nieodwracalnie. Zamknęły się na zamek, jak sobie uświadomiła. Stała tam przez chwilę w ponurym świetle, które wpadało przez luksfery w ścianie. Zbierała się w sobie, by wkroczyć w to miejsce, do garażu, do tego pudła, tak wypchanego i wypełnionego przez wielki samochód, tak małego i ciasnego jak grot... Czy znajdzie tam powietrze? Czy będzie mogła oddychać?

Ściągnęła do tyłu ramiona, pokonała krótką drogę do drzwi środkowych i otworzyła je.

Jak ciemno było tam, na dole. W ustach poczuła jakiś gorzki smak. Smak strachu. Rzuciła się do biegu. Wiedząc, że drzwi, które puściła, zamykają się za jej plecami, by ją uwięzić, zbiegła po stopniach, pędem minęła wydłużone cielsko samochodu i w panice wykrzesła z siebie siły, by dźwignąć sztabę. Wrota zaskrzypiały i rozchyliły się. Wszystko było w porządku.

Mogła oddychać.

Pot skropił jej twarz, gdy Mandy otwierała bramę na oścież. Oparła się mocno o każde ze skrzydeł, by przymocować je hakami. Poruszyła lekko każdym z wrót. Zdawały się trzymać mocno. W dłoni cały czas trzymała przygotowany kluczyk od stacyjki. Podeszła szybko do samochodu, wsiadła, uruchomiła silnik, a napięte mięśnie nogi wciskającej pedał wprawiły w drżenie całe jej ciało. Wycofała prędko. Samochód potoczył się naprzód.

Była wolna. Nad sobą miała błękit nieba...

Mandy wzięła długi, urywany wdech i poczuła lekki wstyd. Odgarnęła włosy. Jadąc dolną drogą, opuściła wąwóz i poczuła słońce na twarzy.

Ellis Kelly, w skrócie „El”, przez który to przydomek kojarzył się z reliktem z czasów hiszpańskich podbojów, był mniej więcej czterdziestopięcioletnim mężczyzną o surowej twarzy. Jego pokój nietrudno było znaleźć. Na szczęście był na posterunku. Gdy po półgodzinie oczekiwania Mandy otrzymała wreszcie pozwolenie, by się z nim zobaczyć, powitał ją chłodnym, podejrzliwym spojrzeniem zawodowego policjanta.

Jednak Amanda nie dała się onieśmielić. Postanowiła być jednocześnie rzeczowa i czarująca.

– Poruczniku Kelly, sześć lat temu kierował pan lub przynajmniej brał udział w śledztwie dotyczącym śmierci pani Belle Garrison.

– Owszem.

– Jestem tu, gdyż jej syn, Thone Garrison, poprosił mnie, bym przyszła i z panem porozmawiała.

– Tak?

– Nazywam się Amanda Garth. Jestem obecnie gościem w ich domu.

– Tak?

– Czy w tamtym wypadku nie było nic... – teraz była już mniej rzeczowa, a bardziej czarująca – ...co wzbudziłoby pańskie zastanowienie? – dokończyła.

– Czy pani kogoś podejrzewa? – spytał chłodno i tak błyskawicznie, jakby Mandy włożyła palce w pułapkę i została pochwycona.

– Być może – odpowiedziała.

– Kogo?

Przygryzła wargę. Porucznik tylko czekał, obracając w palcach ołówek.

– To pani Garrison – odparła śmiało Mandy. – Ione. Pierwsza żona pana Tobiasa. Teraz znów nią jest. Ta, która zmarła, była pośrodku.

– Aha – rzekł. – I cóż pani wie?

– Nie wiem absolutnie nic – wykrzyknęła zdesperowana Mandy.

– Dlatego przyszedłam do pana.

– Ma pani przecucie? – spytał Kelly. – Czy może ma je syn państwa Garrison?

– Mamy je oboje.

– Aha – powtórzył. – Cóż, panno Garth, przecucia zwykle są czymś uzasadnione. Nie rodzą się bez powodu. Zależy teraz, czy to przecucie ma podstawy w was samych, czy pochodzi z zewnątrz... – Opuścił głowę i popatrzył na nią spode łba.

– Nie *wiemy*, czy zaległo się ono po prostu w naszych głowach, czy zostało wywołane jej zachowaniem – powiedziała Mandy. – I właśnie dlatego przyszedłam tu do pana.

Wstał i podszedł do szafki na akta. Błyskawicznie wyciągnął z niej plik papierów.

– Przyjrzyjmy się – powiedział.

Mandy oddychała ciężko, uśmiechając się do niego.

– Co panią zaniepokoiło?

Trudno jej było o tym mówić. W końcu jednak zaczęła i ostrożnie dobierając słowa, by wszystko było jasne, opowiedziała o zatrutej czekoladzie. Nie wyznała, jak to się stało, że znalazła się w tym domu. Nie wspomniała też o zamieszeniu tuż po narodzinach. Nie zdradziła, jak się czuła podczas pierwszej wizyty. Wyszła z tego bardzo rzeczowa opowiadka: trucizna, skąd się o niej dowiedziała, Gene, zniszczona chusteczka.

Policjant słuchał. – I uważa pani, że Ione zmieniła zdanie?

– Tak.

– Trudno mi będzie w tej sprawie cokolwiek zdziałać – wyznał. – Mogę polegać jedynie na *słowach* pani i tego chemika. Nie ma żadnego innego dowodu. Nikomu nic się nie stało.

– Wiem.

– Myśli pani pewnie, że jeśli Ione knuje coś teraz, mogła coś uknuć także sześć

lat temu?

– Tak – odparła z wdzięcznością Mandy. – Dokładnie tak myślę.

Zerknął na papiery, które trzymał w dłoni, i westchnął.

– Będę z panią szczery, panno Garth, tamto śledztwo do tej pory nie daje mi spokoju. Ale nie mam żadnych dowodów, nigdy ich nie miałem. Teraz, gdy pani o tym wspomniała, przypominam sobie tę panią Ione. Sześć lat temu od razu przyszło mi do głowy, że miała motyw. Posunąłem się nawet do tego, by sprawdzić jej alibi na tamten wieczór.

– Miała je?

– Nie najlepsze. Ale na swój sposób przekonujące. Mieszkała wtedy sama. Więc kto, tak naprawdę, mógł jej dać alibi? – Wzruszył ramionami. – Rzecz w tym, że jeśli istotnie miała z tym coś wspólnego, to jak tego dokonała? Przecież jej tam nie było.

– Tak wszyscy mówią.

– Nie znaleźliśmy żadnych śladów.

– Ż-żadnych?

– Proszę na to spojrzeć. – Przesunął papiery po biurku w jej stronę.

– Dziękuję – rzekła Mandy i zaczęła przeglądać kartki. W przeważającej części były to spisane na maszynie zeznania. Lekarza... Tobiasa... Elsie... Burta... Williama Cheesemana ze Zrzeszenia Taksówkarzy.. .

To musiał być kierowca taksówki wezwanej przez Belle. Zaczęła czytać część jego zeznań.

O: Otrzymałem wezwanie o dwudziestej pierwszej dwadzieścia. Jakies dziesięć, piętnaście minut później krążyłem już tam, szukając domu. Przed bramą czekała na mnie ta kobieta. Przywołała mnie.

P: Co powiedziała?

O: Zawołała: „Proszę pana, panie kierowco zielonej taksówki”. Więc stanąłem. Ona pyta: „Przyjechał pan po panią Garrison?” Mówię: „Tak”. Ona na to: „Zmieniłam zdanie. To jest tak daleko, że wolę pojechać sama. Proszę, to za pańską fatygę”. I wręcza mi parę dolców. Dokładnie dwa. I mówi: „Może pan pojechać tędy na górę i zjechać po drugiej stronie wąwozu”. Więc mówię: „W porządku, jak pani sobie życzy”.

P: Czy było wtedy dość jasno? Czy widział ją pan?

O: Pewnie. Pewnie, że ją widziałem. Miała niebieską chustę na głowie, zawiązaną pod brodą. I ciemny płaszcz. W dłoni trzymała jakieś klucze.

P: Więc ją pan rozpoznał?

O: Pewnie. Pewnie, to była pani Garrison, na sto procent.

P: Znał ją pan?

O: Jasne. Biedna kobieta. Jak tak teraz o niej pomyślę, to przypomina mi się, że dość dziwnie się zachowywała.

P: Czy mogła być pod wpływem jakiegoś środka odurzającego?

O: Możliwe.

Mandy przewróciła stronę. Zeznanie Thone'a.

P: Wiek?

O: Siedemnaście lat.

P: Zmarła była twoją matką?

O: Tak, proszę pana.

Mandy przeskoczyła od razu na dół strony.

O: ...Ojciec odebrał telefon. Ktoś miał jego niewielki obraz, który wcześniej zaginął. Naturalnie tata bardzo pragnął go odzyskać.

Och, Thone, załkała w duchu Mandy. „Naturalnie”... by nie zabrzmiało to, jakby oskarżał o coś ojca.

P: Zamierzała pojechać taksówką, czy tak?

O: Tak. Poprosiła mnie, żebym ją wezwał.

P: Był pan jednak unieruchomiony przez tę stopę?

O: Tak, proszę pana. Nie mogłem swobodnie się poruszać. Ale nasz telefon ma długi sznur. Mama przyniosła mi aparat. Sama poszła do swojego pokoju, by się przygotować. Zadzwoiłem w kilka miejsc. Wreszcie udało mi się coś znaleźć. Mama wróciła gotowa... Nie odprowadziliśmy jej do drzwi. Tata był przeziębiony.

Och, Thone, załkała znowu Mandy.

P: Nie wspominała, że zamierza jechać własnym samochodem? O: Nie, proszę pana. Tego właśnie nie możemy zrozumieć...

Mandy przewróciła kartkę. Burt Gibbons, ogrodnik.

P: Zapasowe klucze do garażu i samochodu były trzymane w szufladzie w holu?

O: Tak. Zawsze. Byłem jedyną osobą, która korzystała z nich od czasu do czasu.

P: Kiedy widział je pan po raz ostatni?

O: Jakiś tydzień temu.

P: Czy pani Garrison wiedziała, gdzie się znajdują?

O: Naturalnie, proszę pana.

Mandy pokręciła głową. Teraz Tobias i jego zeznanie.

P: I w ogóle nie dotykał pan pudełka zawierającego chloral?

O: Nie. Nikt tego nie robił. Oprócz mojej żony.

Elsie Gibbons, gosposia.

P: Czy to pani umyła zabrudzone szklanki?

O: O tak. Zawsze to robię. Nie mogły zostać brudne na noc.

P: Czy kiedykolwiek dotykała pani pudełka ze środkiem nasennym?

O: Nie, nigdy. Pani Garrison zajmowała się tym osobiście.

Głos Ela Kelly'ego zadudnił: – Dziwna sprawa. *Dwa* wypadki, można powiedzieć. Pierwszy to przypadkowe zażycie chloralu. Drugi, to że środek zwałają z nóg w najgorszym możliwym momencie. Po uruchomieniu silnika. Ale zanim wrota zostaną szeroko otwarte i zamocowane. To dopiero zbieg okoliczności, prawda?

– Ta-ak – odparła Mandy. – Prawda.

Wertowała papiery. Nigdzie nie mogła znaleźć zeznania Ione.

– Dlatego przyszło mi do głowy – mówił Kelly – że to mogło być samobójstwo.

– Samobójstwo?! Belle?!

– Cóż, proszę się tylko przyjrzeć. Kobieta bierze kluczyki, nie mówiąc nic rodzinie, zgadza się? Odsyła taksówkę. Dziwne, skoro jak twierdzą jej najbliżsi, prawie nigdy nie prowadziła sama. Mamy niemal całkowitą pewność, że zażyła chloral. A zatem, czy nie mogło być tak, że zeszła tam, uruchomiła silnik, jak gdyby nigdy nic otworzyła bramę i położyła się na posadzce tuż przy rurze wydechowej...?

– Ale dlaczego?

– Dlaczego postarała się, by wyglądało to na wypadek? Ze względu na syna, jak sądzę.

– Ach! – Mandy wyprostowała się, czując mrowienie niepokoju.

– Ale dlaczego? – wykrzyknęła znowu. – Dlaczego miałyby to zrobić? Z jakiego powodu?

– Nie wiem – odparł. – Choć mam wrażenie, że ten starszy dżentelmen podziela moje zdanie.

– Tobias!

– Tak. Może on zna przyczynę. Ale on też chciał chronić syna, rozumie pani.

Mandy myślała: Czy dlatego Tobias nie potrafi się z tym pogodzić? Czy to przez ten ogromny smutek? Że Belle chciała umrzeć... Ukryła twarz w dłoniach.

El Kelly zebrał papiery i wygładził je.

– Można na to patrzeć pod różnymi kątami – rzekł. – Pani wydaje się bardzo zaprzyjaźniona z tym synem – ciągnął spokojnie. – Mówię pani to wszystko z jednego powodu... może to wcale nie jest najlepszy pomysł, nakłaniać go do dochodzenia, co się naprawdę zdarzyło. Rozumie pani, co mam na myśli?

– Tak, rozumiem – odparła roztrzęsiona Mandy. – Cóż... dziękuję panu bardzo.

– Nie lubię, gdy ludzie cierpią bardziej, niż muszą – powiedział z twarzą wciąż surową i hardą. – Chętnie rozgłosiłbym prawdę, gdybym ją znał. Ale... – Wzruszył ramionami. – Rozumie mnie pani?

Och, co ja najlepszego zrobiłam!, zapłakała Mandy w duchu. Och, co ja zrobiłam!

## Rozdział 14

Popołudniowe cienie wcześniej wypełniły nieckę wąwozu i pogłębiały się, pnać się pod górę, by pochłonąć dolną część domu, i skradały się coraz wyżej, kondygnacja po kondygnacji, tak że nim minęła piąta po południu, tylko najwyższe piętro chwytalo resztki słonecznych promieni, choć druga strona kanionu i wierzchołki gór nadal skapane były w ciepłym świetle.

Mandy zakradła się na najniższy poziom. W jej pokoju było mroczno i chłodno. Umyła się, poprawiła makijaż. Czuła się otepliała i spokojna. Cała karmiąca się strachem energia opuściła ją. Czuła, że w swym zapale i ignorancji wetknęła nos tam, gdzie nie trzeba, a teraz musiała zmierzyć się z konsekwencjami. Będzie musiała jakoś przetrwać resztę swego tygodniowego pobytu, znosząc cierpienie Thone'a wywołane wątpliwościami, które sama wzbudziła, będzie musiała nad sobą panować, nie zdradzając się z niczym, pozwalając emocjom kłębić się wokół siebie, nim w fałszywości swojej opadną, prowadząc donikąd.

Poszła na górę. Drzwi Thone'a były zamknięte. Słyszała za nimi jakieś głosy. Czując się wyrzutkiem – pogodzona z tym uczuciem – minęła jego pokój.

Na górze, w atelier, Ione siedziała sama.

– O, Amanda. Jak tam mój samochód? – Poprawiła się szybko. – Jak się sprawował?

– Sprawował się wspaniale.

Mandy oddała klucze, a dłoń Ione zacisnęła się na nich chciwie. Było oczywiste, że niechętnie pożyczyła auto. Jej auto... Jej własność... Amandzie przyszło do głowy pytanie, dlaczego w związku z tym była taka szczodra. Myśl ta jednak miała bardzo krótki żywot.

Na okrągłym stoliku pomiędzy dwoma fotelami stały wysokie szklanki. Ione akurat coś piła.

– Usiądź, Amando. – Położyła palec na blacie stolika i obróciła go nieco. Zabrudzone szklanki zadrżały, gdy blat wykonywał obrót. – Jest u nas Fanny. Thone był wykończony i uznaliśmy, że powinien się położyć. Burt pomógł mu zejść. Teraz Toby zaprowadził do niego Fanny. Wypiliśmy po małym drinku. Wyglądasz na zmęczoną, moja droga. Też powinnaś się czegoś napić.

Poruszyła się w fotelu, by postawić swe zwisające małe stopy na podłodze.

– Wypadek Thone'a chyba cię zdenerwował.

– Chyba tak. – Amanda pozwoliła swej głowie opaść na oparcie fotela. Podniosła



wzrok, bierny, skruszony. – Zastanawiam się, czy aby na pewno powinnam tu zostać – rzekła z oczami zamglonymi poczuciem winy.

Coś jakby zastygło w jowialnej, pucułowanej, małej buźce. – Ależ, moje dziecko – powiedziała karcąco Ione – oczywiście, że tak. – Podreptała przez pokój do barku w kącie. – Podejdź tutaj, moja droga.

Mandy wstała i posłusznie ruszyła za nią.

– Zobacz, czy jest tu coś, na co miałabyś szczególną ochotę. – Głos Ione brzmiał radośnie i nieco fałszywie, jak gdyby specjalnie usiłowała wykrzesać nieco wesołości. – Coś, co poprawi ci nieco humor.

Poprawi mi humor, myślała Mandy. Czowała, że głowa płonie jej żywym ogniem. Widziała teraz Ione z innej perspektywy, jakby była całkowicie niewinna. I z tego powodu Amandzie było wstyd.

Ione przytrzymała otwarte drzwiczki barku, prezentując butelki.

– Zwykle niewiele piję... – zaczęła Amanda.

Na swój sposób chciała Ione przeprosić. Czowała, że ma ogromny dług do spłacenia, że wiele zła, które uczyniła, powinno zostać naprawione. A ponieważ niczego nie zarzuciła tej kobiecie otwarcie, prosto w twarz, nie mogła teraz niczego sprostować, a jedynie własnym zachowaniem, wewnętrzną przemianą wyrazić swoje przeprosiny.

Mała, żwawa dłoń wsunęła się między butelki i wyciągnęła jedną. Bardzo szczególną butelkę.

– Może odrobinę tego? – zaproponowała radośnie.

Amanda odczytała napis na etykiecie. „Legendarny... Likier anyżowy...” Skóra jej ścierpła. Wiedziała, że jej twarz zdradza nagły niepokój. Ulubiony alkohol Belle. Dokładnie to samo! Alkohol, który tak bardzo lubiła – woda ognista Belle! Głośno wciągnęła powietrze. Spojrzenie ciemnych oczu ani na moment jej nie opuszczało. Ione wiedziała, co jej proponuje. Miała w tym swój cel.

Jaki? Dlaczego? Co to był za cel? Idea przeprosin legła w gruzach w głowie Mandy. Jej miejsce błyskawicznie zajęły szalone domysły. Czy może to być ta sama butelka? Czy zawiera chloral? Nawet teraz? Nadal? Czy to możliwe? Czy skażona została cała butelka? Czy w ten właśnie sposób zażyła środek Belle?

Och, nie, nie, nie. Niemożliwe! El Kelly na pewno sprawdziłby tak prosty, oczywisty trop. Niemożliwe, żeby Ione proponowała jej tu i teraz, po sześciu latach, dawkę chloralu! Zdemaskowałyby się! A może sama o niczym nie wiedziała? Czy był to jedynie niewinny poczęstunek?

Nie, to nie było ani niewinne, ani przypadkowe. Proponowała jej . anyżówkę i

obserwowała. Ale dlaczego ją proponowała i czego usiłowała się dopatrzeć? Co jej chodziło po głowie? Co zamierzała? Mandy zebrała się w sobie. Cokolwiek by to miało oznaczać, wiedziała, że *ona* musi grać swoją rolę do końca. Ulubiony alkohol Belle, czy tak? I bardzo dobrze.

– Och, wspaniale! – odparła śmiało. – To akurat uwielbiam!

– Napij się więc.

Biała głowa zdawała się drzeć, jak gdyby Ione chciała pokiwać na znak, że „Właśnie tak myślałam”, lecz starała się tego nie robić. Jej twarz promieniała. Dłonie poruszały się żwawo, szybko, pewnie.

– Proszę bardzo – powiedziała niemal triumfalnie.

Amanda wróciła i usiadła w fotelu. Sączyła alkohol. Istna woda ognista, to fakt. Musiała bardzo uważać, żeby się nie zakrztusić i nie zacząć ziać. Co za okropność, pomyślała. Śmiało sączyła jednak dalej. Ze wzrokiem utkwionym w dal, zdawała się śnić na jawie, dumać...

Ione zachowywała się cicho jak myszka. Skubała sznurek przywiązany do klucza do składziku.

Jeśli w alkoholu znajduje się to paskudztwo, to zaraz stracę przytomność, myślała Amanda. Skupiła się na palącym cieple w swoim gardle i niżej, gdzie alkohol mógł powoli, podstępnie przeniknąć do krwiobiegu, dotrzeć z krwią do mózgu, a tam być może... naruszyć, zmienić, zniszczyć jej świadome ja. Jakże krusi jesteśmy w swej niewiedzy!, myślała. Ileż trucizn istnieje na tym świecie, których magii prawie nie pojmujemy!

Ione natomiast myślała: Więc jednak to prawda. Robi z siebie przedstawienie. Wystarczy na nią spojrzeć, wystarczy popatrzeć teraz. Wszystko pięknie się ułoży, jeżeli skończy tak jak Belle...

Wtedy nadeszła Fanny, sama. – Ach, tu jesteście, moje drogie! Witaj, Amando Garth. Jak się masz?

– D-dobrze – odparła Amanda, zastanawiając się, czy zaraz upadnie.

Bystre oko Fanny z miejsca pochwyciło maleńki kieliszek w jej dłoni. – Co pijesz?

– Anyżówkę – wydukała Amanda.

– Dobry Boże! – zawołała cicho Fanny.

Życzliwa promiennosc jej twarzy zamigotała i zgasła. Jej miejsce zajęło rozczarowanie. Zmiana ta zaszła tak nagle, że Mandy poczuła się, jakby otrzymała policzek. Zakręciło jej się w głowie.

– Moja taksówka już tu jedzie – rzekła Fanny. – Do widzenia, Ione.

Czule objęła ramiona niskiej kobieciny. Ruszyły w stronę holu. Mandy patrzyła za nimi, porzucona. Fanny odwróciła głowę i obejrzała się za siebie, jak gdyby przypominając sobie o dobrych manierach.

– Och, do widzenia.

W holu zabrała rękę z barków gospodyni.

– Ione, dlaczego jej nie wyrzucisz!

Ione odparła cicho: – Och, daj spokój, Fan. Jej się wydaje, że jest taka wspaniała. Całkiem jak biedna, zmarła Belle.

– Wyrzuciłabym ją na twoim miejscu – ciągnęła Fanny ze złością – choćby właśnie z tego powodu. A propos, będę u was w czwartek na kolacji. Chłopcy kazali mi cię zapytać, lecz ja nie pytam, ja informuję.

– W czwartek? – spytała Ione z powątpiewaniem.

– Kucharka ma wtedy wolne. Wiem. Ale żaden inny dzień mi nie pasuje. Gdy chodzi o jedzenie, zadowolę się czymkolwiek, Ione. Nie zwracaj na mnie uwagi. Nie chcę sprawić kłopotu.

– Daj spokój – odparła uprzejmie Ione. – To żaden kłopot, Fanny. Wręcz przeciwnie – uśmiechnęła się figlarnie – możesz mi nawet pomóc.

– Tylko nie przy zmywaniu. Na to nie licz. – Fanny uścisnęła ją i z uśmiechem od ucha do ucha wyszła.

Ione stała ze złożonymi delikatnie rękami, powoli przesuwając po wargach językiem. Wcale nie miała na myśli zmywania...

## Rozdział 15

Nocą w wąwozie panowała niezwykła cisza. Górskie drogi przemierzały nieliczne samochody. Z rzadka tylko ktoś mieszkający na wzgórzach powracał do siebie lub jakiś spóźniony gość opuszczał któryś z domów w okolicy. Trudno było mówić o prawdziwym ruchu. Żadnych ulicznych odgłosów. Żadnych pieszych, rzecz jasna. Wzgórza spały. Sporadycznie tylko odzywały się ptaki. Z rzadka w gęstych zaroślach pokrywających zbocza, nie zagospodarowane i nie oczyszczone przez człowieka, słysząc było szmer drobnych przedstawicieli dzikiej przyrody, od wieków wiodących swe życie tuż przy ziemi.

Księżycowy blask muskał wyższe partie wzgórz, ale nie tę część zbocza na zachód od domu, gdzie Mandy wspinała się tak cicho, jakby sama była jeszcze jednym zwierzęciem w ciemności. Idąc boso, bo nie wzięła ze sobą tenisówek, ostrożnie macała nogą w poszukiwaniu stopni, koniuszkami palców opierając się delikatnie o ścianę, na kuckach mijając okno pokoju Burta i Elsie, prostując się znowu.

Zachodnie okno w pokoju Thone'a wychodziło na niewielką, otoczoną balustradą platformę. Grunt poniżej wznosił się. Gdyby wspięła się dostatecznie wysoko, krawędź balkonu znalazłby się na wysokości jej ramion. Jej dłonie znalazły się na pomalowanych na biało prętach. Znalazła dogodne miejsce dla stóp.

– Mandy.

A więc był tam. Balkonik miał wymiary tak małe, że tylko część ciała Thone'a znajdowała się za oknem. Leżał podparty na podłodze. Jego policzek spoczywał płasko na drewnie. Mandy na swym czole czuła jego oddech. Jego szept przypominał syk. Był tak ledwo słyszalny, że mogło się zdawać, iż jedynie pomyślał sobie jej imię.

– Thone?

Starła się mówić równie cicho jak on. Podniosła głowę nieco wyżej, policzek oparła o pręt balustrady.

– Nie sędzę, by ktoś mógł nas usłyszeć – • uspokoił ją. – Ione nie ma okien z tej strony.

– Szłam bardzo po cichu. Nikt mnie nie usłyszał.

– A Burt jest nieco głuchawy.

Przez chwilę tkwiła tak w milczeniu. Oboje wsłuchiwali się w noc.

– Co z Kellym? Byłaś...?

– Widziałam się z nim – odparła. – Ale to na nic.

– Na nic?

– Na nic. – Zimny pręt wydawał się solidny. Jego krawędź wcinała się jej w twarz, powodując przyjemny ból. – Był bardzo miły. Ale niczego się nie dowiedziałam.

– Kazałem Burtowi odszukać moją kulę – rzekł, odbiegając od tematu. – Wciąż jeszcze była w schowku.

– Czy ból bardzo ci dokucza?

– Nie, już nie tak bardzo. Chyba że stanę na tej nodze.

– Thone... a jakie jest zdanie Fanny?

– Powiedziałem jej, że masz jakieś urojenia. I że uznałem, iż będzie rozsądnie mieć cię tu przez jakiś czas, bo boję się tego, co mogłabyś zrobić. Ale Fanny za tobą przepada.

Już nie, pomyślała Mandy.

– O co chodzi, Mandy? Boisz się?

– Nie.

– Wydajesz się jakaś znużona. Co się dzieje?

– Nic mi nie jest.

Przesunął głowę.

– Piłaś coś.

– Tylko odrobinę likieru.

Czuła się bezradna. Nie było sensu udawać. I tak wyczułby to w jej oddechu. Należało mu o tym powiedzieć natychmiast.

– Kiedy? – spytał.

– Najpierw przed kolacją. A po kolacji zaproponowała mi znowu.

– *Ona?*

– Minęło już kilka godzin – odparła tonem obrony. – Nie straciłam przytomności. Nic się nie stało.

Wiedziała, że gdyby nie musieli być cicho, Thone rzuciłby jakieś ostre przekleństwo.

– To była anyżówka – wyznała. – Pomyślałam, że lepiej udawać, że ją lubię.

Odpowiedział dopiero po chwili. Rzekł bardzo powoli: – Coś się szykuje, to pewne.

– Tak – odparła krótko.

– To jasne jak słońce, Mandy. Jestem o tym przekonany. Historia za bardzo się powtarza. Tata bierze chloral. Tak jak wtedy. Ja mam chorą stopę. A ty pijesz

anyżowkę po kolacji. Czy zauważyłaś... że każda z tych trzech rzeczy została zaaranżowana przez Ione?

– Zazywanie chloralu przez twojego ojca – nie.

– To ona mu tę myśl podsunęła. Słyszałaś przecież. Zwykle opierał się tej pokusie znacznie dłużej. Mandy, ja *wiem*, że coś się święci.

– Och...

– Ten schemat – rzekł. – Może dla ciebie nie jest on tak oczywisty. Ale ja tu wtedy byłem.

– Jest oczywisty i dla mnie – zapewniła.

Zdawało jej się, że przysunął się bliżej.

– Czy nie przyszło ci do głowy, że dopięłaś swego?

– Co masz na myśli?

– Sprawiałaś, że uwierzyłem i teraz się pilnuję. Jestem czujny. Możesz już wrócić do domu.

– Do domu?

– Tak. Wracaj do domu.

– Ale...

– Jeszcze dziś w nocy. Albo z samego rana – nalegał.

– Czy to nie zburzyłoby całego schematu? – spytała.

– Owszem.

Mandy rzekła: – Nie wrócę.

– Na litość boską, chyba nie sądzisz, że naprawdę zamierzam rozsiać się wygodnie i patrzeć, jak... tobie dzieje się krzywda!

– Ależ nie, skądże, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Wierzę ci, wierzę nawet w tę cholerną truciznę. Więc możesz stąd odejść.

– Ale przecież jak to zrobię...

– Mogę ją przekonać, że ta sprawa z zamianą dzieci to bzdura. Dobrze wiesz, że mogę to zrobić. Podobnie mogłabyś ty, gdybyś spróbowała. Masz się trzymać od tego z daleka. Pograżyliśmy się w tym idiotyzmie już i tak aż za głęboko.

– Zaczekaj – rzekła Mandy. – O co tu chodzi? Co to jest za schemat?

– Schemat śmierci mojej matki – odparł.

– Że niby ma teraz dotyczyć mnie?

– Ciebie.

– Może my się mylimy. Może...

Czytał w jej myślach. To, czego nie potrafiła ująć w zdania, zrozumiał bez słów.

– Pozwól, że coś ci powiem – zaczął. – Jeśli ona powtarza ten schemat, to na pewno nie kopiuje *naturalnego* biegu wydarzeń.

– To właśnie chciałam powiedzieć – rzekła z wdzięcznością.

– Nie. To oznacza, że ten schemat istniał już wtedy. Cały ten plan nie wpadłby jej teraz do głowy, gdyby nie pracowała nad nim wcześniej. Jestem tego pewien.

Bolały ją zaciśnięte wokół pręta palce. Zgadzała się z nim w stu procentach. Też była tego pewna.

– Ale w takim układzie – rzekła – będziemy musieli poznać ten schemat w całości.

– Słucham?

– Nie wiemy, jak to wtedy zrobiła.

– Nie wiemy.

– Ale jeśli powtarza cały swój plan, to musi nam ostatecznie pokazać, jak tego dokonała. Mam rację? Musimy ją tylko obserwować.

– Nie, jeśli chodzi jej o ciebie – odparł, wyraźnie przerażony.

– Za późno już – zauważyła Mandy – by zmienić ten element planu. Sprawy zaszły tak daleko, że to muszę być ja.

– Nie pozwolę...

– Ćśśś.

Wił się w ciemności. – To ja powinienem w tej sprawie ryzykować. Nie pozwolę na to nikomu innemu.

– Ależ nic mi nie będzie! – zapewniła Mandy. Zrobiło się jej lżej na sercu. – Nie mam zamiaru umierać – rzekła niemal wesoło.

– Nie zamierzam pozwolić ci na nic, co mogłoby do tego doprowadzić.

Thone szeptał żarliwie, a Mandy była uszczęśliwiona.

– Twoja mama obdarłaby mnie ze skóry – dodał.

– Więc lepiej, żeby o niczym nie wiedziała – odparła dość gniewnie. – Pamiętaj, że obserwujemy i jesteśmy wszystkiego świadomi. A Ione nie ma o tym zielonego pojęcia. Ty przez cały czas będziesz z boku... spisku. W każdej chwili będziesz mógł wkroczyć i go przerwać.

– To zbyt niebezpieczne – mruknął.

– Nie tak bardzo, jeśli będziesz na mnie uważał.

– O Boże! – jęknął Thone i przekręcił się na plecy.

Podciągnęła się jeszcze bliżej, przesuwając podkulone palce bosych stóp.

– Wiesz, że coś się szykuje. Ja też to wiem. Dobra nasza! To stwarza nam szansę. To jedyna szansa, jaką mamy przeciw niej. Co innego możesz zrobić, Thone? Jeśli

mnie odeślesz, będziesz musiał czekać, aż stworzy nowy plan. Może przeciw tobie. Będziesz tu całkiem sam – nikt nie pomoże ci tak jak ja. – Kontynuowała w pośpiechu: – A gdyby poniechała wówczas działania według planu? Nawet gdybyś ją przyłapał, jak udowodniłbyś cokolwiek na temat wypadku sprzed sześciu lat? Albo założmy, że już nigdy by nie spróbowała? Wówczas całe życie myślałbyś o niej i Belle. Nie rozumiesz? Teraz masz mnie, a ja idealnie pasuję do jej starego schematu. Pozwól jej więc kontynuować. Będziesz na wszystko przygotowany. Nic mi się nie stanie. I dowiesz się wszystkiego. *Dowiesz się.*

Po cichu zaś myślała: I Tobias się dowie! Że Belle nigdy nie chciała go opuścić. To dobrze na niego wpłynie. Poza tym nie wolno pozwolić mu dalej żyć z morderczynią. Głośno powiedziała:

– Och, Thone. Zrobisz to, o co cię proszę? Ja się nie boję!

– Owszem, boisz się – odparł beznamiętnie.

– Niby czego?

– Ja w każdym razie się boję – rzekł. – Bóg mi świadkiem.

– A co z tym... schematem? Co jeszcze przyszło ci do głowy?

– Może jej samochód. Prowadziłaś go samodzielnie. Znasz drogę na dół. Może to też część jej planu.

– Tak – zgodziła się. – Myślisz, że zechce, bym znowu gdzieś pojechała?

– Może.

– Bo ty z poparzoną stopą nie będziesz w stanie. Nikt nawet cię nie poprosi. Nikt nie poprosi też twojego ojca.

– Jednak Burt będzie musiał być poza domem. Tak było wtedy. To był czwartek.

Powiał chłodny nocny wietrzyk.

– A zatem w czwartek? – sapnęła.

– W czwartek.

Żelazny pręt chłodził jej twarz. Potarła o niego policzkiem. – Ale jak ona zdoła...?

– Nie wiemy.

– Tego będziemy musieli się dowiedzieć. Thone, jesteśmy zbyt blisko. Czwartek! Nie możemy się teraz poddać!

– Ty możesz.

– Nie.

Czuła, jak Thone wierci się niespokojnie w ciemności.

– Mandy, dlaczego chcesz to zrobić? Czy dlatego, że wydaje ci się, iż jesteś we mnie zakochana? – Wszelki ślad uczucia ginał w niemodulowanym, stłumionym



szepcie.

– Oczywiście, jestem zakochana – odpowiedziała w ten sam sposób. – I wiem, co ty czujesz. W porządku? A to, co robimy, nie ma z tym nic wspólnego.

Thone nawet nie drgnął.

– Posłuchaj – ciągnęła Amanda. – Musisz się dowiedzieć, jak zmarła twoja matka. A ja muszę ci w tym pomóc, bo w pewnym sensie rozgrzebałam tę sprawę. To wszystko. To jedyne, co nas łączy. Jestem tego świadoma.

Nie odpowiedział.

– Gdybym była mężczyzną, byłbyś wniebowzięty – zarzuciła mu.

– Byłabym twoim kumplem. Nie widziałbyś nic niestosownego w tym, żebym zaryzykowała. Musisz to przyznać.

Poruszył się, lecz nie przemówił.

– W porządku – ciągnęła. – Postawię sprawę jasno. Naturalnie byłabym uszczęśliwiona, gdybyś się we mnie zakochał. Jednak zdaję sobie sprawę, że pewnie nic takiego nie nastąpi, i jakoś to przeżyję. Zresztą zajmiemy się tym problemem we właściwym czasie.

– A niech to licho! – rzucił na głos, po czym znów zniżył głos do gniewnego szeptu: – *Czego według ciebie się boję?*

– Och, tego, że znowu zostaniesz zraniony – odparła bez ogródek. – Przez durną zakochaną babę.

Wciąż tkwiła przyłgnięta do żelaznej balustrady. Uśmiechała się w mroku.

Thone leżał płasko na plecach. Powiedział tylko: – Fanny za dużo gada. – I nic już nie dodał.

Nocne niebo wirowało nad ich głowami. Drobne zwierzęta wierciły się w zaroślach. Drzewo eukaliptusowe pochylało swą wysoką, postrzępioną koronę w ruchomym powietrzu. Mandy wyczuła paralizującą kluchę w jego gardle. Może takie milczenie było okrucieństwem...

– Bolał mnie stopy – oznajmiła nagle Mandy. – Jestem boso. Proszę, powiedz, że będziemy działać dalej w ramach zdrowego rozsądku.

Dziwnie zduszonym głosem odparł: – Wygrałaś. Zdjęła jedną rękę z balustrady, włożyła ją między pręty i zaczęła szukać po omacku. Trafiła go prawie prosto w oko. Pochwyił jej palce.

– Klnę się na Boga – wyszeptał – że nie wiem już, co począć z tobą i tym twoim charakterkiem.

– No i dobrze.

Wyrwała swą dłoń. Bała się, że Thone usłyszy łzę, która właśnie wypływała z jej

oka. Puściła pręty i zeszła na dół.

Thone leżał na wznak w ciemności. Ostrożnie pokonując drogę w dół, Mandy przez cały czas była świadoma, że tam jest. Myślała: Cóż, przynajmniej byłam szczerą. Myślała: Moja duma i tak była już sponiewierana i wlokła się w strzępach po ziemi wokół moich stóp. Myślała: Cóż, przynajmniej stanie się tak, jak chciałam. Musiałam go tym przytłoczyć. Nie mogę teraz wrócić do domu. Myślała: Ale mam nadzieję, że to się szybko skończy. Naprawdę mam wielką nadzieję, że to w *ten* czwartek mam umrzeć! Myślała: Ależ to niedorzeczne! Umrzeć?

Jej ciało było zwinne i poruszało się, żywe, w ciemności. Jej płuca czerpały powietrze. Jej zziębnięte palce u nóg czuły dotyk ziemi. Jej dłoń, ta cudowna rzecz, żywa dłoń, pozostawała wrażliwa na chropawość ściany.

## Rozdział 16

Rankiem przy śniadaniu Ione powiedziała:

– Toby, wezwałam mechanika, żeby zabrał twój samochód. Wymaga przeglądu. Zajmie to najwyżej dzień lub dwa. W piątek lub sobotę pewnie będziesz go miał z powrotem... Zresztą teraz i tak na pewno zechcesz pobyć z Thonem, no a poza tym zostanie jeszcze moje auto.

– Oczywiście, moja droga – odparł potulnie Toby.

Oczywiście, pomyślała Mandy, oczywiście. Wszystko się pięknie układało. Pasowało do schematu idealnie. Zawsze jest jeszcze moje auto! Akurat; chciała powiedzieć: Zostanie *tylko* moje auto. Tak jak wtedy. Tak jak sześć lat temu, kiedy mieli do dyspozycji tylko jeden samochód w dole wąwozu.

– Czy podać ci cukier, Mandy? – usłyszała uprzejme pytanie Thone'a.

– Tak, poproszę. – Odwróciła głowę z cudownym wdziękiem i opanowaniem.

– Będziemy dziś pracować? – spytał Tobias. – Czy jesteś zbyt zmęczona, moje dziecko? Obawiam się, że psuję ci tę wizytę.

– Cóż, w ciągu tego tygodnia odbędzie w zasadzie czteroletni kurs malarstwa, i to za darmo – cedził słowa Thone – nie powinna więc chyba narzekać.

Amanda przełknęła głośno. – Na Boga, oczywiście, że nie narzekam!

Uniosła brodę i uśmiechnęła się do Tobiasa. Jej myśli skupiły się na jej własnym planie. Wiedziała, że Thone postępuje właściwie, traktując ją, delikatnie mówiąc, chłodno. Czuła, że Ione dostrzegała wszystko, co między nimi zachodziło. Prawdę mówiąc, widziała wszystko, co zachodziło między Amandą i kimkolwiek. Uśmiechnęła się więc promiennie do Tobiasa, choć tak naprawdę go nie widziała. Wypatrywała jedynie subtelnej reakcji na ojcowskiej twarzy. Zapomniała, tak jak zapomniał Thone, że Tobias również był odbiorcą tego, co się działo.

Grali przedstawienie dla Ione. Ale Tobias też je oglądał.

Zadecydowano, że popracują dziś nad portretem.

Bładozielona satyna! Najchętniej zdarłaby ją ze swych ramion i podeptała. Któregoś dnia tak zrobi. Teraz jednak musiała siedzieć nieruchomo, wyprostowana, a przy tym rozluźniona, z twarzą zwróconą do światła, ze spokojnymi rękami.

Thone przy pomocy swej kuli dotarł bez trudu do sofy. Nie mogła nawet spojrzeć w jego stronę. On zaś musiał tam siedzieć ze stopą w górze i udawać, że drzemie lub czyta, i tak mijała środa. Z Tobiasem pracującym nad portretem. Z Ione zarządzającą domem...

Mandy zaczęła myśleć o Belle, o Belle w jej pięknych strojach. Z czego uszyta była ta różowo-złota suknia balowa?, zastanawiała się. Z satyny? „I złota róża we włosach.” Co miała na sobie, gdy umarła? O tym Mandy wolała nie myśleć. W czym chodziła na wyspach? W czymś barwnym, bez wątpienia. Bardzo kolorowym, rzecz jasna. Jaskrawe róże, barwy koralu, odcienie hibiskusa. Thone zapewne pamiętał ją w soczystych kolorach. Całe jego dzieciństwo musiało być przesiąknięte jasnością i śmiechem. Mandy wiedziała to, bo były one obecne we wszystkich tych malowidłach, w przepelnionych radością obrazach z wysp. Ta głęboka, promienna szczęśliwość! Zastanawiała się, jak to możliwe, że Thone uniknął potrzeby malowania. Dlaczego był w pewnym sensie taki mroczny, tak zafascynowany formą, kształtem, bryłą, kreską. Czy Belle też taka była? Dumiała i marzyła, zapominając...

Tobias pracował bez wytchnienia. Niewiele mówił. Pracował powoli. Pierwsza faza szybkich, zdecydowanych pociągnięć pędzla, faza zapału i wielkiej pewności siebie minęła. Przeminał też dreszcz, który temu towarzyszył. Nie pracował w ten sposób od lat. I już nigdy nie miał tego stanu osiągnąć, już nigdy nie miał doświadczyć tej magii.

Bo co go tak ekscytowało, jeśli nie krótka chwila odrodzenia dawnej magii? Teraz jednak czuł się ciężko. Na powrót poczuł się stary. Och, był, rzecz jasna, utalentowany i zdyscyplinowany. Miał niezawodną rękę. Będzie prowadził ją delikatnie, a ona będzie mu posłuszna. Posłuszna ręka! To nie to co ciało i błakająca się gdzieś dusza; jego dłoń stanowiła jedność, od nadgarstka aż po koniuszki palców!

Nauczy to słodkie dziewczę wszystkiego, co sam wie, choć w rezultacie na niewiele się to zda. Bo jak tu nauczyć magii? Magia była człowiekowi zsyłana, nawiedzała go... A gdy odeszła, na próżno było ją wzywać.

Był stary, ale jeszcze niegłupi. Pewne rzeczy działały na jego zszargane nerwy. Czuł się miotany i obijany. Był bezbronny wobec tak wielu nieuchwytnych szturchańców. Wobec Thone'a, tak nieprzystępnego i spiętego, tak ostrożnego i opierającego się kontaktom... Wobec bladeści policzków tego dziewczęcia, ledwo zauważalnych nowych pokładów w tej młodej twarzy... Wobec podmuchów nadnaturalnego wiatru, który dał nie wiadomo skąd i sprawiał, że artysta chwiał się i potykał.

Nie był już silny jak dawniej. Nie potrafił pewnych rzeczy zrozumieć, o innych mu nawet nie mówiono, a jednak nie umiał pozostać obojętny.

Oni zaś byli tacy młodzi. Pragnął... Tak bardzo pragnął... W ich nowym, skomplikowanym świecie, który musieli zrozumieć, pragnął, by trzymali się razem.

Ale bał się... bał się...

Nie wiedział, dlaczego, lecz jego serce zaczęło płakać, nie bacząc na wszystkie minione lata. Zaczęło płakać za Belle.

Z popołudniową pocztą Ione otrzymała list.

*Jeśli chodzi o fuksje – było w nim napisane – skoro nalegasz, moja droga, oczywiście nie widzę przeszkód. Choć od Waszego domu na lotnisko jest kawał drogi. Nasz samolot startuje, jak już Ci chyba mówiłam, o dwudziestej drugiej pięć. Chętnie bym Ci przywiozła te sadzonki, ale jak się pewnie domyślasz, jestem teraz zajęta pakowaniem. Bez trudu mogłabym to zrobić za tydzień, gdy już wrócimy do domu. Więc jeśli nie będziesz mogła ich odebrać w czwartek, nie martw się. Zostawię kwiaty w przechowalni bagażu na Twoje nazwisko i pamiętaj, jeśli nawet obumrą, zawsze możemy postarać się o nowe.*

Ione złożyła kartkę bladoniebieskiego papieru zamaszystym pismem do środka.

– Barbara McPhail! Co za urocza osoba! – wykrzyknęła, a jej oczy zrobiły się okrągłe z zadowolenia. – Toby, pomyśl tylko! Da nam całe mnóstwo sadzonek swoich cudownych fuksji!

– To miło – odparł Tobias, patrząc z ukosa na paletę.

– Razem z Charlesem leci jutro do Seattle. Przywiezie je na lotnisko. Czyż nie jest ujmująca?

Senne powieki Thone'a podniosły się.

– Będę musiała tylko po nie pojechać – rzekła Ione. – Mam nadzieję, że razem z Burtem jakoś sobie poradzimy z ich posadzeniem. Do niej przychodzi raz w tygodniu niezwykle bystry ogrodnik. Oby tylko zwilżył sadzonki, gdy je będzie pakował.

– Zawiezie je na lotnisko? – spytał Thone.

Jego głos był niemal całkiem pozbawiony znaczenia, ledwo wyrażał słabe zaciekawienie. Palce Mandy, spoczywające na udach, gwałtownie się podkuliły.

– Do Inglewood. Och, to kawał drogi – jęknęła Ione. – Niech pomyślę. Jeżeli ich samolot startuje o dziesiątej, będą chcieli znaleźć się tam sporo wcześniej – myślę że przed wpół do.

– A jak długo będą w Seattle? – spytał Tobias, myślami błądząc gdzieś indziej.

– Och, Barbara nic na ten temat nie wspomniała – skłamała Ione.

– Jakie to miłe z jej strony, że pomyślała o mnie przed wyjazdem. Muszę powiedzieć Burtowi.

– Trzeba go po nie wysłać – mruknął Tobias.

Ione nie odezwała się, nie przypomniwała mu, że jutro Burt ma wychodne. Podreptała na swych małych nóżkach, jak gdyby zamierzała teraz wszystko ustawić, wszystkim się zająć, wydać swe radosne polecenia.

– Śliczne kwiaty, takie fuksje – zauważył Tobias. – Zwłaszcza te od Barbary.

Na oświetlonej twarzy dziewczyny pojawiło się dziwne napięcie skóry na kościach policzkowych, jak gdyby delikatnie zaokrąglone młode ciało wędło i usychało na jego oczach.

– Już nie mogę z tą moją nogą! – Nagły wybuch Thone'a zdumiał ich. – Wybacz, tato... Amando.

Amanda wstrzymała oddech. Ten okrzyk wstrząsnął nią i uwolnił od napięcia.

Tobias odłożył pędzel i popatrzył z zaciekawieniem na własną dłoń.

– Skończymy na dziś. Amanda jest zmęczona, ja zresztą też. A Thone najwyraźniej się nudzi.

Miał nadzieję, że o to tylko chodziło. Popatrzył na ich ironiczne nagle twarze, na pozbawione wyrazu, choć śmiejące się oczy.

Tego dnia Ione w ogóle nie wychodziła z domu. W tę środę. Burt załatwiał wszystkie sprawunki. Dzień ciągnął się, jakby Czas rozwarł szeroko szczęki, które teraz zwierał z powrotem powoli, powoli, w rytm tykania zegara.

Po kolacji Tobias zażył chloral, sięgając po niego chciwie, kuszony obietnicą snu, odradzającego siły wypoczynku; nieważne, do jakich środków musiał się uciec, by ten cel osiągnąć. Amandę częstowano anyżówką. Stało się to już tradycją tego domu. Częścią rutyny.

Thone odezwał się tym swoim rozleniwionym głosem, pozbawionym wszelkiego wyrazu:

– A ja, Ione?

– Whisky, mój drogi?

– Nie, myślę, że spróbuję tego samego.

Wyciągnął się i uśmiechnął szeroko, udając znudzonego.

– Za to ja napiję się whisky – zaćwierkała Ione. – Amando, dziecko drogie, zechcesz mi pomóc?

Amanda poszła przynieść z barku śliczne kieliszki z delikatnego szkła.

– Chyba byłam dla niego zbyt skąpa – stwierdziła ostro Ione.

Tak więc Amanda uśmiechnęła się i chwyciła butelkę, która tak bardzo przypominała butelkę zwykłego wina, zawierała jednak wodę ognistą Belle. Dołała po odrobinie anyżówki do obu kieliszków. Ione miała zajęte obie ręce. W jednej trzymała szklaneczkę, w drugiej szczypcę do lodu.

– Uważaj na... – Wskazała łokciem.

Dłoń Amandy spoczęła na pudełku zawierającym chloral.

– Na to?

– Dziękuję ci, moja droga. Odsuń to od krawędzi... o tak.

Jestem bardzo posłuszna, pomyślała Amanda. Bardzo. Skoro ona chciała, bym tego dotknęła, to dotknęłam. Zrobię wszystko, co będzie sugerowała, i to bardzo ochoczo. Będę to tylko notować w pamięci. Muszę przystawać na wszystko... w granicach rozsądku, w granicach rozsądku. Musi wierzyć, że wszystko idzie gładko. Bo naprawdę wszystko idzie gładko! Jakie proste musi się jej to wszystko wydawać! Absolutnie nic się nie stało. Nic a nic. Wszystkie te drobiazgi – tak niewinne! Drobiazgi składające się na schemat. Czy naprawdę widzimy jakiś schemat? Czy zamykają się już szczęki środy? Czy jutro naprawdę będzie czwartek?

Czuła się dziwnie, jakby odpływała. Przyniosła Thone'owi jego kieliszek.

– Ładny wieczór dziś mamy na dworze – mruknął pod nosem, rzucając jej ciemne, niespokojne spojrzenie.

– Biedny Thone, biedny chłopiec – jęknęła Ione. – Taka niedogodność. Jak w więzieniu. Ale co tam. Do wesela się zagoi. Cieszę się, że nie stało się nic gorszego.

– Westchnęła i rozejrzała się dokoła z uśmiechem, patrząc na rodzinę w miłej atmosferze zmierzającą do końca środowego wieczoru.

## Rozdział 17

Ów koniec jednak wcale nie nastąpił tak prędko.

Wieczór rzeczywiście był ładny. Lecz Amanda wiedziała, że Thone, mówiąc to, chciał jej przekazać, że ma przyjść. Wspinała się więc w ciemności, najdelikatniej i najostrożniej, jak mogła. Czekał na nią, wyciągnięty na posadzce balkonu.

– Wszystko jest oczywiste, prawda? To ty będziesz musiała jechać po te sadzonki fuksji. Bo Fanny ma być jutro na kolacji.

– Wiem.

– Ktoś będzie musiał po nie pojechać, inaczej uschną. Tak nam powie.

– Wiem. Rozumiem to.

– Jutro wieczorem w twoim ulubionym alkoholu znajdzie się chloral.

– Wiem. Wiem.

– Ale co dalej? Jak zachowa się dalej?

– Nie mam zielonego pojęcia – przyznała.

– Jak uruchomi silnik samochodu? Skąd będzie miała pewność, że motor chodzi? Co zrobi, żeby zamknąć bramę garażu? Jak temu wszystkiemu *podole*?

– Musi mieć na to jakiś sposób. Sposób, którego my nie znamy. Tego właśnie musimy...

– Mandy, ty jutro będziesz musiała się stąd wymknąć, żeby zawiadomić Kelly'ego.

– Po co?

– Żeby się tym zajął, na Boga! Powiesz mu, że musi przyjechać do wąwozu. Zrobimy to tak. Po pierwsze, musimy dopilnować, żebyś nie zażyła chloralu. Ale ona musi wierzyć, że go wzięłaś. Trzeba o to zadbać. Ja też poproszę o kieliszek likieru, tak jak dziś. Zamienimy jakoś nasze alkohole. Jeśli nie nadarzy się żadna okazja, będziemy musieli sami się o nią postarać. Ty ją stworzysz, jeśli zdołasz. A ja zamienię szklanki. Odwrócisz na chwilę jej uwagę... Wiem jak. Pozbędę się wcześniej wszystkich rupieci z tego okrągłego stolika, tego z obrotowym blatem. Tak to właśnie zrobimy. Usiądziesz w pobliżu i postawisz swój kieliszek na stoliku. Pamiętaj... Mandy, ale czy ty będziesz pewna, że zamieniłem kieliszki?

– Tak.

– Za twoimi plecami?

– Tak, Thone. Tylko co ty wtedy...

– Zaraz też będziesz musiała wypić swoją anyżówkę jak gdyby nigdy nic. Moja



nie będzie miała większego znaczenia, bo mogę się z nią poociągać. Ione nie będzie myśleć o mnie i nie będzie mnie obserwować. Ale posłuchaj, jeśli coś pójdzie nie tak i nie zdołamy ich zamienić, wówczas nie wolno ci opuścić domu. Nie pozwolę na to. Wyjawię wszystko, zanim...

– W porządku – rzekła.

– Mandy, czy na pewno masz zdrowe serce?

– S-serce?

– Chloral źle działa na słabe serce. Nie posuniemy się ani o krok dalej, jeśli istnieje jakieś ryzyko.

– Z moim sercem jest wszystko w porządku.

– Na pewno?

– Tak, na pewno.

– Czy taka jest opinia lekarzy?

– Owszem.

– O czym ja, u licha, mówię? Posłuchaj, Mandy. Nie spożyjesz żadnego chloralu. Obiecuj mi. Jeśli nie dam ci znaku, masz niczego nie pić.

– Dobrze – odparła w oszołomieniu.

– A teraz, w razie gdyby... Powiedz Kelly'emu, żeby wysłał kogoś tam na dół i kazał mu obserwować, jak Ione to robi. Po pierwsze, ty wprawdzie będziesz to wiedziała, ale będziemy potrzebować świadka. Po drugie, musimy mieć pewność, że nie zostaniesz tam jednak uwięziona tak jak... – Opuścił głowę, kryjąc ją w dłoniach. – ...tak jak Belle.

Mandy zadrżała. W gardle jej zaschło ze współczucia i przerażenia. Poruszył się znowu. – Może się wycofamy? Nie mogę cię prosić, żebyś to zrobiła! Mój Boże, przecież to jest niemożliwością.

– Z niczego się nie wycofamy – odparła. – Nie wiemy jeszcze wszystkiego.

– To, co wiemy, wystarczy.

– Nie wiemy, *jak* to zrobiła.

– Nie mamy żadnego dowodu – jęknął.

Mandy cierpiała razem z nim.

– Co więc mam powiedzieć Kelly'emu? – spytała.

– Żeby obserwował garaż. Żeby nasłuchiwał. Jeżeli usłyszy, że za zamkniętą bramą pracuje silnik, będzie musiał się tam wedrzeć. Tylko niech nie przychodzi do domu. Nie możemy tak ryzykować. Nie może też być widziany tam, na dole. Powiedz, żeby był zawczasu, powiedz, niech czeka już od ósmej, tak na wszelki wypadek.

– Dotknęłam pudełka z chloralem – wtrąciła.

– Doprawdy?

– Wydawało mi się, że... że ona tego chciała.

– Tak?

– Och, Thone, sama już nie wiem. Nie wiem. Nie panikujemy czasem bez powodu?

– Nie wydaje mi się. Mandy, czy *zdołasz* wejść do tej pułapki? Żałuję, że nie ma innego sposobu.

– Nie martw się. Nic mi nie będzie.

– Masz zimne ręce. – Dotykał ich teraz.

– Bo mi chłodno.

– Gdyby nie chodziło o... o moją matkę...

Oderwała twarz od zimnego metalowego pręta i podniosła wzrok.

– Nie grozi mi żadne realne niebezpieczeństwo – powiedziała. – Nie pójdę tam przecież zupełnie osamotniona i opuszczona.

Jego palce zdjęły jej palce z balustrady i starały się ogrzać. Nagle wyszeptał, ledwie słyszalnie:

– Nic nie może ci się stać, Amando... Mandy.

A jej się zdawało, że choć słowa zamilkły, dodał jeszcze: „Skarbie”.

– Słucham... jak mnie nazwałeś? – wymamrotała, oszołomiona.

– Mandy – powtórzył.

Zamknęła oczy. Nie powiedział więc tego. A jednak Thone wiedział, jakie to słowo nie dotarło do uszu Mandy. Noc była usiana gwiazdami i nasycona zapachami. Jej usta uśmiechały się w ciemności.

Niech więc nie mówi. Ona też nic nie powie.

Pomyślała, nie poruszając wargami: Dobranoc, kochany Thone.

– Dobranoc – wyszeptał w odpowiedzi.

## Rozdział 18

Mandy spała dobrze, a gdy się obudziła, był czwartek. Poranek był mglisty, mleczone opary ograniczały perspektywę. Wąwóz omdlewał w zieleni i szarości. Drzewa stały rozmyte i zapłakane. Świat wydawał się mniejszy. Był jak niewielka, okrągła polana w sennym lesie, jak krąg, który obracał się i podążał za wzrokiem i w którym człowiek poruszał się, nosząc go ze sobą jak bliski sobie horyzont.

Tobias może i spał tej nocy, ale z pewnością nie wypoczął. Ledwo zdołał podnieść powieki i uwolnić spod nich spojrzenie. Oznajmił, że nie będzie dzisiaj pracował. Ani przez chwilę.

Tak więc Mandy była wolna, mogła siedzieć i dygotać w żółto-białej bawełnianej sukience. Po chwili doszła do wniosku, że głupotą jest tak marznąć, i zbiegła na dół po wełniany zakiet. Gdy wróciła, Tobias zdążył zaszyć się w swoim pokoju, gdzie miał coś napisać. Tak jej powiedział Thone. On sam dokuśtykał do sofy w atelier i tam się położył.

Patrzyli na siebie. Było tak wiele rzeczy, które pragnęliby sobie wyszeptać, gdyby się ośmielili. Nie istniało jednak nic, co mogliby powiedzieć na głos w tym wielkim pokoju. Nie znali słów, które przystawałyby do codziennej krzątania, jaka miała miejsce w domu, do dźwięków, które zewsząd dochodziły. Elsie była zajęta. Ione rozmawiała w holu przez telefon z dostawcami, łaskawym tonem wydając stosowne polecenia.

Mandy podeszła do ławeczki przy oknie i wyjrzała na ogród, który tak raptownie opadał na dno zasnutego mgłą wąwozu. Daleko w dole ujrzała Burta, kopiającego w powolnym rytmie w pobliżu garażu.

Thone wlepił wzrok w książkę. Do atelier zajrzała Ione.

Po chwili Amanda widziała ją, jak idzie ścieżką po terasach w dół. Bez kapelusza, lecz w skromnym, szarym kostiumie z torebką pod pachą. Czyżby się gdzieś wybierała?

Mandy odwróciła się. Czy byli bezpieczni? Piętro niżej buczał odkurzacz. Pokazała palcem na ogród i zrobiła znaczącą minę.

– Podaj mi telefon – poprosił z miejsca Thone.

Zdjęła aparat z półki w holu. Długi sznur swobodnie sięgnął za zwieńczone łukiem przejście.

– Ty obserwuj dalej – polecił jej.

Wróciła więc na ławeczkę przy oknie. Ione była już daleko w dole, na pewno

zbyt daleko, by usłyszeć furkot tarczy telefonu czy ciche dudnienie głosu Thone'a. Rozmawiała z Burtem, który przestał kopać i słuchał z szacunkiem.

Usłyszała, jak Thone prosi do telefonu porucznika Kelly'ego. Odruchowo uzupełniła w myślach konwersację o słowa po drugiej stronie linii. Porucznika Kelly'ego nie było. Thone chciał, by przekazano mu wiadomość. Jego niski głos brzmiał jak staccato.

Na dole Ione odeszła od ogrodnika, który zaczął wspinać się pod górę, ciągnąc za sobą narzędzia. Otworzyła drzwi składziku i weszła do środka. Dno wąwozu nie było z domu widoczne, nie licząc niewielkiego odcinka w oddali, u samego wylotu, gdzie można było dostrzec fragment drogi. Tego ranka mgła zasłoniła także i to miejsce. Mgła, która powoli zanikała w bladych promieniach słońca na górze, lecz wciąż unosiła się w zagłębieniach poniżej. Jeśli samochód będzie wyjeżdżał z wąwozu, czy będzie widoczny choćby jako poruszająca się ciemna plama? Amanda zamrugła, wyteżając wzrok.

Thone rozłączył się. Powiedział niezbyt głośno, ale wyraźnie: – Kelly'ego nie ma. Gdzie ona teraz jest?

Amandzie zdawało się, że coś przemknęło po drodze. – Pojechała gdzieś. Chyba wzięła samochód. Nie jestem pewna.

Thone podnosił się, sięgając po kulę. – Mandy, czy jest ktoś, kogo mogłabyś o coś poprosić? Nie ma mowy – rzekł, stając tak blisko niej, że czuła wibracje, jakie głos powodował w jego piersi – żebym powierzył twoje bezpieczeństwo świstkowi papieru na biurku jakiegoś gliniarza. Nie mogłem poprosić, żeby tu oddzwonił. Bóg jeden wie, czy mielibyśmy jeszcze kiedyś taką okazję. Ale wiadomości nie zawsze docierają do adresatów. Poza tym on może nie potraktować tego poważnie. A nie wolno nam teraz tego tak zostawić. Mandy, pomyśl, czy znasz kogoś.

– Jest Gene – rzekła. – To ten... chemik.

– Zgodziłby się?

– Tak.

– Więc dzwoń do niego, na miłość boską, i to już! – Thone, kulejąc, zrobił parę kroków. – Schodzę tam.

– Och, nie.

– Tak, muszę coś sprawdzić.

– Idę z tobą.

– Nie, nie wolno ci. Dzwoń już. Ściągnij go tu. *Ściągnij go!* Sama wiesz, co mu powiedzieć. Każ mu przysiąc, że tutaj będzie. Zrobi to dla ciebie, prawda?

– Tak – odparła Mandy.

– A więc idę na dół. Jeśli ona nigdzie nie pojechała, zyskam w ten sposób dla ciebie trochę czasu. Zatrzymam ją. Wymyślę jakiś powód, dla którego tam zszedłem. Ale, Mandy, jeśli tylko będę mógł, chcę zobaczyć to miejsce. Te haki przy wrotach.

– Czy zdołasz tam dojść?

– Bez trudu. – Odszedł, kuśtykając. Obrócił głowę. – Bądź ostrożna. Pamiętaj o tacie.

– Będę mówić po cichu – zapewniła.

Jak miała zadzwonić do Gene'a i wyjaśnić mu, że tego wieczora miała zostać zamordowana, i poprosić, by był tak dobry i przyszedł popatrzeć! To przekraczało wszelkie granice, absolutnie wszelkie granice przyzwoitości!

Mandy wykręciła numer do Callahana. Nie poprosiła o połączenie z Kate. Nie mogła ryzykować, rozmawiając z nią. Kate już po powitaniu wiedziałaby wszystko, znałaby jej strach, jej podniecenie. Gene to było co innego. On wiedział nieco więcej. Wiedział o truciznie, rozumiał jej taktykę.

– Gene? Tu Mandy. Muszę mówić bardzo szybko, a ty musisz mnie słuchać. Pamiętasz to badanie, które dla mnie wykonałeś?

– Tak?

– Tu się dzieje... coś niedobrego. Czy będziesz tym, kim mówiłeś... gdybym cię kiedyś potrzebowała?

– Ochroniarzem! – Jego głos zabrzmiał nagle z większą mocą i niepokojem.

– Dziś wieczorem o ósmej, bądź przy drodze pod tym domem. To Abermarle Road. W bok od Linda Vista. Prawie na samym końcu tej drogi, po lewej stronie znajduje się garaż w zbieżności wzgórza. Gene, proszę, bądź tam i obserwuj, co się będzie działo. Być może... złapiemy kogoś. Rozumiesz?

– Osobę, która przygotowała czekoladę? – Był bardzo ostrożny.

– Tak. Bądź niewidoczny. To musi zajść dość daleko... Zaufasz mi, Gene, i zrobisz to, o co cię proszę?

– Jasne, Mandy.

– Uważaj na wszystko. I nie rób niczego. Jedyne wtedy, gdy drzwi garażu pozostaną zamknięte lub otworzą się i zamkną, a w środku będzie chodził silnik samochodu. Jeśli do tego dojdzie, podnieś alarm i wejdź do środka.

– Dobrze – rzekł. – Kogo miałbym tam znaleźć? Tego atrakcyjnego amatora gorącej czekolady?

– Tak – odparła Mandy.

– A gdzie ty będziesz?

– Będę obserwować wszystko stąd – wymamrotała.

– Czy ten facet będzie wiedział, w co się pakuje?

– Tak, oczywiście, i będzie ostrożny. Ale coś zawsze może pójść nie tak. Gene, obiecasz mi to?

– To, co mówisz, nie ma większego sensu. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Zdaję – jęknęła. – Ale nie mam czasu. Szybko, obiecaj mi!

– Jak sobie życzysz.

– Och, Gene, jesteś...

– Wiem, wiem – powiedział. – A jak ty się miewasz?

– W porządku. U mnie wszystko w porządku. – Uspokoiła głos i starała się, by zabrzmiał radośnie.

– Wracasz... kiedy to... jutro?

– Tak, jutro.

– A zatem – rzekł Gene – do zobaczenia jutro.

– Ale dziś wieczór... będziesz na pewno? – wyszeptała.

– Pewnie, pewnie. Nie martw się. A jeśli nic się nie wydarzy?

– To jutro postaram się jakoś ci to wynagrodzić.

– No dobrze – rzekł. – Niech ci będzie.

Odłożyła słuchawkę i przytknęła usta do nadgarstka. Gdyby Gene wiedział, że to ona będzie w niebezpieczeństwie, zacząłby ingerować. Ujawniłby cały schemat, o ile takowy istniał, wszem i wobec. Na nic by jej nie pozwolił. Dlatego właśnie skłamała.

Cóż to była za delikatna sieć powiązań! Sieć i kontraseć. Teraz, w ten mglisty poranek, gdy na dole w pustym domu szumiał odkurzacz, była *to* sieć fantazji: utkana z niczego, nierealna, niemożliwa konstrukcja-widmo. Tak subtelna i delikatna, tak nie powiązana z ziemią, ze wszystkim co materialne, z ciałem, z faktami...

Poruszyła wargami, przesuając je po skórze nadgarstka. Jej myśli powędrowały znów ścieżką w dół. Belle nie żyła. Została pochwycona w tę dziwną pajęczynę i zmarła. Jeśli ową konstrukcję, ową sieć utkał zwyczajnie ślepy los, to czy ślepy los byłby w stanie ją zduplikować? Czy może jednak istniał pająk, który ją utworzył?

Tu i teraz człowiekowi wydawało się, że widzi cały ten proces odtwarzania pojedynczych nitek, kopiowania wzoru. Ale może była to sieć, która unosiła się w powietrzu, jedwabista, niewidoczna, przedziona tylko w umyśle...

Nie, jednak czegoś się trzymała! Wszystkie nitki wychodziły z jednego punktu. W tym jednym punkcie trzymały się rzeczywistości. W czekoladzie *była* trucizna. Czekoladowa sieć, pomyślała niemal histerycznie. To czekoladowa sieć...

## Rozdział 19

Thone telepał się po schodach. Poruszał się szybko, zjedną ręką na poręcz, a drugą na kuli. Prawa stopa bolała nieco, kołysząc się swobodnie, lecz to nie było w stanie go powstrzymać. Wyszedł drzwiami na najniższym poziomie na dwór.

Po zboczu poruszał się już wolniej. Część jego mózgu pracowała ciężko, zastanawiając się, co powiedzieć, jak się wytłumaczyć, jeżeli ją spotka. Druga część zdawała się składać wyłącznie z niepokoju, ślepej potrzeby robienia czegokolwiek, pociągania za delikatne nitki, żeby poczuć je w palcach i do końca się upewnić albo zgarnąć je z drogi, mając za nic. Nie mógł, po prostu nie mógł już dłużej siedzieć na sofie i patrzeć w twarz tej dziewczynie. Nie mógł spokojnie przyglądać się jej milczącej odwadze, tej słodkiej, niemej, biernej, pogodzonej z losem odwadze.

Na końcu pierwszej terasy Burt podniósł wzrok i wykrzyknął na jego widok.

– Mam już dość tego przekłętego domu. – Thone rzucił mu takie usprawiedliwienie, i to wystarczyło.

Twarc Burta zmarszczyła się w szerokim uśmiechu. Zasalutował żartobliwie. Thone szedł dalej na dół. Burt wyrównywał grządki, pracując za rogiem domu.

Samotny, nie widziany, Thone schodził dalej. Ku temu miejscu, ku tej małej, wkopanej w zbocze strukturze z kamienia i gipsu. Ku tej świątyni! Ach, jeśli Belle została zamordowana, nie była to żadna świątynia, a jedynie ołtarz zła, zaś ona stała się złożoną na nim ofiarą.

Zbliżył się do drzwi. Za życia matki nie było tego składu. Stanowił on część nowego muru, który kazał wybudować tato. Te nowe drzwi były prawdziwą bramą fortecy, która miała strzec prywatności jego ojca.

Stał na zdrowej, lewej stopie. Stał blisko drzwi i wpatrywał się w nie, widząc, że nie są do końca zamknięte. Pozostawały uchylone, wspierając się na języczku zamka. Wyglądały na zamknięte, choć wcale zamknięte nie były.

Nagle, gdy tak tam stał, zaczęły się poruszać.

Na dole w składziku Ione pchnęła czubkiem buta klucz, by znalazł się nieco bliżej hałdy worków, które Burt przechowywał tutaj w kącie. Spojrzała na niego, przechylając w zamyśleniu swą białą głowę. Nie, tak będzie się błyszczał. Będzie odbijał światło. Zwłaszcza światło latarki. Przesunęła go nogą tak, że wsunął się pod worki. Tylko z samego brzegu, oczywiście. Metalowe kółko, wciąż przymocowane do klucza, zadźwięczało lekko w zetknięciu z samym kluczem. Kółko będzie

wyglądało tak, jakby wyslizgnęło się z tego w sakiewce na klucze. (To się przecież mogło zdarzyć, pomyślała. Już się zdarzyło.) No proszę. Całkowicie schowany, tyle że nie za dokładnie.

Kolejny szczegół...

Rozejrzała się po zakurzonej pomieszczeniu. Ślady stóp? Och, nie ma się czym martwić. Wszyscy tędy chodzili, i to dosyć często. A już najczęściej ona sama. Odciski palców? Nie, żadnych, nie licząc tych na klamkach, gdzie nie mogły budzić podejrzeń.

Nic, żadnych śladów palców na niewielkim przycisku z boku drzwi do garażu. Na małym przycisku, który wystarczyło wdusić, by stary zamek znowu zadziałał. Na małym przycisku, który ze względu na wygodę nigdy nie pozostawał wduszony. Ale był wduszony teraz.

Zanim powstał warsztat i cały ten mur, drzwi do garażu spełniały swoją funkcję ochronną. Wciąż mogły to robić. Choć klucz do nich wisiał na gwoździu w warsztacie, skąd nie był zdejmowany od lat, w razie, gdyby ktoś został uwięziony.

W razie, gdyby ktoś został uwięziony.

Nie będzie go ruszać. O nie. Niech sobie tam wisi i daje wrażenie bezpieczeństwa. Dawał je, gdy ktoś o nim wiedział. Gdy ktoś nie wiedział, cóż, był schowany całkiem dobrze.

Żadnych odcisków palców. Ani jednego.

Wytarła trzonek siekiery jednym ze starych worków. Narzędzie leżało teraz na ziemi, jak gdyby się przewróciło. Było brudne. Burt przez dłuższy czas go nie używał. Będzie wyglądało na to, że nikt go nie ruszał.

Rura od gazu została poluzowana na łączeniach tuż przy podłodze w najciemniejszym kącie. Ione nie musiała nawet zbyt wiele razy uderzać. Owinęła siekiere workiem. Po pierwsze, żeby stłumić odgłos uderzeń. Choć Burt i tak niczego by nie usłyszał. Był nieco głuchawy. A w wąwozie dźwięk potrafił zwodzić. Odbijał się echem i niósł się po urwistych zboczach, i nigdy nie było do końca wiadomo, skąd właściwie dochodzi. Po drugie, owinęła narzędzie, żeby nie zostawić żadnych śladów. I rzeczywiście, nie zostały żadne, które mogłaby dostrzec gołym okiem.

Rura, prowadząca tu z zewnątrz, mogła poruszyć się w ścianie i w ziemi, jak sądziła. Dlatego wysłała dziś Burta, żeby kopał w tym miejscu. Jego łopata mogła natrafić na metalową rurę. Miała nadzieję, że tak się stało. Bo wtedy, rzecz jasna, wyglądałoby na to, że to *on* uszkodził ten stary, nie używany przewód gazowy, zbyt niebezpieczny, by korzystać z niego tutaj, w ciasnym pomieszczeniu nie



posiadającym żadnej wentylacji, odkąd ścianę wykończono paskiem luksferów.

Jak dobrze się złożyło, że zaledwie trzy miesiące temu odkryła to stare ustrojstwo prowadzące z ogrodu i podjęła odpowiednie kroki...

Dopływ gazu, rzecz jasna, odłączało się na gorze. W domu. Zadbała o to. Z ogromną łatwością można było sprawić, by popłynął znowu.

Tymczasem, myślała z samozadowoleniem, jeśli coś pójdzie nie tak, jak się spodziewała i miała nadzieję, jeśli nie wszystko potoczy się całkiem gładko, cóż, wtedy gaz nie popłynie w ogóle i nikt nigdy nie dowie się o wszystkich tych przygotowaniach. Tak, lecz jeśli wszystko pójdzie dobrze, cóż to będzie za zagadka! Zagadka ludzkiego serca, ludzkiej duszy... Romantyczna historia młodej dziewczyny zagubionej we własnych marzeniach o pięknej, nieznannej, tragicznie zmarłej matce. Młodej dziewczyny, która na dodatek tak beznadziejnie zakochała się w zagadkowym, chłodnym, uprzejmym i powściągliwym Thonie. Tak czarującym i tak ze swego czaru słynącym. (To się przecież mogło zdarzyć. Już się zdarzyło. Tamta dziewczyna umarła, zginęła, zapisując swą śmierć na nieposzlakowane konto Thone'a. To był fakt, i to całkiem dobrze znany. Cóż za przekonująca historia.)

Będzie to więc po części wyjaśniona zagadka. Amanda oczywiście sama zażyje środek nasenny, będąc pod wrażeniem historii sprzed lat. Pojedynczą dozę, tak jak Belle. Nie żadną śmiertelną dawkę, nie, to by się mogło skończyć zbyt gwałtownie, zbyt wcześnie. Obawiała się takiej gwałtowności i towarzystwa. To się musi zdarzyć w odosobnieniu, daleko, w samotności, a wtedy zagadka, tajemnicza i odgadywana... Nie, na pewno wszyscy pomyślą, iż to sobie zaplanowała, że zostanie znaleziona tak jak matka. Matka, której namalowana podobizna wywoływała u niej łązy.

I cóż z tego, że Los zdecydował, iż musi zostać uwięziona nieco inaczej, że nastąpiła drobna zmiana w schemacie... Ach, kto by się tam domyślił czy nawet zaczął zastanawiać nad tym, że to tylko dlatego, iż tym razem całą sztuczką trzeba było zarządzać z domu. Bo nie było sposobu, Ione w każdym razie takiego nie wymyśliła, choć bardzo się starała, by wszystko wyglądało dokładnie tak samo.

Mimo wszystko czuła satysfakcję. Czuła wręcz miłe podniecenie. Nie musiała już nienawidzić Amandy. Prawdę mówiąc, zapomniała o nienawiści, zapomniała o cierpieniu z nią związanym, gdy tylko pochłoneły ją te małe przygotowania.

No cóż, nie ma powodów do cierpienia. Wzruszyła ramionami z uśmiechem. Tak, wszystko się uda, tak jak wtedy, przy czym wciąż będzie miała otwartą furtkę, gdyby jednak zmieniła zdanie i postanowiła się wycofać w ostatniej chwili. Ponieważ jej plan wychwytywał i wykorzystywał najzwyklejsze zbiegi okoliczności,

nikt się nigdy nie domyśli, że w ogóle istniał jakiś schemat. Na tym opierało się jej bezpieczeństwo. Właśnie w tym, w jej wielkim sprycie! Nie przejmowała się za bardzo policją. To oczywiste, że się tu pojawi.

Pomyślała, że ponieważ Tobias będzie rozpaczał, skupi się na tym, żeby go pocieszyć. Będzie więc zajęta. Policja przyjdzie i pójdzie. Ona będzie go pielęgnować i niewiele będzie miała do powiedzenia. Chyba że konieczne okaże się naprowadzenie stróżów prawa na podejrzenie tragicznych fantazji, jakie roily się w tej głupiutkiej, młodej główce. Zresztą Fanny im o tym powie. I Thone... A nawet te dziewczęta z przyjęcia.

Westchnęła. Nie, naprawdę nie przejmowała się zbyt policją. Wcześniej też przyszli i poszli. Nie była nawet przesłuchiwana. Z tego, co wiedziała, nigdy nawet im to do głowy nie przyszło...

Nie potrafiła nawet nazwać tego, co robiła.

Jeszcze jeden szczegół, pomyślała. Musiała teraz przejść przez drzwi do ogrodu, które zostawiła uchylone, wsparte na języczku zamka, żeby mogła wyjść z tej strony, jednocześnie pozostawiając klucz pod stertą worków; wyjść, zamknąć je za sobą i zabrać Burta, zabrać go w ogóle z ogrodu, żeby przypadkiem nie odkrył, szperając w warsztacie, iż drzwi do garażu są zatrzaśnięte. Nie, Burt i Elsie muszą sobie pójść, i to już, tam, gdzie chodzą służący, gdy mają wychodne.

Odwróciła się do drzwi i otworzyła je. I ujrzała plecy Thone'a, stojącego tam, wspartego na kuli zaledwie metr od niej.

– Thone, mój drogi! Ależ mnie przestraszyłeś! Wielkie nieba! – Sapała, próbując złapać oddech.

Odwrócił się do niej twarzą. Sam też wyglądał na przestraszonego. – Wybacz, Ione.

– Skąd ty... Jak zdołałeś zejść aż tutaj? Czy czegoś ci potrzeba? Mogłeś posłać Burta. Chciałeś tu wejść? – Zrewidowała wszystkie swoje plany, odkręciła wszystko w myślach, i to w ciągu sekundy. – O co chodzi? Mogę ci pomóc?

– Och, nie – odparł. – Niczego mi nie trzeba.

– Ależ, Thone. – Oddychała już nieco spokojniej. Tylko jej mózg pracował, aż w nim huczało. – Skoro zszedłeś aż tutaj, jestem pewna, że miałeś ku temu jakiś powód?

Rzekł ze znużeniem: – Jeździłaś gdzieś, Ione? Nie wiedziałem, gdzie jesteś.

Czy coś słyszał?

– Byłam w aptece – skłamała. – Ależ ja cię musiałam przestraszyć!

– To fakt – mruknął.

Nie, nie, niczego nie słyszał. Puściła drzwi, by te zaczęły się zamykać, powoli, ostrożnie. Gdyby wszedł i gdyby sprawdził drzwi do garażu... Musi sprawiać wrażenie, że nie ma nic przeciwko temu, by wszedł. Jeśli wejdzie... Za to jeśli *nie* wejdzie... Jej plan na przemian nabierał barw i je tracił. Chwiał się bardzo niepewnie.

Thone przemówił, doprawiając swój głos agresją, pochłonięty własnym planem oszustwa: – Musiałem wyzwolić się z obecności tej dziewczyny!

– Och, Thone. – Pozwoliła drzwiom zatrzasnąć się, bardzo delikatnie. Patrzyła mu w twarz. – Dlaczego, mój drogi? Co takiego zrobiła?

– Nic – odparł ze zboląłą miną. – Tata pisze listy. Zostaliśmy... sami.

– Biedny chłopiec – rzekła pod nosem. – To musi być takie denerwujące, to jej uczucie do ciebie.

– Nawet mi o tym nie mów. – Swoją kulą smagnął pobliski krzew.

– Nie, mój drogi. – Drzwi były już zamknięte. – Musimy zawołać Burta, żeby pomógł ci wejść. Pójdiesz chyba do domu, skoro wróciłam?

– Chyba tak. – I pokuśtykał kawałek ścieżką w górę.

– Spróbuj zachować cierpliwość – mówiła cicho Ione za jego plecami. – Nie sądzę, by Amanda jeszcze długo z nami pozostała.

– Tak... wiem. – Wyprostował ramiona.

Ione była całkiem zadowolona. Thone czuł się tak, jak ona sobie tego życzyła. To świetnie pasowało do jej planu. Wykonała jeszcze ruch, jakby chciała sprawdzić drzwi. Taki mały, ostateczny gest. Pozostawiła wszystko w takim stanie, jak chciała. Wyglądało na to, że plan się powiedzie. Przynajmniej na razie wszystko szło gładko.

Zawołała swym radosnym głosem Burta, a on wyszedł zza rogu i pospieszył na dół. Thone, podtrzymywany z obu stron, wspinał się z większym trudem, niż schodził w dół. Gdy dotarli już do domu, mówił nadzwyczaj głośno. (Mandy nie powinna już rozmawiać przez telefon. Powinna się już rozłączyć.)

– Nie mogę znieść tych jej spojrzeń! – wykrzyknął. – Bóg mi świadkiem, że staram się być uprzejmy...

– No już, ćśśś – uspokajała go Ione.

Mandy siedziała skulona w fotelu z książką. Podniosła głowę. Tobias wyszedł ze swego pokoju na hol. Nie rozróżniała słów, ale słyszała głosy i widziała, jak Tobias zastygł na sekundę. Wiedziała już, że wracają.

Nabrała powietrza w płuca. I wypuściła je powoli, z drzeniem. Ach, teraz, pomyślała, czeka mnie okropny czas, kilka najgorszych godzin. Tkwę w tym po

uszy. Muszę być bardzo opanowana.

I odłożyła książkę, uśmiechając się na powitanie, jak przystało na ślicznego gościa tuż przed lunchem w leniwe, spokojne, całkiem zwyczajne czwartkowe przedpołudnie.

## Rozdział 20

Jadalnia domu w wąwozie wychodziła na północny zachód, a jej zewnętrzna ściana tworzyła półkole i była cała przeszklona. Tam właśnie jedli kolację przy świecach. Zasłony nie zostały zaciągnięte, tak iż mogli obserwować, jak dzień umiera w oddali na szczytach gór, gdzie i tak wiódł swój żywot dłużej niż tutaj. Czwartek umykał na zachód. Był już pewnie nad oceanem. Wkrótce miał nim powędrować dalej.

Posiłek miał charakter bardzo swobodny, ponieważ nie było Elsie, która by go ugotowała i podała. Ione, siedząca na końcu stołu, napełniała ich talerze, czerpiąc z wielkiego rondla i jeszcze większej miski z sałatką. Dzierżyła chochle dumnie i elegancko. Siedziała prosto jak świeca, mając na sobie prostą sukienkę z lawendowego jedwabiu, przyozdobioną niewielkim białym żabotem. Białe włosy upięła wysoko, ukazując swe małe uszka, w których płatkach tkwiły dziś maleńkie ametystowe kropki. Ametystowe korale, staromodny fason, oplatały dość ciasno jej miękką szyję, spoczywając na miękkim, bladym, lekko pomarszczonym dekolcie, czystym i pachnącym. Jej policzki, a raczej skóra na kościach policzkowych była różowa, różowa jak u lalki. Ciemne oczy błyskały zadowoleniem w blasku świec.

Jakże słodko wyglądała! Słodka, cudowna, maleńka, stara Pani Mikołajowa i te jej różowe, czyste, zwawe, wciąż zajęte rączki!

Fanny, jak oznakowana stara papuga, która walczyła z upływającym czasem, a teraz postanowiła go zupełnie zignorować, odnosząc się do niego ze swego rodzaju łaskawą obojętnością, ubrana była w połyskującą czerń. Założyła też swoje diamenty.

Amanda miała na sobie prostą delikatną sukienkę, w której nie było nic szczególnego poza kolorem. Był to szkarłat, nasycona czerwień, barwa klejnotu, tak głęboka, tak pyszna i poruszająca sama w sobie, że Mandy nie wyglądała już jak dziewczyna, a zdawała się palić jasnym płomieniem. Zdawała się w nim kryć. Pochłaniał on ją i czynił z niej tak oślepiający widok, płonął tak mocno i wyraziście, że w pewnym sensie czynił ją niewidoczną. Tobias nie mógł oderwać od niej oczu. Jego wzrok nie chciał się od niej odkleić. Kolor zdawał się go więzić. W jego odbitej poświacie nie wyglądał już na tak znużonego i wyczerpanego.

Thone, siedzący po jej lewej stronie, tak że oboje mieli naprzeciw siebie Fanny, był nieobecny i zamknięty w sobie. Ledwo co spojrzał na Mandy. Nie istniała między nimi żadna komunikacja, jakby ktoś przeciął nagle wszystkie przewody.

Mandy wiedziała, że tak musi być.

Przekazali sobie jednak pewną zaszyfrowaną wiadomość. Przed kolacją padło pytanie i odpowiedź, kiedy to Thone, zerkając od niechcienia na wieczorną gazetę, wymamrotał coś, co wyglądało na zwykły komentarz:

– Ach, ci chemicy! Czym oni nas jeszcze zaskoczą?

A Mandy odpowiedziała tak niedbale, jak tylko potrafiła:

– Och, na pewno odkryją coś zatrważającego. Pracują bez wytchnienia. Za dnia i w nocy.

Thone nie odpowiedział, jak gdyby zlekceważył tę życzliwą odpowiedź. Temat podjęła jednak Fanny.

– Mam nadzieję, że wynajdą jakąś odmładzającą miksturę, nim będzie za późno. Muszę wam powiedzieć, że wściekłabym się chyba, gdyby spóźnili się o jedno pokolenie. Chciałabym być znowu w wieku Amandy. Jak Boga kocham, bardzo bym chciała!

– Och, sama nie wiem, Fanny – rzekła świętoszkowato Ione. – Chyba już zapomnieliśmy, jakich cierpień może przysporzyć młodość.

– No i dobrze – ucięła Fanny. – Czy czytałaś...

Fanny mówiła za nich wszystkich. Dzięki temu łatwiej było usiedzieć, gdy kolacja dobiegła już prawie końca i nieubłaganie nadciągała noc. Łatwiej było siedzieć tam w szkarłatnej sukience, słuchając, przytakując, uśmiechając się, jedząc, grając rolę uroczego, młodego gościa przy stole. A tak naprawdę czekając. I mając już pewność, całkowitą pewność, czym to czekanie miało się zakończyć.

Ione wyrzekła swą kwestię przed kolacją w kuchni, kiedy to Mandy, w jednym z wielkich fartuchów Elsie, pomagała, jak na młodego gościa przystało. Drąc w palcach liście sałaty, usłyszała to, czego się spodziewała, i przygotowała się na finał. Thone jeszcze nie był tego świadomy, lecz ona wiedziała. Z dumą myślała o tym, że jej dłonie jakby nigdy nic pracowały dalej. Nic nie zmieniło się w jej oddechu. Coś nastąpiło jednak głęboko w jej wnętrzu, coś zaskoczyło w umyśle i załatają fala ulgi, jak gdyby ta świadomość, ta pewność, miała być łatwiejsza do zniesienia, a nawet pokrzepiająca. Jak gdyby odwaga, która czekała w napięciu, aż będzie wykorzystana, została teraz uwolniona z uwięzi, by mogła zaistnieć, zacząć funkcjonować, przejąć nad nią kontrolę i... pozwolić jej z uśmiechem pognać naprzód tam, gdzie została popchnięta, i ułatwić jej to zadanie.

Ione zaczęła: – O jejkę! Chyba muszę pojechać na lotnisko! Nie powinnam... Ale to byłaby taka szkoda... Och, nie wypada – zawodziła – zostawić tak tych cudownych sadzonek, by zwiędły!

– A czyja nie mogłabym pojechać? – spytała Amanda. Tak słodko, tak ochoczo...

## Rozdział 21

Zebrały naczynia, przy czym Fanny tylko im kibicowała. Było już dość późno, gdy przeszły w końcu do atelier. Tobias siedział w swoim ulubionym fotelu. Fanny poruszyła węglami w kominku, by ogień lepiej się palił, mówiąc, jak bardzo go lubi, choć od razu wycofała się na odległy fotel stojący tyłem do długiego pokoju, i usiadła na własnej stopie, podkulając nogę, bawiąc się swymi diamentami.

Mandy zbliżyła się do jednego z foteli stojących po bokach obrotowego stolika i stała tam, wahając się z uprzejmości i obserwując panią domu. Ione przyniosła z kuchni szklanę mleka. Odezwała się ciepło:

– Zaraz przygotuję coś nam wszystkim. Toby, skarbie, chyba powinienesz... Pomóż mi, Amando.

Thone przykuśtykał do szerokiego okna. Pociągnął z sznurek, zaciągając zasłony. Stał teraz nieruchomo, opierając się na kuli, trzymając w dłoni brzeg bladego materiału, tworząc szparę w storach, jakby obserwował zapadający mrok, nim puści zasłonę i szpara zniknie.

Ione włączyła lampę nad barkiem w kącie pokoju.

– Fanny, napijesz się tego, co my wszyscy?

– Wypiję, cokolwiek mi podasz – odparła posepnie Fanny. Obserwowała swego drogiego przyjaciela Tobiasa, którego głowa spoczywała na oparciu fotela, którego twarz była tak blada i zmęczona. – Czy coś cię trapi, Toby? – spytała cicho.

– Nie, Fan. Nie. – Popatrzył na nią i wydawało się, że zaniepokoiły go jej słowa. Przez moment wyglądał na przerażonego.

Ione wróciła do barku i zdjęła z półki chloral. Ostrożnie wsypała go do mleka, wytrząsając z papierka, podczas gdy Amanda stała i obserwowała.

Na kominku strzelił ogień.

– Thone? – Dłoń Ione powędrowała do dobrze znanej butelki. – To samo, mój drogi?

– To samo – odparł sennie, nie odwracając się.

Ione podniosła butelkę, sprawdziła jej zawartość, skinęła głową i uśmiechnęła się do Amandy. A usta Mandy rozciągnęły się bez trudu i też uśmiechnęła się w odpowiedzi. Ione zdjęła z półki kieliszki. Cztery delikatne kieliszki na nóżkach. Napelniła jeden.

– Zaniosem tylko napój Toby'emu – rzekła. – Należesz, moja droga, pozostałym?  
Zabrała mleko i jeden likier.



Amanda stanęła przy barku. Patrzyła głupio na plecy Ione. Te nachyliły się z wdziękiem przed gościem.

– Fanny?

A następnie przed mężem.

– Wypij to, Toby. – Mała ręka dotknęła jego czoła w krótkim pieszczotliwym geście.

Fanny powąchała zawartość kieliszka i prychnęła. Amanda ledwo powstrzymała się przed tym, by głośno wciągnąć powietrze, i wzięła do ręki butelkę. Posłusznie robiąc wszystko, czego od niej oczekiwano, naląła trzy kieliszki likieru. Zamigotał w świetle.

Thone zdawał się rozmarzonym, nie skupionym wzrokiem spoglądać na noc za oknem. Lecz były to tylko pozory. Oczy miał wyostrzone i czujne. Widział barek, widział półkę, szklanki, cały oświetlony kącik odbity w szybie okna. Widział, jak Amanda bierze po jednym kieliszku w każdą rękę.

Ione doskonale odmierzyła czas. Już dreptała z powrotem. Pulchna mała kobietka i smukła dziewczyna minęły się.

– Dobrze, moja droga – rzekła Ione. – Thone? Nie usiądziesz?

– Hm... postawcie to, proszę, na stoliku – mruknął.

Zdawało się, że zмага się z kulą, która zaplątała się w dywan. Zasłona drżała w jego dłoni, lecz jeszcze nie opadła.

Znów przy barku, Ione po tym, jak szybko i z wprawą wsypała chloral do pozostałego kieliszka likieru, wydawała się krzątać, porządkując wszystko, odkładając środek nasenny na miejsce. Thone bardzo delikatnie puścił zasłonę. Wróciła miękko na swoje miejsce i ukryła lustro, w którym zobaczył to, na co czekał. Wystarczyła jedna dawka. Widział to. Teraz już miał pewność.

Już drugi raz, myślał całkiem spokojnie, Ione została podejrzana w okiennej szybie. To był jej słaby punkt. Nie wiedziała najwyraźniej, że szyba może służyć za lustro.

Odwrócił się. Mandy postawiła jeden kieliszek na okrągłym stoliku. Stała teraz, trzymając drugi w ręce. Zrobiła półobrót. Ione nadchodziła od strony barku z promiennym uśmiechem na swej serdecznej buźce i z pustymi rękami. O tak, to było sprytne. Niezwykle przebiegłe. I takie proste zarazem. Bo młoda dziewczyna nie odwróci się przecież do starszej od siebie osoby, a w dodatku pani domu, i nie zawoła: „Hej, zostawiłaś swój kieliszek na barku!”. Młoda dziewczyna powinna zapytać: „Zostawić to tutaj?“, tak jak zrobiła to Mandy, stawiając kieliszek na stoliku obok sofy, tam gdzie zwykle siadywała Ione. Młoda dziewczyna musiała umieć się

zachować, jeśli była dobrze wychowana. O tak.

Spotkały się. Ich drogi skrzyżowały się po raz drugi.

– Dziękuję ci, moja droga. – Ione dotknęła ramienia dziewczyny. Z wdzięcznością.

Czwarty kieliszek stał na barku i Amanda poszła go przynieść.

– Ten musi być mój – rzekła radośnie.

Thone starał się zapanować nad sztywniejącymi mięśniami twarzy. Podeszedł do stolika. Wiedział, co Amanda trzyma w dłoni, co niesie tak spokojnie przez pokój. Minęła Fanny i z uśmiechem zbliżyła się do fotela blisko Tobiasa. Odstawiła alkohol na okrągły stolik po swojej lewej stronie. Podciągnęła kolana, oplótła je rękami i siedziała tak, jak kiedyś siadywała Belle, i jak jej samej zdarzało się to teraz tak często.

Fanny popatrzyła na nią z niesmakiem. Bez końca obracała w palcach swój kieliszek.

Ione usadowiła się w swoim kąciku na sofie, a jej drobne stopki zwisały, nie dosięgając podłogi. Thone ruszył się i usiadł przy stoliku, na którym po obu stronach stały kieliszki, jego i Mandy.

Ione podniosła swój i mrugnęła do nich, do dwojga młodych ludzi. – No, Thone, pij. Wypijmy wszyscy. Za nas! – zaćwierkała.

Pociągnęła z kieliszka. Gdy to robiła, ani na moment nie przestała ich obserwować.

Jak do tego doszło? Jak to się stało, że siedzieli tu obok siebie, przygwożdżeni jej spojrzeniem, tak bezradni w obliczu tych nieporuszonych, czujnych oczu? Dłoń Thone'a objęła kieliszek. Musiała. Spojrzał ponuro na jego niewinną zawartość.

– Co wszyscy pijecie? – spytał nagle Tobias.

– Zwykły likier, Toby – uspokoiła go Ione.

Fanny zacisnęła usta, lecz nic nie powiedziała.

Panowało tu takie napięcie, te chwile ciszy, te przerwy zdawały się krzyczeć. Jak gdyby nerwy wszystkich napinały się i wrzeszczały z bólu. Tobias czuł ciężar na piersi. Ogarnęło go wrażenie, że gdzieś w tyle jego czaszki miało nastąpić pęknięcie. Jego mózg nie nadążał za intuicją. Był zagubiony. Jego myśli kołatały się bezradnie. Grupka ludzi przy kominku po kolacji. I tyle. Ale czemu tak...?

Ione odezwała się, zerkając dyskretnie na zegarek: – Amando, moja droga, tak sobie myślę, że chyba już czas. Nie powinnaś przebywać zbyt późno poza domem. Może powinnaś już... – Głowa Ione skłoniła się, pokazując, co ma zrobić, instruując.

– Oczywiście – odparła Amanda.

Rozplotła ręce. Jej stopy znalazły się na podłodze. Palce powędrowały do nóżki kieliszka. Musiały go podnieść. Musiały być posłuszne.

Weź to. Podnieś do ust. Wszystko już gotowe. Wszystko czeka. Wypij i idź umrzeć.

Thone siedział jak posąg. Fatalnie. Fatalnie. W tej chwili cała paskudna sprawa musiała wziąć w łeb. Oba spiski musiały zostać zdemaskowane. Ach, być tak blisko! Wiedzieć tak wiele i teraz zrezygnować! Ale nie mógł pozwolić Amandzie wypić tego świństwa. Nie mógł. Nie. Te wargi, do których zbliżał się brzeg kieliszka, te śliczne wargi nie mogły go nawet tknąć!

Tobiasz zapytał chrypliwie: – Dokąd wybiera się Amanda?

– Och, musi coś załatwić – odparła lekko Ione, po czym zwróciła się do Amandy:

– Weźmiesz samochód, moja droga, prawda? Czy wiesz, gdzie są klucze?

Jego oczy – oczy Tobiasza – prawie wyskoczyły z oczodołów. Jego ręka zadrżała. Mleko się przelało. Ściekało teraz po jego spodniach. Szklanka wyślizgnęła się ze słabnącego uścisku i spadła na dywanik.

## Rozdział 22

Ione krzyknęła. Amanda szybko i bardzo chętnie odstawiła kieliszek na stolik i zsunęła się z fotela, kucając, by podnieść toczącą się szklanę.

– Proszę, weź moją chusteczkę – rzekł spokojnie Thone. – Och, co za szkoda.

– Toby, kochanie! – zawołała zaniepokojona Ione.

Tobias patrzył w dół, na miękkie włosy Mandy, na jej śliczne plecy, głęboką barwę sukienki, na jej dłoń, wycierającą chusteczką Thone^ rozlane mleko.

– Strasznie was przepraszam – powiedział całkiem normalnym tonem.

Jego oczy wróciły na swoje miejsce. Myślał: Nikt z nich tego nie widzi! Nikt nie pamięta. Nie wolno mi teraz wspominać o Belle. Bo nikt z nich nie jest świadom tej symetrii. To zbieg okoliczności. Tylko mnie wszystko wydaje się takie same.

Fanny była po prostu wściekła. Jej oczy ślizgały się gniewnie po plecach Mandy.

– Weź lepiej swój środek nasenny, Toby, i idź do łóżka. Jesteś roztrzęsiony. Musisz wypocząć.

Przeniosła swe gniewne spojrzenie na Thone'a.

– Przyniosę drugą szklanę mleka – powiedziała Ione, rozglądając się w popłochu dokoła.

Pospieszyła do kuchni. Jej drobne stopy dreptały nerwowo. Niemal biegła.

Mandy, wciąż klęcząc, ścierała plamę. Tobias, biorąc w dwa palce nogawkę spodni, podniósł się nieco z fotela.

Wzrok Fanny ciskał błyskawice. – Nie wypiję tego! – powiedziała.

Lecz Thone nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Postawił swój kieliszek anyżówki na stoliku po stronie Mandy. Zabrał alkohol przygotowany dla niej. Trzymał go tak, jakby był przeznaczony dla niego. Siedział całkiem spokojnie, a na jego usta zakradł się dziwnie triumfalny, słaby uśmiech.

Fanny odezwała się niskim, zduszonym głosem: – Thone, na miłość boską...

Podniósł wzrok. Twarz Fanny, tak wprawna, tak wyćwiczona, tak zdolna pokazać wszelkie uczucia zdradzała teraz absolutne zdumienie. Po chwili strach. Oszołomienie i ból. A na końcu panikę.

Och, nie! Jęknął w duchu. Jego uśmiech znikł. W świadomości Thone^ nie pozostał po nim nawet ślad. Fanny zaraz coś wypapla. Powie coś, zapyta. Fanny widziała, co zrobił, i zaraz wszystko zepsuje! Akurat teraz! Teraz, gdy mu się udało. Gdy Mandy była bezpieczna, wszystko szło dobrze i można było działać dalej. Gdy ujarzmił niebezpieczeństwo, a w wąwozie czekał Gene i wkrótce mieli się

dowiedzieć... Wbił w nią wzrok. Poruszył ustami. Zrobił minę, która miała oznaczać „cicho sza”.

Na próżno. Fanny zaraz wszystko zepsuje, chyba że... Poruszył kulą. Odstawił kieliszek, żeby wziąć ją do ręki. Nie, nie mógł wstać i iść do niej. Wyglądałoby to nienaturalnie. Zamiast tego skinął, by podeszła.

Fanny usłuchała. Wstała i podeszła do niego, urzeczona, zafascynowana, gotowa przynajmniej przez chwilę milczeć i słuchać.

Mandy, nadal klęcząc, ścierała mleko. Pocieszała Tobiasa, mówiąc coś o plamie.

Thone obrócił się w fotelu i chwycił Fanny za rękę. Farbowana na rudo głowa pochyliła się. Thone wyszeptał:

– Spokojnie. Nie komentuj tego. Później ci wszystko wyjaśnię. Fanny, jeśli mnie kochasz...

I w tym momencie Tobias, pólsiedząc na siedzisku fotela, z nogawką spodni w palcach lewej ręki, drżącym prawym palcem wskazującym obrócił blat stolika. Obrócił okrągły blat. Po cichu, nie widziany przez nikogo, nie widziany przez klęczącą Mandy, nie widziany przez Ione, która spieszyła właśnie z kuchni, blat przekręcił się. Kieliszki jak w staromodnym tańcu wykonały majestatyczną figurę, podążając jeden za drugim po obracającym się brzegu. Zamieniły się miejscami.

Mandy rzekła: – No, chyba wystarczy. – Usiadła na piętach.

Fanny przywdziała na twarz maskę. Prześlizgnęła się obok Thone<sup>^</sup> i nachyliła się, jakby chciała sprawdzić.

– Rzeczywiście, moje dziecko, chyba wystarczy.

Tak ustawieni ukazali się ciemnym oczom drepczącej z powrotem Ione, która rzekła radośnie:

– Nic się nie stało. Absolutnie nic. Zaraz ci przygotuję napój, Toby, kochanie.

Gdy niosła świeże mleko do barku, Tobias opadł z powrotem na fotel. Mandy podniosła się.

– Na litość boską – odezwał się Thone, kręcąc się z poirytowania – niech już wszyscy siadają. Mandy, pij swój likier. Przecież Elsie może to doczyścić, prawda?

– Oczywiście, że tak – odparła pogodnie Ione. – Zresztą po cóż biadolić nad rozlanym mlekiem. – Zaśmiała się dzwięcznie.

Tobias tkwił w fotelu tak, jak na niego opadł. Był chory... chory... Nikomu nie wolno wyjść z tego domu po wypiciu alkoholu z podejrzanego kieliszka. Nikomu. To przekonanie zrodziło się w nim jak impuls. Ale on był chory... Nie był w stanie trzeźwo myśleć. Zaplątał się jakimś sposobem w wydarzenia z przeszłości. A to pozbawiło go jasności widzenia.

Thone, którego w głębi serca nazywał Tym Chłopcem, jak gdyby był najdoskonalszym z młodzieńców, jak gdyby zalety całego pokolenia cudownej męskiej młodzieży skupiły się w tym chłopcu, jego ukochanym synu – Thone nie mógł wyrzucić żadnej krzywdy. To nic, że zamienił tak szybko, tak przebiegle kieliszki na oczach zdumionego Tobiasa. Nie, to nic nie znaczyło. To nie mogło nic znaczyć.

Nie mógłby wsypać żadnej podejrzananej substancji do żadnego z tych kieliszków. Nie Thone! Och, nie! Nigdy!

Należało tylko poczekać, by się przekonać. Przekonać się, że to bez sensu. Bo sam Thone napije się z tego podejrzanego kieliszka i zostanie w domu, we własnym pokoju. A on, Tobias", będzie obserwował, jak nic się nie dzieje, i będzie wiedział, że zareagował jak stary głupiec. Przerażony, stary głupiec, rozgorączkowany wspomnieniami, przypisujący horror z przeszłości teraźniejszemu... nic.

Bo Thone nie mógłby chcieć krzywdy Mandy, słodkiej, ślicznej Mandy. Słowa, które Tobias słyszał padające z jego ust, nie mogły się odnosić do Mandy. Nie móc znieść jej spojrzeń? Gardzić nią za to? Nie, nie Thone, który miał tak szczodre serce swojej matki. Nie Thone, który na pewno, na pewno... Och, ależ ze mnie głupiec! Mieć Thone'a za małego człowieczka zdolnego do nienawiści; ograniczonego i zdolnego do pogardy; głupiego na tyle, by zaatakować; zaślepionego gniewem...

Ach, jeśli chłodno traktował to dziecko, to tylko przez tę dawną aferę, przez tę inną dziewczynę, która zraniła go i wystraszyła tak, iż już nigdy nie ośmielił się być do końca sobą. Tobias to rozumiał. On to wszystko wiedział. Wiedział bardzo dobrze. On znał przecież Tego Chłopca.

Żałował teraz, że pod wpływem impulsu zamienił kieliszki. Pożałował swojej paniki, chwilowej utraty wiary. Trzeba było wierzyć!

Wierzyć w Tego Chłopca. Tego mężczyznę... dorosłego i tak powściągliwego...

Zaczął dygotać. Ach, Boże, nie wystarczyło... Brakowało mu wiary... odkąd ona od niego odeszła. Był taki zagubiony, zagubiony, odkąd odebrała mu swoje życie. Od tamtego dnia niczego już nie rozumiał. Niczego. I sam stał się niczym, gdy odeszła z tego świata w tak tajemniczy i okrutny, jakże okrutny sposób. Stał się jedynie nerwowym, roztrzęsionym, starym głupcem, który powinien był umrzeć nie tuż po niej, ale krótko przed nią...

– Toby, mój drogi! Ty masz dreszcze!

Ach, jakże był pusty i zagubiony, tylko Ione mu pozostała i na niej tylko mógł się oprzeć.

– Nie wiem – powiedział. – Ione, ja nie wiem.

– Spokojnie, tato – rzekł cicho Thone.

Dreszcze ustały.

– No już, najdroższy. Twoje mleko, proszę. – Ione zbliżyła się do niego. – Nic mu nie będzie – zapewniła resztę.

Amanda z westchnieniem wzięła swój kieliszek.

– Oczywiście, że nie – potwierdziła Fanny.

Jej twarz pozostała niewzruszona, lecz ciało jakby skurczyło się w fotelu.

## Rozdział 23

Amanda nieco się rozluźniła. Wiedziała już, że wszystko będzie dobrze. Niedługo wstanie i wyjdzie z tego pokoju, i najgorsze będzie miała za sobą. Przynajmniej będzie sama. Nie będzie musiała bez przerwy się uśmiechać, rozluźniać mięśni, gdy te się napinały. Pociągnęła z kieliszka.

Pomyślała: Co też strach potrafi uczynić! Alkohol wydał jej się wyjątkowo mocny i smakował wyjątkowo wstrętnie. Gdyby nie wiedziała, gdyby Thone nie przekazał jej zaszyfrowanej wiadomości, mówiąc, żeby piła swój likier... Gdyby nie miała pewności, że dokładnie o to mu chodzi... Musiała bardzo się starać, żeby się nie skrzywić i nie zacisnąć gardła, by zatamować dopływ tego paskudztwa. Cóż, przynajmniej był to już ostatni raz, absolutnie ostatni raz, kiedy musiała pić tę całą anyżówkę i udawać, że jej smakuje.

Oczywiście zrobił to, kiedy rozlało się mleko. Ona zapomniała o wszystkim i rzuciła się na kolana, by zająć się Tobiasem i plamą, by pomóc, jak tylko była w stanie. Domyślała się, że to ogólne napięcie wytrąciło Tobiasa z równowagi, sprawiło, że upuścił szklanekę. Nie było jednak czasu, by zbyt długo o tym myśleć.

Jeszcze tylko minutka, żeby wdusić to w siebie, nie zważając na ciemne, chytre oczy, które przez cały czas na sobie czuła. A wtedy wyjdzie. Ucieknie stąd, odetchnie świeżym powietrzem, zejdzie na dół, pozwoli sobie w mrocznej samotności na małe kołatanie serca lub nerwowe zaciśnięcie pięści.

Wypiła likier najszybciej, jak mogła, i wstała z pieczeniem w gardle.

– Lepiej już pojadę.

– Tak, moja droga. Będą w przechowalni bagażu na moje nazwisko. Klucze są w holu, Amando.

– Muszę się pożegnać. – Amanda знаła dobre maniery. – Dobranoc, panno Austin. Dobranoc, panie Garrison. Dobranoc... wszystkim.

– Dobranoc – odparła krótko Fanny.

Tobias posłał jej tylko słaby uśmiech. Jego oczom przedstawiała się jedynie jako szkarłatna plama.

Thone odezwał się lekkim tonem: – Pojechałbym z tobą, ale ta nieszczęsna stopa... Musisz mi wybaczyć.

– Och, naprawdę dam sobie radę – odparła Mandy, niemal zbyt szybko.

– Włączę oświetlenie w ogrodzie – rzekła uprzejmie Ione. – Ale musisz też wziąć moją latarkę, drogie dziecko. Nie chcę, żebyś się potknęła.



– Och, nic mi nie będzie – zapewniła Mandy z radością. – Dobranoc. Dobranoc. Jak miło będzie się stąd wyrwać!

Ominęła sofę, pokonała stopień, ze stolika w holu wzięła klucze i czarną latarkę, chwyciła z krzesła wełniany żakiet i torebkę. Ione podążyła za nią.

– Zaczekam na ciebie – rzekła łagodnie mała pani. Jej oczy patrzyły współczująco, niemal życzliwie.

– Dziękuję.

– To ja ci dziękuję, moja droga. Jesteś słodka, że zgodziłaś się to dla mnie zrobić.

Amanda zdobyła się na jeszcze jeden, ostatni uśmiech. Postawiła nogę na schodach.

Ione nasłuchiwała jej pospiesznych, nerwowych kroków w dół. Następnie przeszła prędko do kuchni, by włączyć... oświetlenie.

W dole wąwozu Gene Noyes opierał się o pień platanu. Zostawił swój samochód dość daleko stąd, w pobliżu czyjegoś domu, tak by wyglądało na to, że tam właśnie poszedł. Idąc w głąb wąwozu, bez trudu odnalazł garaż. Wpatrywał się w białą plamę, jaką tworzył w ciemności. Miał ochotę zapalić, lecz pomyślał, że lepiej tego nie robić. Ze swego miejsca, gdzie opierał się o drzewo po drugiej stronie drogi, widział niewyraźnie oświetlony dom, ale prowadząca w dół po zboczu ścieżka pozostawała prawie niewidoczna. Mur i wierzchołki drzew zasłaniały jej dolny odcinek.

Zmarzł, tak czekając. Lecz nie minęło wiele czasu, gdy zobaczył, że w ogrodzie robi się jasno. Reflektory umieszczone na rogach domu sprawiły nagle, że na terasach, w całym ogrodzie, na ścieżkach zrobiło się widno jak w dzień. Listowie i kwiaty ukazały swe przejmujące, tajemnicze piękno. Gene widział jedynie górną część tej baśniowej krainy. Resztę stanowiła tylko bijąca zza muru poświata.

Przyłgnął do drzewa. Wówczas to spostrzegł, że jakiś samochód sunie powoli drogą w jego stronę, jadąc bardzo cicho i z przyćmionymi światłami. Był to wóz policji.

Kryjąc się i przemykając poboczem drogi, wybiegł mu na spotkanie.

– Stop – rzekł, dysząc. – Proszę posłuchać.

Auto zdawało się słuchać. Przynajmniej się zatrzymało. Porucznik Kelly wstawił głowę. – Kim pan jest?

– Miałem tu obserwować. A pan?

– Garrisonów?

– Tak.

– Ja też – rzekł Kelly. – O co tu, u diabła, chodzi?

– Nie wiem – odparł Gene. – Właśnie zapaliły się światła. Może lepiej, żeby pan... Samochód jakby cofnął się nieznacznie, posuwając się cicho jak kot.

– Zdawało mi się, że widziałem, jak ktoś wychodzi z domu – wyszeptał policyjny kierowca, odwracając głowę.

– Tak? – Kelly spojrzał w górę. Przegapił to, cokolwiek to było. – Niech mi pan powie, co pan wie.

– Mandy... Amanda Garth...

– Znam ją.

– ...zadzwoiła do mnie – zaczął Gene, przetykając głośno ze zdumienia. – Tam się dzieje coś dziwnego. Jakaś kobieta chce załatwić tego... hm... syna. Tak mi przynajmniej powiedziała Mandy.

– Syna, tak?

– Tak. W garażu. Jeśli usłyszę silnik, mam...

– O tym akurat wszystko wiem.

– A ja nie – przyznał Gene. – Mandy uważa, że uda im się ją przyłapać na jakimś gorącym uczynku.

– Cholerne, głupkowate dzieciaki! – rzekł Kelly z niesmakiem. – Co też im chodzi po głowach? – To nie było pytanie. To była uwaga.

Gene wzruszył ramionami. Spojrzeli w stronę poświaty.

– Zaczekaj chwilę – zwrócił się Kelly do swego kierowcy. – Później podjedziemy bliżej i przyjrzymy się. Poczekamy i zobaczymy, czy te światła nie zgasną. Tymczasem lepiej wyłączmy nasze.

Kierowca przekreślił włącznik. Samochód zatonął w ciemności. Gene oparł się o błotnik.

– Może powinienem podejść bliżej – rzekł nerwowo.

– Proszę czekać.

– Słucham?

– Ona ma zejść tutaj i przymocować wrota.

– Aha.

– Niech więc to zrobi – powiedział ponuro Kelly – jeśli ma taki zamiar. Jeśli chodzi o mnie, będę bardzo zdziwiony.

Trzy pary oczu obserwowały z oddali białe lśnienie garażowej bramy. Noc była cicha. W pewnej chwili wydało im się, że usłyszeli coś nienaturalnego. Ale tu, na dole, dźwięk zachowywał się dziwnie. Podnieśli wzrok na zbocze przed sobą. I,

rzecz jasna, niczego nie zobaczyli.

Mandy wyszła z domu dolnymi drzwiami. Zadrżała w nocnym powietrzu. Czowała na twarzy gorąco – nie, nie gorąco. Zimno. Mąciło jej się w głowie. To ta nagła ulga, pomyślała, sprawiła, że czuje się tak dziwnie. Spróbowała odetchnąć chwilę i spieszyć dalej. Zdawało się, że nie może zaczerpnąć powietrza, nie tyle, ile potrzebowała.

Ale reszta przecież była łatwa. Wystarczyło teraz tylko zejść, zrobić to, czego od niej oczekiwano, wykonać wszystkie posunięcia, wyjść na spotkanie przeznaczeniu. Może nawet w dogodnej chwili powinna udać, że zemdlała? Pomyślała: O Boże, jestem przerażona. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam. A jednak jej serce nie waliło w szaleńczym tempie. Zamiast tego zdawało się, że bije coraz wolniej.

Przygryzła wargi. Musi tam dotrzeć. Nie może przecież teraz zemdleć, naprawdę zemdleć przedwcześnie z głupiego strachu. Nie może teraz upaść. Ze słabości, ze zwykłego przerażenia. Nie. To minie, powiedziała sobie. To minie.

Aby pokonać słabość, trzeba było jedynie robić to, co do niej należało, i nie zważać na emocje. Skupiła się. Ścieżka jawiła się wyraźnie w świetle lamp. Mandy nawet się nie potknęła.

## Rozdział 24

Thone odstawił kieliszek z likierem na stół. Niech tam sobie stoi i czeka, aż zostanie wykorzystany do jej oskarżenia, gdy przyjdzie właściwa pora.

Właśnie teraz, przez kilka następnych minut należało ją obserwować. To był decydujący czas. Ona musiała działać. Musiała wypełnić schemat.

Co zrobi Ione? Czy przypomni sobie, że musi wysłać parę listów? Czy przeprosi i wyjdzie, nie podając powodu, dając im do zrozumienia, że należy on do takich, o których się nie mówi?

Wciąż była gdzieś koło kuchni. A może wcale nie?

Żałował, że nie może minąć łukowego przejścia i zajrzeć tam. Oczywiście nie mógł się w ogóle ruszyć z fotela. Ta stopa... Nie miał powodu. Posłał Fanny szeroki uśmiech, choć ledwo co ją dostrzegł.

Mandy była teraz w drodze do garażu, szła przez ogród. Właśnie w tej chwili. Pomyślał sobie: Lepiej, żeby ten jej chemik już tam był. Minuty lecą.

Gdzie była teraz Ione? Co robiła? Czy wymknęła się już z domu? Czyżby zamierzała to zrobić tak zwyczajnie?

Musiał to wiedzieć. Podniósł się z fotela.

W przedsionku dla dostawców Ione wyteżała wzrok z policzkiem przyklejonym do szyby, by dojrzeć coś w dole za wybruszoną ścianą jadalni. Ten krótki błysk czerwonej sukienki przesuwającej się po zboczu. To ona! Jak to dobrze, że wybrała sobie taki kolor! O, znowu mignęła, pokonując zygzakiem swą drogę. Płynnie posuwała się w dół. Zbliżała się do...

Teraz wystarczyło tylko, by przeszła przez te drzwi, pierwsze drzwi.

Teraz tylko to było konieczne. Fortuna toczyła się kołem. A to koło już wkrótce miało się zatrzymać. Czy środek nie pozbawi jej przytomności zbyt szybko? Czy zdoła wprawdzie dotrzeć do drzwi i przez nie przejść? Ach, niech więc jeszcze raz zadziała ślepy los, jeszcze ten ostatni raz, a potem...

Dostrzegła czerwoną sukienkę daleko w dole. Zobaczyła, jak znika. Wstrzymała oddech, dopóki nie wydało jej się, że widzi światło przebijające przez luksfery w ścianie składziku, wydobywające z mroku zarys budynku.

Owinęła dłoń ręcznikiem i podłożyła ją na zaworze gazowym. Stawiał opór. Ale się przekreślił.

Następnie wrzuciła ręcznik do zsypu, którym miał powędrować do pralni w piwnicy.

Poruszyła palcami. Dotknęła ametystowych kolczyków. Och, biedny Toby, pomyślała ze smutkiem. Ach, biedny, kochany Toby. Muszę być silna, by dać mu wsparcie. Rozpaczliwie będzie mnie potrzebował.

Usłyszała stukot kuli na linoleum w kuchni za swoimi plecami. Jej dłoń powędrowała do włącznika oświetlenia ogrodu. Obróciła głowę, spokojnie, by spojrzeć na Thone'a przez ramię z umiarkowanym zdziwieniem. Zbliżał się, kuśtykając.

– Muszę napić się wody – rzekł posepnie.

– Mój drogi, trzeba było zawołać – skarciła go lekko.

Nacisnęła na pstryczek i jasność za oknami stopniowo wygasła. Tylko przez ścianę składziku wciąż prześwitywało światło. Ione całą swą uwagę zwróciła teraz na dom. Ruszyła żwawo z przedSIONKA dla dostawców do kranu z zimną wodą w kuchni.

– Sam mogę się obsłużyć – rzucił z rozdrażnieniem Thone. – Nie jestem kaleką.  
– Podeszedł do kranu.

Ione cofnęła się delikatnie. – Przepraszam – rzekła. – Obawiam się, że lubię robić niepotrzebne zamieszanie, sam wiesz.

Był taki wysoki. Musiała zadzierać głowę, by na niego spojrzeć.

– Taka już jestem – westchnęła. Jej palce bawiły się ametystami wokół szyi.

Thone, patrząc z góry, pomyślał: Taka, to znaczy jaka?

Nie potrafił jej zrozumieć. Ogarnęło go dziwne uczucie, jakby spadał, leciał coraz niżej; było to uczucie głębokiego rozczarowania.

Mandy wetknęła torebkę pod pachę i grzebała w sakiewce. Po omacku znalazła klucz właściwych rozmiarów. Nim zdążyła włożyć go do dziurki, drzwi poruszyły się przy delikatnym nacisku dłoni na klamkę. Zapomniała. Manipulując latarką, znalazła na niej przycisk. Jeśli nawet w warsztacie był gdzieś włącznik światła, to ona nie wiedziała gdzie. Latarka zabłysła i snop jej światła zadrzał na podłodze.

Weszła do środka, a drzwi działające na zasadzie jakiegoś sprężynowego mechanizmu, gdy tylko je puściła, wróciły cicho na swoje miejsce i zatrzasnęły ciężko za jej plecami.

Zdała sobie sprawę, że dziwny, zniewalający strach wciąż krążył po jej krwiobiegu. Miał ją teraz w garści. Czowała go w gardle. Ćmił jej wzrok. Spłycał oddech. Zdawał się syczeć w uszach.

Jej nozdrza zadrzały. W tym pomieszczeniu zdecydowanie czuć było gazem.

Światło zamigotało na drzwiach do garażu. Podeszła do nich, czując słabość,

szurając nogami jak ktoś bardzo stary. Jej strach jak na razie koncentrował się na tym, co znajdowało się za tymi drzwiami. Jednak one nie chciały się otworzyć. Ujęła klamkę w kształcie gałki w obie ręce, przekreśliła ją i szarpnęła. Nic z tego. Musiał je trzymać jakiś zamek. Otworzyła sakiewkę z kluczami. Ręce tak jej się trzęsły, że prawie nie mogła jej utrzymać. Wypróbowała znaleziony klucz.

Czuła się bardzo dziwnie. Coś syczało za jej plecami. Bynajmniej nie w jej wyobraźni. Klucz nie pasował. Ani ten, ani drugi podobnych rozmiarów. Nie było klucza do tych drzwi!

Z powrotem! Wydostać się stąd!

Strach jak widmo, jak duch syczał się przez ścianę, przenikał przez zwarte cegły z garażu na tę stronę. Skupił się teraz w składziku. Osaczał ją ze wszystkich stron.

Syczący dźwięk wydawał ulatniający się gaz.

Z powrotem! Wydostać się stąd!

Powłócząc nogami, ruszyła do drzwi do ogrodu. Były zamknięte. Zamknięte na zamek.

Klucze zabrzęczały w jej dłoni. Próbowwała wziąć się w garść, twardo, w rozpaczliwym przyływie odwagi.

Ale nie mogła znaleźć klucza. W sakiewce nie było takiego, który by tu pasował. Te, które miała, do niczego się nie nadawały.

Została uwięziona? Musiała więc zakreślić gaz! Szybko! Podążyła za sykiem w kąt pomieszczenia. Wreszcie padła na kolana. Ale nie znalazła żadnego zaworu. Gaz nie syczał się z palnika. Jej ręce na nic się tu nie zdadzą. Nie miała jak powstrzymać jego wypływu.

Wyciągnęła się, by uderzyć latarką w luksfery. Ale to nie były zwykłe szyby okienne. Od jej słabych ciosów nawet nie nadpękły. To wszystko na nic.

Krzyknęła. Brakowało jej jednak tchu, by zrobić to głośno.

Usiłowała dostać się z powrotem do drzwi do ogrodu i walić w nie, narobić hałasu, tak by umarli z grobów powstałi. Jednak po jej ciele rozeszła się z wnętrza ciemna, szybka fala, pozbawiając ją resztek sił. Załkała raz cicho, żałośnie jak zmęczone niemowlę.

Latarka upadła na podłogę obok niej. Stukła się, spadając. Panowała więc ciemność i absolutna cisza. Tylko gaz szeptał po cichutku, nieustannie.

## Rozdział 25

O, światła – rzekł Gene. – Ktoś je właśnie wyłączył.

– Tak. Spokojnie.

– Niech pan posłucha, myślę, że powinniście wysiąść z wozu i pójść dalej pieszo.

– Może i ma pan rację. Chociaż nikt wtedy nie będzie nas krył tutaj.

– Autem narobicie tu, pod wzgórzem, mnóstwo hałasu.

– No to trzymajmy się drogi. Po wewnętrznej. Trzymajmy się muru.

– Dobra.

– Ruszamy.

Przemknęli jeden za drugim przez pustą drogę. Stanęli tuż pod murem Tobiasa. Nasłuchiwali. Cisza.

Kelly poszedł pierwszy. Stapał miękko po nierównym gruncie, robiąc tak niewiele hałasu, jak to tylko było w przypadku człowieka możliwe. Za nim podążał Gene, na palcach i nie tak pewnie. Kierowca włókł się z tyłu. Skupili się jeden obok drugiego za dziko rosnącym krzewem.

Z garażu nie dochodził żaden dźwięk. Stał on tam jak gdyby nigdy nic wepchnięty w zbocze, przysadzisty, dźwigając na sobie w milczeniu wzniesiony pół kondygnacji wyżej garb składziku.

Nic nie widać. Nic nie słysząc.

Kelly mruknął zniecierpliwiony i wyszedł śmiało zza krzaka. Podeszedł prosto do bramy garażu i sprawdził ją. Była zamknięta, solidnie zabezpieczona. Wrota nawet nie drgnęły. Oparł głowę o pokrytą farbą powierzchnię. Cisza. Albo za tą bramą nie chodził żaden silnik, albo on nagle stał się głuchy jak pień.

Jego twarz skwasiała się w ciemności. – Ech – mruknął.

– Może jeszcze za wcześnie. – Gene'owi rwał się oddech.

– Zmienili zdanie, co? – odezwał się kierowca. – Nic się nie dzieje?

– Świry! – wzburzył się Kelly.

Ruszył drogą w stronę samochodu. Pozostali dwaj mężczyźni podążyli za nim. Kierowca pewnie, Gene potykając się.

– Niech pan posłucha.

Kelly stanął, ale nie słuchał. Brak szacunku dla jego służby, fakt, że go wykorzystano, tylko o tym był w stanie teraz myśleć.

– Może pan tu zostać, jak pan chce – powiedział.

– Chyba... chyba tak zrobię – odparł Gene.

Czuł się podenerwowany. Nie wiedział dlaczego. Nie chciał, by policjanci odjeżdżali. Nie przychodził mu jednak do głowy żaden powód, dla którego mieliby zostać.

Kelly wsiadł szybko do policyjnego wozu. Odezwał się w zamyśleniu:

– Może wrócimy tu jeszcze za pół godziny, za godzinę. Pan tu... hm... jak rozumiem, zostaje.

– Tak – odparł Gene. – Przez jakiś czas. – Przełknął głośno.

– W porządku. Więc teraz to już pańskie zadanie.

Policyjny samochód odjechał. Dotarł do zamkniętego końca wąwozu, zawrócił, zbliżył się i minął Gene'a. Gdy odjechał kawałek i nabrał prędkości, włączył reflektory, zmierzając do wyjazdu.

– Jak to pan ich nazwał? – spytał kierowca.

– Świry! – odparł El Kelly. – Dorwę te dzieciaki jutro, dorwę oboje i dowiem się, co, u diabła, miało się ich zdaniem wydarzyć.

– Ale się nie wydarzyło – zauważył radośnie kierowca.

– Nie – przyznał El Kelly. – Nie wiem, czego się spodziewali, ale źle to sobie wykombinowali.

Gene stał na jednej nodze. Żałował, że nie ma skąd zadzwonić. Pomyślał, że może zdołałby zakraść się na wzgórze od frontu i zajrzeć przez okna. Przyszło mu jednak do głowy, że lepiej tego nie robić. Lepiej zostać tutaj. Tu, gdzie sama kazała mu czekać. Wrócił pod platan. Pomyślał: Niech to wszystko diabli porwą! Jak tylko ją dorwę... Ja, tych jej policjantów i złodziei!

W wielkim atelier na górze cała czwórka zgromadziła się wokół ognia.

Ione w swoim kąciku na sofie zaczęła robić na drutach. Palce miała zajęte. Drobne stopy poruszały się od czasu do czasu, zwisając nad podłogą, gdy spoglądała ponad okularami, które tak rozkosznie, a zarazem absurdalnie wyglądały na jej słodkim nosku. Zerknęła na Tobiasa. Zdawała się obserwować go ukradkiem.

Nie pił swego mleka. Nowa szklanka stała na bocznym oparciu jego fotela, opleciona jego dłonią. Wyglądało na to, że o niej zapomniał. Cóż, ona nie będzie mu przypominać. Bo będzie potrzebował tego napoju, i to dużo bardziej, chwilę później.

Kiwała w milczeniu głową i spokojnie robiła na drutach.

Fanny wydawała się sztywna. Jej głos nie milkł. Opowiadała hałaśliwie jakąś historię. Płynęła ona bez udziału jej świadomości jak z gramofonowej płyty. Jej



przenikliwe spojrzenie nie opuszczało Thone'a. Niczego nie rozumiała, ale go kochała. Trzymała więc na wodzy, pod ścisłą kontrolą narastający strach, który ją ogarniał. Zwątpienie, zaciekawienie, zbitkę wspomnień i zdumienia, potworne, nieprawdopodobne podejrzenia. Obserwowała go ukradkiem. Był taki spięty, całkiem jakby na coś czekał!

Walczyła ze sobą, by nie słyszeć własnego pytania. Na co – och, na co! – czekał Thone?

Tobias tkwił w fotelu. Czuł, że gdyby spróbował, nie zdołałby poruszyć głową. Nie zdołałby unieść ręki ze szklanką. Już nigdy się nie poruszy. Czuł się taki wąty, uszła z niego cała siła. Opartą głowę trzymał obróconą tak, że widział kieliszek likieru tuż przy dłoni Thone'a. Thone nawet go nie tknął. Jeszcze nie.

Tobias nie ruszy się stąd, dopóki się nie przekona. Dopóki nie pozna dowodu... Był słaby... słaby... Nie miał siły ani ufności, by wypić swoje mleko. Musiał – Boże, wybacz ten brak wiary! – zobaczyć, jak Thone pije likier. Musiał zobaczyć, że kiedy to zrobi, nic się nie wydarzy.

Pragnął, by chłopiec już się napił, poszedł do siebie i go uwolnił. Nie mógł się odezwać, by to zasugerować... Tkwił w swoim fotelu.

Thone myślał: Zrezygnowała. Co się stało?

Myślał: Jeśli nic się nie stało, jeśli Mandy zwyczajnie zeszła, wzięła samochód i była teraz w połowie drogi do Inglewood po te przekłete fuksje – wtedy co? Czy załatwi to później, gdy Amanda wróci? Nie, na Boga. Środek działa w ciągu dziesięciu, piętnastu minut. A nie po dwóch czy trzech godzinach. Skądże. Ione dobrze o tym wiedziała.

Niezależnie od tego, co zamierzała Ione – a przecież *odurzyła* Mandy – musiało się to dokonać teraz. Już powinno być po wszystkim!

Jej zdaniem Mandy powinna teraz, dokładnie w tej chwili, leżeć nieprzytomna tam na dole. A ona siedziała i robiła na drutach!

Cóż, może więc silnik samochodu włączony był przez cały dzień. O ile to możliwe. Ale wówczas Gene by go usłyszał. No i sama Mandy też by usłyszała i już by wiedziała. Zaraz wykonałby jakiś ruch. Przyszliby tu. Może z Kellym.

Może wkroczą tu lada moment. Wkroczą tu, poskładają do kupy wszystkie elementy. Wszystko się wyjaśni. I zakończy.

Tymczasem Ione robiła na drutach. Obserwował włóczkę ślizgającą się między jej palcami.

Niemożliwe, żeby samochód chodził przez cały dzień. Ale była przecież na dole dziś rano – i tylko rano!

A jednak, czy była inna możliwość...?

I dlaczego oni się nie zjawiali?

Nie, musiała ze wszystkiego zrezygnować. Mandy i Gene też to stwierdzili i Gene pewnie pojechał z nią na lotnisko.

Ale skoro zrezygnowała, to znaczy, że coś ją spłoszyło. Może nie udało mu się jej nabrać. Może przeszkodził jej tam na dole dziś rano.

Lecz jeśli tak, to po co był ten chloral w likierze?

Nie, aż do tej chwili wszystko szło zgodnie z planem.

Czy wystraszył ją przed chwilą w kuchni? Czy przez swą niecierpliwość, zwykłą dziecinną niecierpliwość powstrzymał ją przed wypełnieniem planu? Czy pomyślała, że lepiej tego nie robić? Czy właściwy moment minął?

Momentów mijają coraz więcej.

Lecz skoro tak, to powinna wierzyć, że Mandy leży teraz nieprzytomna. Albo – serce w nim podskoczyło – wyślizgnęła się jakoś, zanim pojawił się w kuchni, i...

Nie, nie. Wszystko było pod kontrolą. Na dole był przecież Gene. A Mandy oczywiście nie zażyła środka i wcale nie miała stracić przytomności, i dlatego...

Ale dlaczego nie przychodzili? Nawet nie zadzwonili? Czy w jakiś inny sposób nie dali mu znać? Zazgrzytał zębami. A jeśli Gene się nie zjawił? Jeśli Kelly nie otrzymał wiadomości? A Mandy upadła i zraniła się. Musiała tam schodzić ze zmysłami zaćmionymi przez przerażenie. Usiłował pochwycić cugle i zapanować nad spłoszonymi myślami, które wiodły go po najbardziej szalonych, najbardziej nieprawdopodobnych ścieżkach.

Ione zrezygnowała, a Mandy była najzupełniej bezpieczna, choć zdumiona, i pojechała na lotnisko, nie ośmielając się z nim skontaktować. Zresztą jak mogłaby tego dokonać? Nie mając żadnej pewności, nie wiedząc co robić, gdy nie mogła już podążać wytyczoną wcześniej ścieżką, zmuszona była zostawić go z jego obawami, choć wiedziała, że to już niepotrzebne.

A jednak mogłaby zadzwonić.

A może mieli jakiś problem z Kellym. Tak, to możliwe. Spierali się albo rozmawiali, składając w jedną logiczną całość fragmenty, które znane były każdemu z osobna.

Ale czas mijał! Zbyt dużo czasu! Stanowczo za długo to trwało!

Poruszył się gwałtownie, jak w konwulsji, i wziął do ręki kieliszek z likierem. Automatycznie zaczął podnosić go do ust. Zapomniał, co w nim było.

Ciało Tobiasa dźwignęło się z fotela. – Nie, Thone. Nie, synu. Nie...

Thone odwrócił się na ten okrzyk. Wyczytał prawdę z targanej niepokojem

twarzy ojca.

– Wybacz... – Tobiasz odczytał spojrzenie, które na nim spoczęło. Czy był to więc właściwy kieliszek? – Wybacz me zwątpienie, synu. – Nagle z zupełnie innym, potwornym przerażeniem wyszeptał: – No, dalej, pij. Wypij to!

Białka jego oczu ciasno otoczyły źrenice. Wyciągnął rękę, nade wszystko na świecie pragnąc zmienić fakty. Mleko rozlało się po raz drugi.

Thone wykrzyknął: – Och, tato! – wyrażając swój ogromny żal.

Odrzucił kulę. Zamaszysty gest zmiotł ze stolika kieliszki. Jego ciało poderwało się z miejsca. Jeśli bolała go ta przeklęta stopa, gdy wybiegał z pokoju, to on tego nie czuł.

Ione podniosła się z drżeniem.

– Uważaj! Toby! – krzyknęła Fanny. – Och, Toby... Popatrz!

Ione spojrzała. Tobiasz wyglądał jak martwy. Jego biała głowa zwiśla z oparcia fotela. Bezwładna ręka wskazywała w dół, na cały ten bałagan na dywanie.

## Rozdział 26

Thone leciał po schodach w dół jak na skrzydłach. Na najniższym piętrze opanował się. Otworzył drzwi do pokoju Mandy w nadziei, że ją tam zastanie, lecz jedno spojrzenie do środka powiedziało mu, że na próżno się łudził. Nie zawołał jej. Wiedział już, że gdzie by się nie znajdowała, niczego nie usłyszy.

Ryknął tylko w głąb domu: – Włączcie światła w ogrodzie!

Pobiegł korytarzem do drzwi prowadzących na zewnątrz. Wiedział, że musi podążać tą samą drogą co ona, dopóki jej nie znajdzie. Na dworze otoczył go mrok, lecz nie uszedł daleko, gdy rozbłysły światła. Teraz mógł przeczesać wzrokiem całe oświetlone zbocze. Gdyby upadła gdzieś w ogrodzie, powinien być w stanie dostrzec ją z najwyższej terasy.

Nie znalazł jednak ani śladu Mandy. Pośród liści i kwiatów nie spostrzegł żadnego ludzkiego kształtu.

A zatem w garażu. Zaklął. Nie wziął klucza. Wówczas przypomniał sobie coś na temat drzwi. Ponieważ prowadziły do fortecy ojca, zatrzaśkiwały się z tamtej strony. Wchodząc z ogrodu, nie trzeba było mieć klucza. A środkowe drzwi nigdy nie były zamknięte. Poślizgnął się, upadł i potoczył, chwytając za rośliny, które nie były w stanie utrzymać jego sunącego w dół ciężaru.

Zażkał: – Mandy! – bo nie mógł się powstrzymać.

Jakiś męski głos wykrzykiwał zza muru: – Kto to? Kto tam jest?

– Gdzie jest Mandy?

– Mandy!

Usłyszał walenie w drewnianą bramę. Dźwięk odbijał się od ścian wawozu.

– Nie... mogę... wejść.

Doszedł go szybki tupot nóg, a następnie kopanie i drapanie po murze.

Dźwignął się i rzucił na drzwi składziku. Otworzyły się łatwo, a z wnętrza buchnął odór.

W środku leżała Mandy.

Gene wdrapał się jakoś na mur i wrzeszczał jak opętany za jego plecami. Thone modlił się na głos:

– Jeszcze nie jest za późno. Jeszcze nie jest za późno.

Była w jego ramionach zupełnie bezwładna. On zaś nie czuł najmniejszego zmęczenia. Gene nie miał żadnych szans. Wrzaski chemika w jego uszach nie miały żadnego sensu. Sam poniósł ją, jakby nic nie ważyła, z dala od tego miejsca,

wysoko, na trawiastą polankę, gdzie powietrze było już czyste. A do Gene'a, który gramolił się za nim, przeklinając, rzucił ostro:

– Zamknij się. Wezwij lekarza.

– Ja wezwałam już lekarza – rzekła Fanny. Stała tam w swojej czarnej satynie, połyskując brylantami.

Thone klęczał na ziemi.

– Zabiję cię, jeśli ona nie żyje – wykrztusił Gene.

– Żyje – zapewnił Thone.

Choć czas zdawał się dłużyć niemiłosiernie, nie upłynęło go jednak zbyt wiele.

– Thone – odezwała się Fanny delikatnie w ciszy, która po tamtych opętańczych wrzaskach zdawała się w tej chwili pogłębiać i gęstnieć – twój ojciec miał wylew.

Zadał gwałtownie głowę. – Miło mi to słyszeć – stwierdził z cynizmem.

Podniósł Mandy, odganiając z drogi drugiego mężczyznę. Niósł ją teraz powoli i ostrożnie, delikatnie w stronę domu. Jego ciało stało się raptem zlepkiem bólów i udreki. Stopa go paliła. Jedną rękę miał otartą do żywego mięsa. A mimo to Mandy wydawała się nic nie ważyć, zaś ból poprawiał mu samopoczucie. W swej zapalczywości witał go z radością.

Fanny patrzyła za nimi, patrzyła na tego rudowłosego chłopca, który telepał się z przodu, by otworzyć drzwi. Na wysoką postać Thone'a, idącego pod górę powoli, trochę jak skazaniec. Na miękką, krótką fryzurkę Mandy, widoczną zza jego prawego ramienia, na jej czerwoną suknię przytrzymywaną jego lewą ręką, na jej zwisające śliczne stopki, z których zsunął się jeden kłapek. W oczach starej aktorki malowało się niewysłowione cierpienie. Jej wargi podwinęły się i zadrżały. Szczupła dłoń ścisnęła za gardło.

## Rozdział 27

Syreny wyły, słyszalne coraz bliżej. Nadszedł ambulans z tlenem. Wkrótce za nim zjawił się z piskiem opon wóz Ela Kelly'ego. Z tyłu domu reflektory zalewały blaskiem terasy ogrodu. Z przodu gromadziły się samochody, stając w beładzie, a na drogę powychodzili ludzie z pobliskich wzgórz.

Nieco później nadszedła swoim chevroletem Kate Garth. Gene zatelefonował do niej, mówiąc ze złością, że nie ufa ani jednej osobie w tym domu. Kate wkroczyła więc jak burza, mijając policjanta przy drzwiach niczym podmuch wiatru tuż pod jego nosem. Przyszła po swoje dziecko.

Tobiasa zaniecono do jego łóżka. Był z nim internista z karetki. Miała też zjawić się pielęgniarka. Był nieprzytomny. Na tę chwilę nie potrzebował nawet pielęgniarki. Ale Thone się uparł – miotał się, wydając polecenia. Tak więc Tobias leżał, nieprzytomny, lecz otoczony profesjonalną opieką, a Ione nie miała przy nim nic do roboty.

Mandy leżała z szeroko otwartymi oczami na kanapie w atelier. Dostała tlen, kroplówkę, zastrzyki i co się tylko dało. Okryto ją ciepło. W pokoju nie znać było żadnego zgiełku. Panowała w nim nabożna cisza. Panika i gniew Kate straciły na sile w tej atmosferze sztucznego spokoju.

Weszła więc po cichu i położyła swą silną dłoń na bezwładnych rączkach Mandy. Jedna drobna łza popłynęła z oka Amandy. Kate ucałowała ją, szepnęła „ćśś” i usiadła z boku. Lekarz przemówił szeptem do matki. Oznajmił, że puls pacjentki daje powody do zadowolenia. To wspinała, silna dziewczyna. Kate się nie odzywała i choć oddychała już nieco swobodniej, jej ramię obejmujące plecy córki było naprężone jak żelazny pręt.

Dom w wąwozie zamienił się w szpital.

Ione siedziała na ławeczce przy oknie samotnie, w ciszy. Od czasu do czasu podnosiła elegancką chusteczkę do ust i do oczu.

Fanny skuliła się w fotelu i obserwowała wszystko błyszczącymi, rozgorączkowanymi oczami. Jej dłonie bez końca bawiły się bransoletkami.

Thone siedział pochylony z twarzą ukrytą w dłoniach; dopadło go wreszcie zmęczenie. Gene wyszedł z pokoju i kroczył nerwowo w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, bezgłośnie po wykładzinie w holu.

El Kelly rozmawiał ze swoimi ludźmi, z Genem, z Burtem i z Elsie, którzy wkroczyli, mrugając ze zdumienia, w ten cichy rozgardiasz. Wszystkie zniżone

głosy dochodziły jak jeden cichy, odległy szum z jadalni. Od czasu do czasu słyhać było kroki na schodach. Jacyś ludzie przeczesywali ogród. Gapie na drodze przez pewien czas szeptali między sobą. Wreszcie rozeszli się do domów.

Do domu powróciły słabe oznaki życia. Mandy poruszyła się i usiadła ostrożnie. Zaraz też El Kelly wszedł do atelier.

– Czuje się pani lepiej, panno Garth?

– Dużo, dużo lepiej.

– Chciałbym spróbować cokolwiek z tego zrozumieć. Co pan na to? – Spojrzał na lekarza.

– Tylko spokojnie – odrzekł doktor. – Żeby się nie zdenerwowała.

Kelly przecesał ręką włosy. – Będę potrzebował tej dziewczyny. Niech mi pan powie, czy mogę z nią teraz pomówić.

– Ostrożnie – odparł doktor, marszcząc brwi. Cały czas stał z boku.

– Rozmawiałem właśnie z Noyesem i ze służącymi. – Kelly usiadł, mówiąc obojętnym pozornie tonem. – Moi ludzie przeszukują wszystko, kawałek po kawałku. Z tego co widzę, mógł to być wypadek spowodowany po części tym, że wy, dzieciaki – jednym spojrzeniem objął Amandę i Thone'a – daliście się ponieść wyobraźni, wietrząc spisek. Rura od gazu rozszczelniła się tam na dole. Ogrodnik twierdzi, że sam mógł się do tego przyczynić, kopiąc w miejscu, gdzie wchodziła do budynku. Tak to widzę, bo wy, dzieciaki, jesteście mocno podminowane. Ona – Amanda – schodzi tam śmiertelnie przerażona, jeszcze zanim się cokolwiek zacznie dziać. Wchodzi do środka. Czuje gaz. Wpada w panikę. Klucz wyslizguje się z sakiewki i gubi się gdzieś. I tak oto... – Wzruszył ramionami. Mandy rozchyliła usta.

– Proszę nic jeszcze nie mówić – nakazał jej El Kelly. – Proszę pozwolić, że sam najpierw dojdę do końca. A pani niech słucha i o nic się nie martwi. Najgorsze, co może się zdarzyć, to to, że odkryję prawdę.

Wtrącił się lekarz: – Ależ ona została odurzona.

– Tak? – El Kelly trawił to przez chwilę w myślach. – No to zobaczymy. Garrison, powiedzmy, że pan powie mi, co się stało. Tylko krótko.

– Moja macocha usiłowała ją zabić. – Thone mówił przez palce, twarz cały czas chowając w dłoniach. – Wsyłała chloral do alkoholu Amandy.

– Skąd pan to wie?

– Widziałem, jak to robi. Zamieniłem więc kieliszek Amandy z moim. Jednak mój ojciec podmienił je z powrotem. – Jego głos brzmiał dość monotonicznie. – Nie wiem, jak wykombinowała całą tę resztę.

Na swej ławeczce przy oknie Ione wciągnęła głośno powietrze i wyprostowała

się.

– A motyw? – pytał spokojnie Kelly. – Dlaczego miałyby to zrobić?

– Bo nienawidziła mojej matki i zamordowała ją – odparł Thone. – Sześć lat temu. I sądziła, że Amanda jest dzieckiem mojej matki.

– A czemu tak sądziła? – Brwi Kelly'ego powędrowały w zdumieniu w górę.

Ione na ławeczce pod oknem nawet się nie poruszyła. Zszokowana Fanny była blada jak ściana.

Kate powiedziała po chwili: – Amanda jest moim dzieckiem.

– Wszyscy to wiedzieli – Thone opuścił wreszcie ręce – oprócz Ione. – Nawet na nią nie spojrział.

Ione powtarzała: – Nie... nie... – Jej ręce targały ametystowe paciorki.

Kelly też na nią nie patrzył. – Nietypowy motyw – dumiał. – Więc uważa pan, że ustawiła drzwi. Zamknęła na zamek jedne, a przy drugich zmajstrowała coś tak, żeby zamknęły się same? A skąd wiedziała, że klucz spadnie na podłogę?

– Klucza w ogóle nie było w sakiewce – orzekła stanowczo Amanda.

Lekarz chwycił ją za nadgarstek. Nie odzywała się więcej.

El Kelly patrzył poruszony. – Aha, to zmienia postać rzeczy. Mamy tu więc usiłowanie zabójstwa. Co pani na to, panno Austin?

Fanny przemówiła przez szcękające zęby. – Powiem panu wszystko, co sama wiem. To jedyny sposób. Jeśli chodzi o to, co Thone mówi o swojej macosze, ja... na ten temat nic powiedzieć nie umiem. Wiem jednak, że ta dziewczyna starała się uchodzić za dziecko Belle. To dziwna historia. – Jej pełna wdzięku dłoń obróciła się w nadgarstku z rozpaczy, że trzeba teraz tę historię opowiedzieć. – Jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór, piliśmy anyżówkę. Ulubiony alkohol Belle. Widziałam, jak Thone zamienił swój kieliszek z jej. Taka jest prawda. Nie wiem... nie wiem nic więcej. – Fanny pokręciła barwioną na rudo głową. Jej bransoletki zabrzęczały.

Kelly zmarszczył brwi, patrząc na poplamiony dywan. Jego ludzie zebrali, co się dało, z bałaganu, jaki tu zastali.

– Dziewczyna dostała chloral, czy tak, doktorze?

– O, tak. Z całą pewnością. Nie żadną niebezpieczną dawkę, jak się zdaje. Ale podjąłem wszelkie środki ostrożności.

– Znowu chloral.

– Więc jednak go dostałam! – wymamrotała Mandy. – Dlatego tak szybko straciłam przytomność.

Kelly działał bardzo szybko. – Jednak? Podejrzewała pani, że ona go pani podsunie? Ale myślała pani, że on – że ten, hm, Thone – zamieni kieliszki. To był



element waszego spisku, co? – Zapomniał ją po tych słowach uciszyć.

Odparła: – Tak, myślałam, że zamienił kieliszki.

Ręce Kate spoczywały na jej ramionach, zmuszając do zachowania spokoju.

Kelly rozejrzał się po pozostałych. – Czy ktoś jeszcze widział, jak starszy pan Garrison podmienił z powrotem kieliszki? – Nikt się nie odezwał. – Ale pan to widział, panie Garrison?

– Na Boga, nie! – odparł Thone. – Pozwoliłem jej to wypić! Gene, siedząc nerwowo, ze złości wyszczerzył zęby za plecami Kate.

– Więc skąd pan wie, że kieliszki wróciły na swoje poprzednie miejsce? Czy ojciec to panu powiedział? Czy ktoś słyszał, gdy to mówił?

Nikt się nie odezwał.

– Domysły, co? – rzekł Kelly. – Czy możemy zapytać starszego pana Garrisona, doktorze?

– Nie teraz. – Lekarz wzruszył ramionami. – Być może nigdy.

Z miejsca pod oknem, gdzie Ione siedziała z dala od innych, dobiegło ciche łkanie. El Kelly obrócił się w fotelu.

– Cóż, pani Garrison. Zaczniemy od zatrutej czekolady. Co ma pani na ten temat do powiedzenia?

– Słucham? – Jej smutek ustąpił miejsca zaskoczeniu.

– Czekolada była zatruta – wtrącił chrapliwie Gene Noyes.

– Może nam pani powiedzieć, kto ją zatrął? – spytał Kelly, nie odwracając głowy.

Gene oblizał wargi.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – odpowiedziała Ione najzupełniej obojętnym tonem.

El Kelly poruszył ramionami. – W porządku, na razie to pominiemy. Proszę mi przedstawić pani wersję wydarzeń dzisiejszego wieczora. Proszę mówić.

Ione wstała i na swych drobnych stopkach zbliżyła się do nich. Przycupnęła na brzegu krzesła, pochylając swe małe ciało nieco do przodu, przyjmując pozę czujną, a jednocześnie elegancką.

– Oczywiście będę starała się panu pomóc, poruczniku.

Przewróciła oczami, jakby próbowała zebrać i poukładać myśli. Zaczęła opisywać zdarzenia cicho, lecz dokładnie.

– Obecna tu Amanda Garth zjawiała się w tym domu, opowiadając jakąś bajeczkę o noworodkach w szpitalu. Chciała, byśmy uwierzyli, że jest prawdziwym dzieckiem mego męża i jego drugiej żony.

Powiodła spojrzeniem po zgromadzonych, a wszyscy oprócz Kate pokiwali głowami.

– Mój mąż, niezależnie od tego, czy uwierzył w tę opowieść, czy nie, bardzo ją polubił. Zaprosił ją tutaj. Nie było powodu, dla którego miałoby to zaniepokoić *mnie*, poruczniku. Ale nie wydaje mi się, by Thone... był z tego zadowolony.

Spojrzała na pasierba. Jej oczy rzucały mu wyzwanie, czekając, aż zaprzeczy. On jednak siedział z dłońmi na bocznych oparciach fotela i stopami płasko na podłodze. Rozchylił usta, ale się nie odzywał. Ciemne oczy powędrowały do Fanny.

Ta zareagowała. – Naturalnie nie chciał denerwować Toby'ego. Uważał też, przynajmniej na początku, że ona celowo usiłowała zająć jego miejsce, bo... cóż, ma przecież pieniądze swojej matki.

– Tak, to prawda – rzekła, przeciągając słowa Ione. Sylaby dobywały się z jej ust bardzo cicho i jakby po namyśle.

Mandy, lekko marszcząc brwi, wpatrywała się w sufit.

Fanny ciągnęła ostrym tonem: – To przekonanie szybko go jednak opuściło. Zaczął wierzyć, że dziewczyna coś sobie... uroiła... – Zacisnęła usta i znowu pokręciła głową.

Kate zjeżyła się, lecz Kelly podniósł dłoń, by ją powstrzymać. – Proszę mówić dalej – rzekł chłodno do Ione.

– To dziecko, rzecz jasna, strasznie się w Thonie zakochało.

Biała głowa zadrzała jakoby ze współczucia. Jednak Ione nie patrzyła na Mandy. Patrzyła na Thone'a.

On zaś obserwował ją z grobową miną. Wydawało się, że zamienił się w swym fotelu w kamień.

Fanny potwierdziła posepnie: – Tak, też tak uważam. Wszyscy musimy mówić to, co nam się wydaje. To jedyny sposób.

Przekreśliła jedną bransoletkę. Oczy Kate napotkały jej wzrok. Przekazały sobie sygnał, że muszą być dzielne, że muszą wierzyć.

Kate odezwała się z przekonaniem: – To prawda. Mandy mi powiedziała. To prawda i to dlatego...

– Dlatego co, pani Garth?

– Dlatego tak naprawdę tu przyjechała. Nie liczyła na żadne pieniądze. – W głosie Kate słychać było głęboką pogardę.

Mandy uniosła się na łokciu i spojrzała na zastygłą w kamieniu twarz Thone'a. – Oczywiście. To prawda – rzuciła niedbale, jak gdyby jej myśli błąkały się gdzieś indziej.

– Zdaje się – rzekła Ione, marszcząc czoło – że zawiązał się jakiś spisek? Między nimi dwojgiem? – zwróciła się do Kelly'ego, odpowiedział jej jednak Thone.

– Owszem. Poszliśmy z tym do porucznika Kelly'ego. I postaraliśmy się, żeby Gene był w wąwozie na straży.

– Tak, Mandy do mnie dzwoniła – wtrącił nerwowo Gene.

– Żeby był na straży. I czekał na coś podobnego do okoliczności śmierci twojej matki? – spytała cicho Ione.

Twarz Thone'a pozostawała jak wyryta w kamieniu.

– I miał do tego zostać wykorzystany samochód?

Kelly żałował, że za plecami tego Thone'a nie stoi któryś z jego ludzi. Nie podobały mu się jego ręce. Nie podobał mu się ich spokój.

– Wiedziałem o tym – powiedział porucznik – lecz oni źle to sobie wykombinowali.

– Doprawdy? – rzekła Ione.

Jej dłonie bawiły się ametystami. W podłużnym pokoju zrobiło się tak, jakby wpadł tam nagle podmuch lodowatego wiatru.

– Proszę dalej – polecił Kelly.

– Tak się zastanawiam... – zaczęła Ione. – Widzi pan – schyliła głowę, jakby robiła unik – wiem, że nie mam z tym nic wspólnego. I dlatego być może widzę pewne rzeczy wyraźniej. Nie jestem tak zdezorientowana.

Dłonie Thone'a chwyciły mocno za boki fotela.

– Och, tak się boję! – Spojrzała w bok i przyglądała mu się, jak gdyby rzeczywiście się bała, a jednak musiała mówić. – Tak się boję, że mógł to zrobić Thone. A jego ojciec o tym wiedział. – Wciągnęła głośno powietrze, jak gdyby emocje dotarły wreszcie do mózgu. Ścisnęła w dłoni swój naszyjnik. – To przerażające, panie Kelly. To dla mnie... absolutnie straszne. – Jej ciało zakolysało się. – Ale tak jak mówi Fanny, musimy wszyscy powiedzieć, co myślimy. To jedyny sposób.

– Mów dalej – rzekł chrapliwie Thone.

– Więc dokonał tego Thone, he? – Kelly nie zwracał się bezpośrednio do nikogo, jak gdyby cytował zwykłą zagadkę. Usiłował odłożyć wszelkie emocje na bok. – Jego motywem była zazdrość, tak? Bał się, że dziewczyna zajmie jego miejsce u boku ojca? A na dodatek odziedziczy pieniądze?

– Tak, chyba tak... – Ione westchnęła.

– Więc udaje, że spiskuje razem z nią, to pani ma na myśli. Mówi pani o takim podstępnie.

– Tak? – zdziwiła się Ione. – Ja pomyślałam tylko, że jeśli zatrul własny alkohol i namówił ją na zamianę kieliszków... To by było takie proste.

– Widziałem cię – oznajmił Thone – w szybie.

– Tak twierdzisz. – Ciemne oczy patrzyły zuchwale. – A zatem kłamiesz.

Wydawał się tracić panowanie. Drżące dłonie uniosły się nieco w obronnym geście. – Nie mogłem zatrul kieliszka Mandy. Tato z powrotem je podmienił. W ten właśnie sposób środek nasenny trafił do jej ust.

– To ty tak twierdzisz. – Jej oczy błyszczały. – Nie możemy zapytać Toby'ego, prawda?

Kelly wyprostował się nieco w fotelu. – Kieliszki, środek nasenny, jedno wielkie zamieszanie – mruknął ze złością. – Czy ktoś mi jeszcze może powiedzieć, który kieliszek należał do kogo? – Jego twardy wzrok spoczywał na Thonie. – Powiem panu jedno, Garrison, zanim zacznie pan mówić dalej. Wiem już, że na obu kieliszkach likieru znajdują się wyraźne odciski palców pana, pani Garrison i dziewczyny. Ale na żadnym nie ma ani śladu po dotyku pańskiego ojca.

– Tato przekreślił stolik – wyjaśnił Thone. Obrócił go teraz, by zademonstrować, jak się porusza.

– Ale nie widział pan, jak to robił?

– Nie. Ja też planowałem dokonać tego w taki sposób. Mandy o tym wiedziała, bo sam jej wcześniej powiedziałem.

– Aha. – Kelly chrząknął. – Czy ktokolwiek widział obracający się stolik?

Nikt nie odpowiadał.

– Może jednak obrócił go pan sam – rozważał Kelly – jeśli miał to być podstęp.

Thone zdawał się nie słyszeć. Powrócił do swej pozy budzącego przerażenie opanowania.

– Cóż, tak czy inaczej wygląda na to, że to albo Thone Garrison, albo pani Ione Garrison zatrula alkohol. Trzeciej możliwości nie widzę.

Ione otworzyła usta, kiedy to powiedział, lecz zaraz je zamknęła. To jednak wystarczyło. Widać to było całkiem wyraźnie.

Kelly przyglądał się jej dość dziwnie. – Coś jeszcze? – spytał.

Ione rzekła: – Czy nie odkrył pan nic niezwykłego w związku z drzwiami?

– Tak. Drzwi do garażu były zamknięte na zamek. Ogrodnik twierdzi, że zwykle są otwarte. Teraz wydaje mi się całkiem oczywiste, że ktoś przy nich majstrował, żeby się zatrzasnęły, i że celowo manipulował też przy rurze, powodując wyciek gazu.

– Thone był na dole. Na najniższej terasie. Dziś rano. Z tą jego stopą, niech pan

sobie wyobrazi. Och! – Ione zabrakło tchu. Zbierała siły. Powiedziała w końcu: – Spotkałam go, gdy tam weszłam. Wróciliśmy na górę razem. Rzecz jasna nie wiem, ile czasu tam spędził, zanim...

– To prawda?

– Nie wchodziłem do składziku – sprostował Thone skamieniałymi wargami. – Za to ona z niego wyszła.

– Czy ktoś to może poświadczyć?

– Nie. Burt był wtedy za rogiem domu. Mandy rozmawiała przez telefon. Nie, chyba nie.

Thone przesunął dłońmi po fotelu. Myślał: w końcu się potknie. Postępuje tak sprytnie. Ale jeszcze się potknie.

Mandy leżała z leniwym uśmiechem na ustach i zdawało się, że prawie w ogóle tego wszystkiego nie śledzi.

Kelly chrząknął. Czaił się. Niczego jeszcze nie wiedział. Pozwolił im walczyć między sobą i czekał na wynik.

– A co z kluczem? – spytała lekko Ione.

– Ach, tak. Znaleźliśmy go pod stertą rupieci. Amanda twierdzi, że w ogóle nie było go w sakiewce. Chce pani powiedzieć, że Thone go tam zostawił?

Ione uniosła brwi.

– To jej klucz – zauważył Thone.

– Który przez cały czas leży w domu – westchnęła.

– Chwileczkę. Mówi pani, że przeszła pani przez składzik i razem wróciliście na górę. Czy czuć było wtedy zapach gazu?

– Nie. – Powiedziała to bardzo stanowczo. – Nie. Ani trochę. Skąd miałby się tam wtedy wziąć?

Wyraźnie się rozluźniła. Wyglądała nawet na zadowoloną.

– Ta rura gazowa ma zawór w przedsionku dla dostawców – rzucił ostro Thone.  
– Tu, na górze.

– Och... – jęknęła Ione.

– Tak? – Kelly przenosił wzrok z jednego na drugie.

– To prawda. Prawda – jęczała Ione, zaciskając swe delikatne usta. – A gdy czekałam tam, by wyłączyć lampy w ogrodzie po wyjściu Amandy... obawiam się, że on tam wszedł. Przyszedł tam. Mimo swej chorej stopy i w ogóle, akurat w tamtym momencie. Powiedział, że musi się napić wody. Prawdę mówiąc... wygonił mnie, gdy chciałam mu pomóc. Więc go tam zostawiłam. Fanny może to potwierdzić. Och, poruczniku – skuliła się na krześle, uginając plecy, jak gdyby prawda ją

przytłoczyła – skąd by wiedział, jak do tego doszło, gdyby sam tego nie zrobił?

– Aha.

– I jeszcze jedno! – Wyprostowała się raptownie, jakby coś nią wstrząsnęło. – Kiedy wychodziłam ze składziku, drzwi nie były zatrzaśnięte. Zostawił je... żebyśmy mogła wyjść. Chodziło o klucz. Rozumiecie. O klucz...

Gene wykrzyknął: – Niech to wszystko piekło pochłonie! – piorunując wzrokiem Thone'a.

– A co z *tym* gościem? – spytał nagle Kelly. – Proszę mi wyjaśnić, jak to się pani zdaniem stało, że został wezwany? Po co Thone miałby ryzykować jego obecność w pobliżu?

– Niewielkie to było ryzyko, jak się okazało – wymamrotała Ione.

– Zresztą to Amanda po niego zadzwoniła. Czy Thone w ogóle o tym wiedział?

– Wiedziałem – odparł głupio Thone.

Oczy Amandy rozszerzyły się nieco.

– A może – ciągnęła beztrąsko Ione – teraz tylko udaje, że wiedział?

– Chyba widzi pan – rzekł Thone – jaka ona jest cwana. Rozumie pan jej tok myślenia.

W podłużnym pokoju zapadła cisza. Fanny bawiła się diamentami. Kate powiedziała głośno:

– Amanda wraca do domu. Nie obchodzi mnie, kto...

Gene wtrącił: – Tak, ona musi opuścić to miejsce. Żadne z was nie otrzyma drugiej szansy.

– Chwileczkę. Moment – powstrzymał ich Kelly. – To wszystko nie trzyma się kupy. Jeszcze nie. Zatem Thone aranżuje wszystko tak, by zabić dziewczynę, po czym pędzi na dół z tą swoją chorą stopą, o której pani ciągle przypomina, żeby ocalić jej życie. – Patrzył na nich chytrze i triumfalnie.

– Tak – rzekła Ione drżącym głosem. Spojrzała na swoje dłonie.

– O, tak.

– Co to znaczy? – spytał Kelly.

– Jakież to było przebiegłe – powiedziała. – Wstrętne i przebiegłe. Wypadek matki nasunął mu tyle dziwnych pomysłów, dręcząc go przez te wszystkie lata. Łatwo było otumanić biedną, małą Mandy. Była tak ślepo zakochana. Choć absolutnie nic o nim nie wiedziała. Jakże skora była uwierzyć w morderstwo sprzed lat, jeśli tylko on tego zechciał. Biedna, mała romantyczka. On nie mógłby przecież zrobić nic złego. Jakże to musiało być dla niego łatwe! A ona z jakim zapalem oddała swe życie, dając się w to wplątać, zaślepiona miłością! Och... – Ione kontynuowała

z pasją. – Zapewne nazwałby jej śmierć samobójstwem. Jedna dziewczyna już się dla niego zabiła. Może pan tego nie wie, ale zrobiła to z miłości do niego. Był już taki precedens w jego życiu. – Delikatne, wymuskane usta Ione wykrzywiły się. – Precedens fatalnego zauroczenia! – dodała zjadliwie.

– Tak, ale jednak zmienił zdanie – upierał się Kelly.

– Czy pan nie rozumie? Nie pamięta, co się tutaj stało? – Ione podniosła chusteczkę. Jej twarz wyglądała tak, jakby się wreszcie miała rozpłakać. – Mój najdroższy Toby nie może mówić... ani się ruszać. Może nawet tego nie przeżyje! Więc, rzecz jasna, nie było potrzeby nikogo zabijać. Jakie to teraz może mieć znaczenie? Jego ojciec nie żyje, a w każdym razie jest w stanie bliskim śmierci. Nie zadysponuje już inaczej pieniędzmi Belle. Nie zaadoptuje żadnej córki. Po cóż więc ryzykować? Nie było już takiej potrzeby. On to *rozumiał*, poruczniku. Poza tym z dziewczyny jest przecież niezła sztuka! Która na dodatek za nim szaleje! – Jej ciało trzęsło się z nienawiści. Kryła swą podłość za chusteczką. – Och, wszystko to złamało serce memu biednemu Toby'emu – wykrzyknęła przez tkaninę. – A Thone'a to nie obchodzi.

Fanny opuściła swą starą, farbowaną głowę na bok fotela i zaczęła płakać, jakby jej serce pękło.

Wzrok Kelly'ego przeniósł się na Thone'a. – No i? – warknął gardłowym głosem.

## Rozdział 28

Łkanie kobiet działało na nerwy.

Thone przemówił tak cicho, że ledwo go było słyszeć.

– I wciąż nie wiemy, jak... – Złączył palce, opierając łokcie na bokach fotela. Spojrzał śmiało na Kelly'ego. – W co z całej tej opowieści *pan* wierzy, poruczniku?

Kelly odrzekł na tle babskiego zawodzenia: – Nikogo nie mogę oskarżyć na podstawie tego, co wiem. Przynajmniej dopóki nie uzupełnię pewnych luk. Ale dokonam tego.

Gene zerwał się na nogi. – Mandy, wracasz do domu! Policja może się tym zająć. Ty musisz opuścić ten podstępny dom.

– Słucham? – powiedziała Mandy.

Poruszyła się. Ściągnęła z siebie koc. Przesunęła stopy. Jej matka wciąż siedziała, blokując im drogę.

Kate rzekła: – Mandy, skarbie, zabieramy cię do domu.

– Och, nie teraz – odparła Mandy.

Pozostałe kobiety przestały raptem łkać, gdy podniosła głowę. Nagle zrobiło jej się słabo. Jej twarz pobladła. Poczowała zawroty głowy, gdy próbowała usiąść. Odepchnęła jednak rękę lekarza. Jej obleczona w pończochę stopa, ta bez klapka, szturchnęła pośladki Kate.

– Jedź do domu – rzekł Thone.

Przyglądała mu się, na wpół siedząc. Miał twarz tak samo bladą jak ona.

– Dlaczego? – spytała.

Mogła wyczuć gniewne zwątpienie Kate, przekonanie Gene'a, rozpacz Fanny, a wszystko to mówiło jej, dlaczego.

– Bo z tego, co teraz wiesz, ona może mieć rację – odparł spokojnie Thone.

Na jej policzki wracały rumieńce. Usta zaczęły się układać w słodką elipsę uśmiechu.

– Wiem więcej, niż ci się wydaje – rzekła figlarnie Mandy.

Twarz Thone'a zmieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kamienna maska opadła. Mandy odwróciła spojrzenie. Jej serce śpiewało z radości. Postawiła stopy na podłodze, zrzuciła drugi kłapek i podkulila palce.

– Jejku, ależ z niej chytra lisica – stwierdziła. – Ale my też możemy pana uraczyć całkiem długą historią, i równie zawiłą.

– My... – wykrztusił Thone.



Mandy zaczęła mówić, kipiąc wesołością. – Fanny Austin, starszko kochana. Skąd to podejrzenie, że Thone mógłby być tak podły?

– Był taki zadowolony – załkała Fanny – z powodu Tobiasa. Był zadowolony!

– A czy wszyscy nie powinniśmy się cieszyć? – rzekła Mandy bardziej już trzeźwo.

– Uważa pani, że podobałoby mu się to, co się tu teraz dzieje?

Fanny podniosła głowę.

Mandy kontynuowała: – Dobrze jest czasem podokazywać. Ostatecznie przeżyłam, więc wszystko jest w porządku. Ale co z nią? Co się stało z Belle? Do diaska, nie dowiedzieliśmy się tego. Wciąż nie wiemy, jak... – Jej wzrok prześlizgnął się po Ione, jakby jej tam wcale nie było. – Chociaż... Panie Kelly, czy wierzy pan jednak, że Thone zamienił kieliszki? Fanny jest tego uczciwym świadkiem. Czy może pan przyznać: tak, to prawda?

Porucznik zmuszony był przytaknąć.

– Druga rzecz: zostałam odurzona. Czy to też może pan przyznać? Gdybyśmy więc tylko zdołali udowodnić, że jego ojciec przestawił je na dawne miejsca... Co do reszty wydarzeń, cóż, Ione miała taką samą okazję, żeby mnie uśmiercić, jak Thone, może nawet lepszą. Wszystko więc zależy od tego, z którego kieliszka się napiłam. Jeśli z tego, który *ona* mi przygotowała, czyli z tego, przed którym próbował mnie ustrzec Thone, wówczas...? To by wszystko wyjaśniło, prawda?

– Chyba muszę się w tym z panią zgodzić – odparł Kelly z nagłą serdecznością. – Czy mamy jakąś szansę, doktorze?

Lekarz wyszedł. I niedługo potem wrócił, wyglądając na niemal wzburzonego ze zdziwienia.

– Jest przytomny – oznajmił. – Przynajmniej na tyle, na ile możemy to stwierdzić. Widzicie państwo, on nie może mówić. Czy słyszy bądź coś rozumie, nie ośmielę się...

– Gdyby zdołał odpowiedzieć choć na jedno pytanie – przerwała mu Amanda, ożywiona nadzieją – to by wiele zmieniło.

– Jedno pytanie – powtórzył Kelly, także pełen nadziei. – Czy zaszkodzi spróbować?

Lekarz z czułością popatrzył na Mandy. – Jeśli nie da się do niego dotrzeć, jeśli nie słyszy, to nic mu nie zaszkodzi. Jeśli zaś słyszy, to jedno pytanie... – Opuścił barki. – Może w tych okolicznościach powinniśmy zapytać rodzinę.

Thone spojrział na Ione, a ona na niego.

– Ja nie... – zaczęła, po czym przygryzła wargę.

– Spróbujemy? – powiedział Thone. Jego twarz wreszcie odtajała. Mieniła się

teraz drwiną i wyzwaniem.

– Och, biedny Toby – mruknęła Ione nieszczęśliwym głosem, patrząc chytrymi oczkami. – Lecz, rzecz jasna, musimy spróbować.

Gdy wstali sztywno, by zburzyć wzór, który siedząc, do tej pory tworzyli, Mandy i Thone zostali poniesieni jakby jednym prądem naprzeciw siebie, aż ich barki się spotkały. Gene precyzyjnie przycisnął się obok Kate i chwycił Amandę za rękę.

– Wybacz mi, skarbie – rzekł. – Może masz rację. Wiesz o tym wszystkim więcej niż ja. Przepraszam. – Zerknął na Thone'a. – Ale, Boże Wszechmocny, kiedy ujrzałem cię, jak tam leżałaś, i wydało mi się, że wszędzie dokoła jest krew...

– Krew? – zapytał głupio Thone.

Mandy patrzyła Gene'owi prosto w oczy.

– Wiem – rzekł – po prostu tak się złożyło. Nie mów mi, jak bardzo mnie lubisz. Ja to wiem. Wiem.

– Ale dziękuję ci – powiedziała Mandy.

Jej palce wślizgnęły się pod ramię Thone'a, a on nagle odruchowo przycisnął je do swego boku.

## Rozdział 29

Tobias leżał żywy, o ile można to było nazwać życiem. Oddychał. We własnym pokoju, tu, na najwyższym, tak rozległym piętrze, leżał w podwójnym łożu z prześcieradłem naciągniętym pod brodę, z bezwładnymi rękami na wierzchu. Leżał, a oczy miał otwarte, choć zdawał się nic nie widzieć.

Nikt nie zakwestionował prawa Mandy do obecności przy jego łóżku, do tego, by stanęła w swej szkarłatnej sukience, z brudną twarzą, potarganymi włosami w miejscu, gdzie, gdyby widział, na pewno by ją zobaczył. Thone stanął tuż za nią. Wszystkie łąca między nimi działały teraz i drżały od napięcia.

Ione stała po prawej stronie łoża. Ją też, w lawendowej sukience, Tobias mógł zobaczyć, o ile w ogóle coś widział.

Kelly i lekarz ustawili się kilka kroków od nóg łóżka. Fanny zaglądała do pokoju przez otwarte drzwi, a Kate, nie chcąc rozstawać się z Mandy, stała obok niej. Gene także pozostał w holu, próbując pogodzić się z poczuciem straty, które nękało go jak bolący ząb.

Lekarz uczynił niepewny krok do przodu. – Panie Garrison...

– Toby, najdroższy... – odezwała się śpiewnie Ione.

Nie ocknął się.

– Tato... – powiedział Thone.

Mandy poczuła nagle na swoich plecach przejmujący smutek, który ogarnął całe jego ciało.

Tobias leżał żywy. Jeśli po jego mózgu bląkały się jakiegokolwiek myśli, były to strzępy, urywki starych wspomnień. Nie wyglądało na to, by ich słyszał czy nawet zdawał sobie sprawę z ich obecności.

– Wątpię, czy zdoła nam powiedzieć... – zaczął lekarz.

Jednak Fanny przemówiła gorączkowo: – Jest taka stara francuska książka. Co to było? Coś autorstwa Dumasa. Chodzi mi o tego starca i jego powieki! Nie pamiętacie? Dawał sygnały powiekami! Zapytajcie...

Doktor posłał jej jedno zdumione, nieszczęśliwe spojrzenie. – Czy może pan zamknąć oczy? Jeśli tak, zechce pan to teraz zrobić?

Znużone powieki zadrżały. Wyraźnie zadrżały.

– Sam zadam to pytanie. – Kelly przysunął się bliżej. – Panie Garrison – zaczął cichym, pełnym szacunku i dość oficjalnym głosem --jeśli przekreślił pan obrotowy blat stolika w tamtym pokoju i podmienił w ten sposób kieliszki, zechce pan opuścić

powieki.

Tobias leżał z otwartymi oczami. Nie wiedzieli nawet, czy cokolwiek usłyszał.

– Jeśli pan tego nie zrobił – ciągnął w desperacji Kelly – może spróbuje pan nam to jakoś pokazać. Zamykając oczy.

Chory staruszek wciąż wpatrywał się w sufit. Nawet nie mrugnął. Nie sposób było odgadnąć, czy jego mózg odbiera jakiegokolwiek wrażenia zmysłowe. Na nic nie reagował. Na nic nie odpowiadał.

– A może on nie jest w stanie... – wykrzyknęła Mandy.

Jej serce wypełniło się miłością i żalem. Usiadła na łóżku i ujęła jego biedną dłoń. Uśmiechnęła się najpiękniej, jak mogła. Oczy zdawały się teraz spoczywać na jej twarzy. Wtem zamknęły się, bardzo powoli.

Thone obejrzał się na porucznika.

Ione powiedziała z drzeniem: – Dajcie już spokój. Wystarczy. Dajcie spokój.

Ale Mandy nachyliła się i ucałowała nieruchomą dłoń, która już nigdy nic nie namaluje. Nie wierzyła, by na cokolwiek odpowiedział. Siedziała pogrążona w myślach, przyglądając się jego twarzy. Za swoimi plecami słyszała pełen bólu oddech.

Po chwili Tobias otworzył oczy. Zdawało jej się, że dojrzała w nich isierkę świadomości. Thone'owi też się tak wydało. Nachylił się.

– Tato...

Coś w spojrzeniu Tobiasa powiedziało: Nie. Nie, nie przywróćcie mnie do życia. Nie, nie wróć. To dla mnie zbyt wielki ciężar. Nie mogę. Nie chcę. Pozwólcie mi odejść.

Mandy stłumiła w sobie szloch. Pomyślała, on zaraz umrze i nigdy się nie dowie. Przytłacza go ten ciężar, ten okropny ciężar. Uważa, że Belle się zabiła. Ciągłe tak uważa. Nie ma wątpliwości. Gdybyśmy tylko mogli mu powiedzieć, że to nieprawda. Gdybyśmy zdołali to udowodnić i powiedzieć mu to z całą pewnością.

Na pokój jakby padł jakiś czar. Zastygł w bezruchu. Wszyscy byli jak posągi skupione w jednym miejscu, oczekujące. Czekające być może na śmierć. Pod sufitem pomieszczenia rozpięła ona swe czarne skrzydła. Ione stała wyprostowana. Jej mała pierś gołębiczy falowała pod lawendowym jedwabiem. Splotła dłonie i czekała ze stosowną odwagą. Splecenie tych małych rączek miało być swego rodzaju gestem zwycięstwa. Minuty mijały.

Wzrok Mandy pochwycił katalog leżący na nocnym stoliku. Katalog ostatniej wystawy Tobiasa. Rozłożony był na czarno-białej reprodukcji „Belle w drzwiach”. Pomyślała: Czy ośmielę się wziąć go do ręki? Czy jeśli go podniosę, Tobias zobaczy

obraz? Czy ośmielę się przypomnieć mu teraz o Belle? Jej serce, jej żal odpowiedział: Nie. Jej oczy bezwiednie podążyły za kreską na obrazie. Taki durny...!

Zdumiało ją, że znów nawiedziła ją dawna myśl. Jej początkowa opinia na temat obrazu, gdy zobaczyła go w gazecie po raz pierwszy w dniu wyjazdu kuzynki Edny. W ten niedzielny poranek całe wieki temu. Chwileczkę. Dlaczego durny? Dlaczego była tak ostra, wręcz brutalna w ocenie, po czym, gdy ujrzała oryginał, rozplynęła się po prostu z wrażenia i podziwu dla dzieła?

Skupiła się bardziej, śledząc rozwój własnej myśli, która zrodziła się bez udziału jej świadomości. Przez cały ten czas po głowie kołatał jej się jeden wyraz. Krew? Krew? Krew?

To też wzięła pod uwagę. Skąd się to przyplątało? To słowo, ten ton. Ach tak, Thone wypowiedział je w ten właśnie sposób, zdziwiony, kompletnie nic nie rozumiejąc. Jak gdyby pytał: „Krew? Dlaczego krew?” Gene, rzecz jasna, miał na myśli jej czerwoną sukienkę. Gdy zobaczył ją na podłodze składziku. Ale Thone... On oczywiście wiedział. Spodziewał się czerwonej sukienki. Jednak czemu nie zrozumiał...

Jej myśli galopowały, włączając w mózgu co rusz to nowe światełko. Wreszcie podniosła się, trzęsąc się cała.

– Thone – rzekła bardzo spokojnie. Nie liczyło się, że Tobiasz tam leżał. I tak niczego nie usłyszy. Nagle odwaga ją opuściła i zaczęła bardzo ostrożnie. – Czy masz prawo jazdy? – wyjąkała.

– Załatwiłem je sobie – mruknął jak nieobecny. – Nie powinienem był go dostać.

Wiedziała już! Wiedziała, dlaczego początkowo nie chcieli wziąć go do wojska. Wiedziała, dlaczego *przegadał* całą wojnę. I dlaczego dał jej poprowadzić samochód. I dlaczego pomylił tego samego dnia jej żółto-granatowy kostium z żółto-brązowym, który miała na wystawie. Dlaczego nie zauważył różnicy! Dlaczego nie został malarzem! Mimo że tak doskonale radził sobie z kreską i przestrzenią. Dlaczego nie dostrzegł nic, co skojarzyłoby mu się z krwią, gdy leżała tam na podłodze cała w szkarłacie!

– Jesteś daltonistą – stwierdziła na głos – prawda?

– Tak. Oczywiście.

Lekarz się niecierpliwił. Jednak nic nie poruszyło Tobiasza. Nic mu nie przeszkadzało. Wszyscy pozostali słuchali teraz Mandy, która mówiła dalej.

– Twoja matka też była daltonistką – rzekła.

– Owszem, była. – Thone skupił się wreszcie na rozmowie. – Dlaczego pytasz,

Mandy?

– To takie niezwykle u kobiet. – Była tak podniecona, że ledwo mogła ustać.

– Bardzo. A jednak jej się przydarzyło.

No tak, to jasne, że Belle była daltonistką. Wystarczy pomyśleć o jej monotonnych ubraniach, neutralnych barwach, jakie nosiła, zanim poznała Tobiasa, kolorystę, człowieka zakochanego w tęczy. I o tym, jak później nigdy nie ośmieliła się zmienić nic w swoich strojach, jak twierdziła Fanny. Oczywiście nosiła to, co zestawiał razem krawiec, bo tylko dzięki temu mogła uniknąć fatalnej pomyłki. Och, nie, Belle nie ekscytowała się malarstwem. Nie mogła. I rzecz jasna rzadko prowadziła samochód: nie miała prawa jazdy.

– Dlaczego nie powiedziałaś! – Głos Mandy podniósł się odrobinę. – Och, Thone, dlaczego, dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś?

– Była na tym punkcie trochę przewrażliwiona – odparł Thone, spokojnie, rzeczowo. – Nigdy o tym nie mówiła. Więc my też nie.

Ot tak, po prostu, nigdy o tym nie mówili.

– Ale właśnie dlatego nie podobał jej się ten obraz! – wykrzyknęła Mandy. – I tobie też się nie podoba. „Belle w drzwiach”! Sama nie widzę w nim nic ciekawego, gdy pozbawiony jest barw!

– To znaczy... Nie...

Dał jej się prowadzić. Wiedział, że dokądś zmierza. Nie wiedział tylko gdzie.

Amanda ciągnęła: – Panie Kelly, jeśli chodzi o Zrzeszenie Taksówkarzy. Co jest namalowane na tych samochodach? Wie pan?

– Nazwa korporacji – odparł oszołomiony Kelly. – Dlaczego?

– Nie ma tam podanej *barwy*?

– He?

– Nie jest napisane „zieleń”?

– Nie.

– Czy powiedziałaś matce tamtego wieczora, gdy umarła – krzyknęła do Thone'a – że przyjedzie po nią zielona taksówka?

– Sam tego nie wiedziałem. Zresztą po co miałbym to mówić? Dla niej nic by to nie znaczyło. Nie zdołałaby...

– Ach, lecz ona zdołała! Ta kobieta na drodze! – Mandy zwróciła się do Ione. – *Pani* zdołała dostrzec barwę! Tam, tamtej nocy na drodze. Widziała pani kolor. A nie miała pani pojęcia, że Belle była daltonistką, prawda? Inaczej nie zawołałaby pani: „Panie kierowco zielonej taksówki”.

– Chwileczkę – wtrącił Kelly. – Tamten kierowca z całą pewnością rozpoznał

panią Garrison.

– Pomylił się – odparła Mandy. – Najzwyczajniej się pomylił. Tę panią Garrison, owszem. Ale nie Belle. Na pewno nie Belle. To nie mogła być Belle. Tak właśnie do tego doszło. To *ona* odesłała taksówkę. Jakimś sposobem zabrała ze sobą Belle. W tym domu nikt nie ruszał chloralu. To ona musiała...

– Tu jest mój pacjent – odezwał się szorstko doktor. – Proszę, by wszyscy opuścili ten pokój.

Jednak Mandy się nachyliła. Przemówiła do oczu żyjącego jeszcze człowieka: – To ona zamordowała Belle. Usiłowała też zabić mnie. Teraz pomoże nam to pan udowodnić. Podmienił pan kieliszki? Proszę zamknąć powieki, powiedzcie „tak”.

Tobias zamknął oczy. To było jasne dla wszystkich. Świadome. Oczy, które na powrót się otworzyły, pełne były życia.

– Och, Boże... – załkała Mandy. – Nie, ona nigdy nie chciała pana opuścić. Nigdy by nie odeszła. Teraz może być pan pewien.

– Skądże – krzyknął z bólu Thone – nigdy by cię nie zostawiła! Tato, dlaczego mi nie powiedziałeś, dlaczego ukrywałeś przede mną to, co myślałeś?

– Wystarczy tego! – warknął lekarz.

Mandy, gdy wszyscy zbierali się do wyjścia, pomyślała, że rzeczywiście, w zupełności wystarczy.

Tobiasa ogarnął jakiś dziwny spokój.

Ani razu nie zerknął nawet na Ione.

Kelly trzymał małą kobietkę mocno za ramię. Pozwoliła mu się poprowadzić. Nie było tu nic, co stanowiłoby jej własność. Wszystko należało do Belle.

## Rozdział 30

W atelier podniósł się zgiełk. Fanny szalała. Gene zadawał jej pytania, a ona bez zastanowienia deklamowała odpowiedzi. Jej furia przybierała na sile, w miarę jak coraz więcej rozumiała. Kate słuchała opowieści, wydając okrzyki przerażenia, a Fanny snuła ją dalej. Jak to Ione mogła zabrać zapasowe klucze z szuflady, jak misternie układała swój odrażający plan. Kelly słuchał i pomagał spekulować na temat niebieskiej chusty na szyi Belle, na temat tego, jak mogła się tam znaleźć. Jak Ione udało się zdobyć chloral bez recepty. Uparta kobieta...

Jednak Thone i Mandy odeszli po cichutku od innych i ramię w ramię podążyli na odległy koniec pokoju. Mandy podniosła wzrok na fałdy zasłony. Thone pociągnął za sznurek, a fałdy rozchyliły się i ukazały „Belle w drzwiach”. I oto stała tam w pełnym blasku, pochwycona przez uwielbienie artysty. Thone wspiał się, by zdjąć obraz ze ściany, a Mandy nie była zdziwiona. Powiedziała, jakby przytakując, wiedząc, co ma zamiar zrobić:

– Tak, będzie chciał teraz na to patrzeć.

Thone sam zaniósł malowidło do pokoju ojca.

Mandy minęła grupę. Przeszła obok Ione, która siedziała na krześle, tym samym co przedtem, która milczała z dłońmi splecionymi na kolanach i pochyloną głową, patrząc w dół i najwyraźniej nie słuchając pełnych złości, gorzkich słów, jakie wokół niej padały.

Mandy spoczęła w fotelu, siadając na obleczonej w pończochę stopie, opierając głowę. Czowała się, jakby przez bardzo długi czas chodziła, mówiła i żyła w świetle jupiterów, na widoku, na scenie. Teraz wreszcie jej rola się skończyła. Przyszedł czas, by zakradła się za kulisy i w cichym zakątku odpoczęła.

Potworność jej całego występu, odwaga, agresywność, jakich wymagał, przytłoczyły ją teraz. Czowała się zawstydzona. Rumieniła się z powodu własnej bezczelności. Jak zdoła spojrzeć Thone'owi w oczy, gdy wróci? Przed całym światem wykrzyczała to, co do niego czuje. W zuchwałości swej uwierzyła nawet, że on też ją kocha. Jak ośmieliła się coś takiego powiedzieć! Powiedzieć to i zrobić! Teraz, kiedy napięcie z niej opadło, ledwo potrafiła zrozumieć, dlaczego wydawało jej się konieczne czy choćby możliwe wkroczenie do tego domu w tak idiotycznym celu. O tym, co ją do tego skłoniło, o strachu, który popchnął ją do przyjęcia tej roli, zapomniała już w przyпіływie spóźnionej wstydlivości.

El Kelly też nie czuł się najlepiej. Nawet biorąc udział w gorączkowej rozmowie,



co chwila zerkał na tę kobietę, siedzącą tak spokojnie z małymi dłońmi złożonymi na lawendowych kolanach. Trudno było nie wyobrazić jej sobie na sali sądowej: zadbana, biała głowa, zaróżowiona twarzyczka, miękko zaokrąglone piersi. Jęknął w duchu. Nawet para najzgrabniejszych nóg w nylonowych pończochach nie wzbudziłaby takiej sympatii jak kochana, drobna staruszka o słodkiej twarzy, zadbana, siwowłosa kobiecina, neodparcie budząca ludzki szacunek, wywołująca nostalgię. Każdy przecież miał babcię! Zapach pierniczków. Oto jakie skojarzenie w nim budziła, gdy tak na nią patrzył.

Jakie szanse miało prawo czy logika, sprawiedliwość albo rozsądek, prawdopodobieństwo czy cokolwiek innego w starciu z cudownym, wytęsknionym zapachem pierniczków!

A ona sama nie zamierzała się poddać. Nic na to nie wskazywało. Te miękkie, czyste włosy nigdy nie wysypią się spod spinek i nigdy nie ukażą się w nieładzie. Ani te plecy nie ugną się i nie nadstawią na cios. Ani ta słodka buźka nie wykrzywi się jak u czarownicy. Ani te małe dłonie nie utracą pewności siebie i spokoju, jakimi teraz emanowały. Nie zdradzą te aksamitne rączki żadnego okrutnego czynu. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Klasnął językiem. Głosy ucichły, jak gdyby wszyscy zapragnęli usłyszeć, o czym myślał.

Wtedy odezwała się Ione: – Wszyscy przeciwko mnie. – Nie była to żadna skarga. Raczej wyzwanie. Jak gdyby słyszała jego myśli, dodała: – Ale przypuszczam, że nie będzie to takie łatwe.

Fanny wykrzyknęła: – Och, nie! Proszę powiedzieć, że to nieprawda, poruczniku!  
Kelly gryzł dolną wargę.

Thone wrócił do atelier. Stał teraz, patrząc na nią z góry. Zdawał się taki wysoki i potężny, a przy tym dziwnie opanowany i spokojny, nie poruszony przez to wszystko, co się wydarzyło.

– To niemożliwe! – Fanny uderzyła pięścią o pięść. – Belle... Przecież mamy *dowód!* Nieprawdaż!

– Cóż – rzekł Kelly – kobietą na drodze nie była Belle. Tego *może* uda nam się dowieść.

Po cichu myślał jednak, że to też wątpliwe. Kierowca wspomniał o „zielonej taksówce” podczas wstępnego przesłuchania na policji. Znalazło się to w aktach. Ale nie powtórzył już tego podczas składania oficjalnych zeznań. Na pewno nie. Ci ludzie, ojciec i syn, z pewnością zwróciliby na to uwagę już wtedy. A zatem co zeznałby taksówkarz, co powiedziałby teraz, po sześciu latach?

– Jeśli nawet udowodnimy, że to nie była Belle, nie mamy nic, co wskazywałoby jednoznacznie na Ione. – Thone mówił bez widocznych oznak niepokoju. – Przynajmniej z prawnego punktu widzenia. Choć sami dobrze o tym wiemy.

– Możemy więc chociaż udowodnić, że usiłowała zabić Mandy!

– Znowu, to *my* to wiemy – zauważył posepnie Kelly.

– Toby nam powiedział!

– To chory człowiek. A znak, jaki nam dal powiekami... Chodzi mi o to...

– Boże Wszechmogący! – zawołała Fanny. – Ale chyba ją pan aresztuje? Przecież jej pan nie wypuści!

– Oczywiście, zabiorę ją do aresztu. Pewnie nawet postawię przed sądem.

Ione swą drobną dłonią wygładziła spódnice. – Muszę więc zabrać okulary – rzekła. – A moje druty i nici, poruczniku?

Kelly jęknął w duchu.

Thone zbliżył się i usiadł. Wyciągnął nogi, jakby chciał rozluźnić zmęczone mięśnie po długim wysiłku.

– To nie ma większego znaczenia – powiedział lekko.

– Nie ma znaczenia! – Fanny płonęła żądzą zemsty. Nie opuszczała jej furia.

Mandy zaś czekała przyczajona. Jej serce waliło coraz silniejszym przecuciem. Wstrzymała oddech, obserwując Thone'a.

– Nie, nie ma – potwierdził Thone. – Czy uważasz, że więzienie to jedyna możliwa kara?

Ione zadarła raptem głowę.

– Jeśli odbędzie się proces – ciągnął Thone – to będzie to coś paskudnego. Nie będzie to przyjemne dla nikogo z nas.

Kelly miał już coś powiedzieć, lecz zmienił zdanie. Thone uśmiechnął się nadszpiewanie słodko do Kate.

– Czy ktoś w pani rodzinie był daltonistą?

– W mojej rodzinie? Nie, skądże. – Kate popatrzyła, jak gdyby oskarżył ją o jakąś podłość.

– Dziedziczy się to po matce, ale tak dla rozrywki zapytam: czy może pani mąż cierpiał na tę przypadłość?

– Na Boga, nie.

– Mogliśmy więc w każdej chwili udowodnić, i to ponad wszelką wątpliwość, kto jest czym dzieckiem. Ponieważ ja nie mogę być pani synem.

Spojrzał na Ione. Jego twarz rozświetlała jakaś dziwna drwina, subtelny, a jednocześnie doprawiony sarkazmem i chytryością triumf.

– Nie ja stanę zatem przed sądem – rzekł. – Nie ja. Nie dziecko Belle.

Ione zacisnęła wargi.

– A ona już otrzymała swoją nagrodę – mówił Thone niemal radośnie do pozostałych. – Cóż warto jest jej życie? Czy choćby jej wolność? Wyszła na idiotkę i poniosła porażkę.

Usta Ione na powrót się rozluźniły. Wpatrywała się w pustkę przed sobą. Jej dłonie trwały w bezruchu.

– Mandy ją wykiwała. Jaja wykiwałem. Włożyła wiele czasu i wysiłku, knując przeciw niewłaściwemu dziecku, i poniosła porażkę. To niewłaściwe dziecko żyje. – Thone zachichotał. – A Belle? Cóż, Belle jest wokół nas. Nie leży w żadnym grobie. Nie czujecie tego? Jest tutaj, w tym domu, równie promienna jak w tamtych drzwiach. Jest z moim ojcem.

Ione poruszyła głową, jakby chciała powiedzieć: I co z tego?

– Ta biedna, mała istota – ciągnął Thone, zniżając głos niemal do szeptu. – Spójrzcie na te małe dłonie, równie małe jak jej dusza. Chciała pochwycić, ścisnąć mocno i pościć – jak samochód, jak dom, jak zabawkę – inną duszę. Jak ona mało wie... Jak mało rozumie... Nie wie nawet teraz, że tego, czego usiłowała dokonać, nie da się zrobić. Belle zawsze to wiedziała. A ona, nigdy. Cóż, od początku była skazana na klęskę. Cały ten świat, którego ta żalosna istota nie rozumie, stworzony jest tak, że musiała ją ponieść.

– Nie poniosłam klęski – wtrąciła Ione piskliwie. – Odzyskałam go na całe lata. Na sześć długich lat.

– Wcale nie – odparł ostro Thone.

– Ależ tak! – Jej dłoń zwinęła się w pięść, chwytając coś. – Pozbyłam się jej przecież! Przepędziłam ją ze swego domu! A może nie? Przecież Belle nie żyje! Zostawiłam ją na podłodze! Ja...

– To jej klęska – powiedział Thone i zwiesił ramiona. – Poruczniku...

– Wielkie dzięki – rzekł Kelly. – Naprawdę bardzo dziękuję. To nam bardzo pomoże. Hej, Joe, zanotowałeś to?

Ione wstała. Rozglądała się w popłochu dokoła. Spojrzenie miała chore, choć raz jeszcze błysnęło chytryością.

– Moja robótka... – bełkotała. – Moja śliczna włóczka... Te robaczki... I kwiaty tej wiosny będą takie piękne. Nie pozostaną na grządkach. Będą spacerować po ogrodzie. Nic nie zostanie w grobie tej wiosny. Bo w niedzielę mamy Wielkanoc. Ja muszę mieć te fiołki...

Pociągnęła za ametystowy kolczyk i rzuciła nim, pełna agresji. Kolczyk ukłuł

Amandę w policzek. Kelly i lekarz przystąpili do akcji.

## Rozdział 31

O świcie Tobias zamknął zmęczone oczy, które spoglądały – chwilami widząc, a chwilami nie – na swe dzieło. Belle patrzyła na niego, stojąc w drzwiach, gdy umierał. Nie dane mu było dokończyć portretu Amandy w zielonej satynie.

Mandy wydawało się, że pięknie jej serce. Twarz Thone'a była taka wymizerowana, taka zmęczona, a jednocześnie promieniejąca miłością dla odchodzącego ducha ojca. Sama szlochała w ramionach Kate.

– Chodźmy już lepiej do domu – mruknęła po raz setny Kate. – Słyszysz mnie, Mandy? To była długa noc. Kochanie, mamy już ranek.

Nie czas teraz na miłość, pomyślała Mandy. Może któregoś dnia. Ale nie teraz. Załkała:

– Och, mamó, tak. Chodźmy do domu. Fanny tu zostanie. On będzie potrzebował spokoju, a ona to rozumie...

Zaczął się już wypełnianie przykrych obowiązków, które zwykle towarzyszą śmierci.

Thone podszedł do nich, gdy tylko wyczuł, że zamierzają jechać. Wszyscy troje bez słowa wyszli na zewnątrz i stanęli na podwórzu. Poranek zdawał się rozkwitać jak śliwowe drzewo. Delikatna mgielka przesłaniała wszystko dokoła, góry, zagłębienia i załamania ich stoków, siedziby ludzkie i wytyczone przez człowieka tam w dole geometrycznie proste linie i kwadraty. Powietrze niesło w sobie obietnicę ciepła, choć na razie było chłodne i słodkie.

Thone spojrzął z góry na bladą, naznaczoną łzami twarz dziewczyny. Uśmiechnął się. Odezwał się żartobliwie:

– Tylko sobie nie myśl, że skoro jestem dokładnie w tym samym wieku co ty, nie będę rządził w rodzinie.

– S-słucham?

– Chcę się żenić – zwrócił się do Kate – do Kate! – najszybciej, jak to tylko w zgodzie z prawem możliwe.

Pociągła twarz Kate przybrała komiczny wyraz zdumienia.

– A jeśli miała pani kiedyś ochotę na syna – dodał – to teraz będzie pani miała bliźnięta.

Roześmiał się i ucałował Kate. A Kate – Kate! – zaczęła płakać, objęła jego szyję ramieniem i cmoknęła go głośno w policzek, po czym minęła bramę i udała się do swego auta, becząc jak dziecko.

Mandy zachwiała się, a on ją przytrzymał.

– To nie jest dobry czas na... – wyjąkała.

– Nie?

Słodko rozbawiona minka opuściła jego twarz, lecz powaga, która ją zastąpiła, była równie słodka i ujmująca. Mandy położyła dłonie na klapach jego marynarki i podniosła bezgranicznie ufny wzrok, czekając na to, co powie.

– Śmierć taty była... w pewnym sensie uświęcona, Mandy...

– Tak – załkała.

– Ona naprawdę była tam przy nim.

– Belle? Och, Thone...

– Nie miał czasu pomyśleć o Ione.

– Nie... nie.

– A ja nie wypilem tamtej czekolady dzięki temu, że ty się zjawiłaś.

Przyłgnęła do niego.

– Więc jest to wszystko smutne, bolesne, ale...

– Nie został zraniony... nie tak bardzo – wyszeptała. – Tak, to prawda.

– Pomożesz mi w to uwierzyć?

Jego oczy były jasne, jasne i błękitne. Nagle zmarszczyły się w kącikach, łagodniejąc w uśmiechu.

– Jak myślisz, na co komu miłość? – spytał nagle.

Oparła się o niego, wzdychając całym ciałem. On zaś trzymał ją mocno. Jego wargi dotykały jej włosów.

– Na czas kłopotów. Na teraz. Na zawsze – wyszeptała.

Właśnie teraz jest czas na miłość, pomyślała nagle z pełnym przekonaniem.

– Poza tym – słowa biły o jej skroń – muszę ci coś powiedzieć... mam ci tak wiele do powiedzenia. Moje ty kochanie najdroższe... Amando Garth... Nigdzie cię nie puszcę...

– Mamy mnóstwo czasu – rzekła Mandy. – Mamy przed sobą tyle lat. I mamy teraz.